SZOKUJĄCE PARADOKSY WOJNY NA UKRAINIE

Dlaczego Żydzi popierają odrodzenie banderyzmu?



Jak uniknąć katastrofy demograficznej – uczmy się od Izraela

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 36/696 31 SIERPNIA–6 WRZEŚNIA 2026
CENA **14,90 ZŁ** (W TYM 8% VAT)

CZARNOSKÓRY POWSTANIEC WARSZAWSKI – BARWNA HISTORIA AUGUSTA AGBOOLI BROWNE'A



Czy Tucker Carlson wystartuje w wyborach na prezydenta USA?

JAN POSPIESZALSKI W ROZMOWIE Z „DO RZECZY":

Grzegorz Braun powinien być czujny

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”

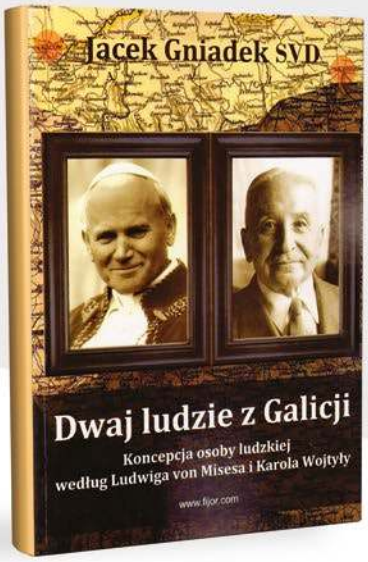

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

JACEK GNIADEK SVD: „DWAJ LUDZIE Z GALICJI” ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1040~~ ZŁ

517,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 523 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki czemu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon.-pt. od 10:00 do16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 488600ea51

Cywilizacja i antycywilizacja



PAWEŁ LISICKI

Niemal w tym samym czasie, choć w bardzo odległych geograficznie państwach, miały miejsce dwa zdarzenia.

W Polsce, 15 sierpnia, w święto Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, odsłonięto najwyższą figurę maryjną w Europie, jednocześnie, jak podawały media, przewyższającą słynny monument Chrystusa Odkupiciela w Rio de Janeiro. Pomnik Matki Bożej Miłosiernej stanął w Konotopiu (30 km od Torunia). Mierzy 55 m. Został sfinansowany przez miliardera Romana Karkosika z żoną Grażyną. Jaki był ich motyw? – Ten pomnik to podziękowanie – tłumaczyła w rozmowie z „Faktem" Grażyna Karkosik.

Pani Karkosik w ten sposób chciała wyrazić wdzięczność za to, że jej mąż doszedł do siebie po przebytym udarze. „Ten pomnik to jest podziękowanie, bo mój mąż nie powinien żyć. Tak mówili lekarze, a on żyje. Dzięki modlitwom, dzięki wielu Mszom Świętym przeżył" – mówiła Grażyna Karkosik. I dalej, odpowiadając na pytanie o koszty: „Nie liczymy pieniędzy. Człowiek odchodzi z tego świata i nic ze sobą nie zabiera [...]. Nie robimy tego dla rozgłosu, tylko z potrzeby serca. Żeby podziękować Bogu i Matce Bożej za opiekę".

Te słowa i sam pomnik doskonale pokazują coś, co można by nazwać klasycznym polskim podejściem do rzeczywistości. Są wyrazem wielowiekowej, katolickiej, łacińskiej cywilizacji. Życie człowieka jest w ręku Boga. W trudnych momentach, choroby, kryzysu, słabości człowiek zwraca się do Boga, do Opatrzności czuwającej nad porządkiem, z błaganiem o pomoc. A gdy ta nadchodzi, wyraża Mu swoją wdzięczność. Polska ziemia jest wręcz usiana takimi pomnikami – mogą to być kaplice, figury, kościoły, klasztory, obrazy, szpitale – zbudowanymi ku chwale Boga. On jest Panem dziejów i świata, Jemu należy się publiczne uznanie. Jemu za pośrednictwem Maryi – tej, do której przez wieki Polacy najchętniej się zwracali o pośrednictwo i wstawiennictwo.

W Kanadzie 21 sierpnia politycy i przedstawiciele władz zgromadzili się w stolicy, w Ottawie, aby wziąć udział w odsłonięciu pierwszego i najwyższego w Kanadzie pomnika poświęconego „2SLGBTQI+". Nazwany „Thunderhead", zbudowany w dość osobliwym kształcie pionowego walca w środku przedziurawionego kołami przypominającymi kłębiące się chmury, pomnik ma wysokość niemal 10 m. Na uroczystości pojawili się były premier Justin Trudeau, gubernator prowincji Ontario Louise Arbour i aktywiści LGBT.

Polscy czytelnicy mogą być nieco zaskoczeni skrótem – tylu liter naraz zapewne jeszcze nie spotkali. Otóż „2S" (Two Spirit/dwa duchy) stanowi twórczy wkład Kanady (uwaga – cały skrót występuje w dokumentach urzędowych, nie jest zatem ani przejawem szyderstwa, ani kpiną) w ideologię gender i oznacza osoby rdzenne (po polsku Indianie), łączące cechy męskie i żeńskie lub mające specyficzny duchowy status. Szczególnie ważna wśród zgromadzonych była obecność pana Trudeau, niestrudzonego uczestnika szczytów w Davos, propagatora ideologii mniejszości seksualnych, cudownego dziecka liberalnej lewicy, prawdziwego guru globalistów, wielkiego pogromcy „Konwoju Wolności" w czasach COVID-19 i niezłomnego bojownika (choć zza oceanu) Ukrainy w wojnie z Rosją.

Wokół pomnika powstał park. Znajduje się tam „mur tłumaczący", czyli ściana, na której aktywiści w szczegółach opisali historię ruchu LGBT w Kanadzie, podkreślając znaczenie „wielkiej czystki" (brzmi jak wielki głód, nieprawdaż?), która polegała na tym, że w dawnych czasach sprzed liberalnego oświecenia rząd zwalniał z pracy w instytucjach federalnych osoby identyfikujące się jako mniejszość LGBT. Pieniądze na pomnik pochodziły z podatków: to odszkodowania, które rząd Kanady zapłacił za rzekome prześladowania tęczowym aktywistom.

Intencje budowniczych najlepiej przedstawia LGBT Purge Fund (Fundacja przeciwdziałania czystkom LGBT). Budując dziurawy, pionowy walec z otworami w kształcie chmur, chciano pokazać „kolonialne korzenie homofobii, bifobii i transfobii, honorując opór wspólnot 2SLGBTQI+", oraz zaprosić Kanadyjczyków do refleksji „nad pracą, jaka pozostała do wykonania". W tym przypadku chodzi oczywiście o walkę ze złogami zacofania i uprzedzeń wobec osób nieheteronormatywnych.

Dwa pomniki, jeden w Polsce, drugi w Kanadzie, wyrażają dwie przeciwne sobie, wrogie cywilizacje, a właściwie cywilizację i jej zaprzeczenie. Z jednej strony starą, łacińską, chrześcijańską, z drugiej – nową, demoliberalną, genderową. W tej pierwszej człowiek szuka schronienia w Bogu, jest Mu wdzięczny za życie i za porządek świata oraz normę, dzieło Stwórcy; w tej drugiej norma społeczna i prawo naturalne są formą opresji i prześladowania, a jedyną wartością jest prywatne, jednostkowe zaspokojenie. Bóg to relikt patriarchalnej świadomości, a kult Maryi to przejaw męskiej dominacji.

Która z tych cywilizacji zwycięży w Polsce? W zeszłą niedzielę rząd Donalda Tuska, gwałcąc konstytucję, prawo i jasną wykładnię Trybunału Konstytucyjnego, otworzył furtkę do uznania tzw. małżeństw jednopłciowych. ©℗

eprasa.pl 488600ea51

TEMAT TYGODNIA

16 ROZMOWA Z JANEM POSPIESZALSKIM
JEST SZANSA NA REALNĄ ZMIANĘ POLITYCZNĄ
Grzegorz Braun powinien być czujny

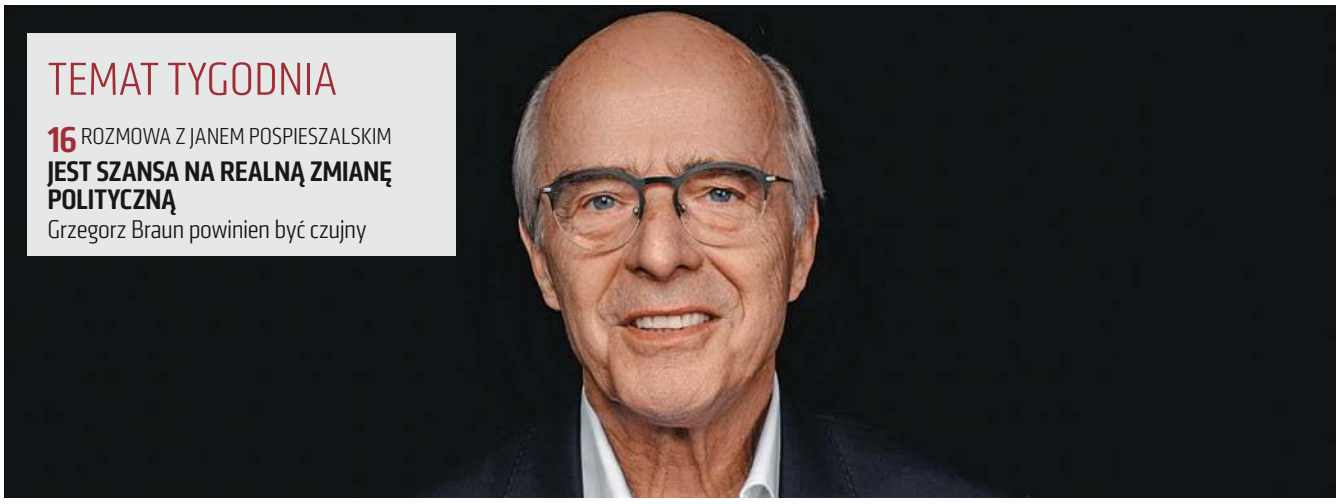

KRAJ

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
UCIEKAJĄCY TUSK
Donald liczy na europosadkę

26 PIOTR SEMKA
LEPIENIE NA GRUZACH HOŁOWSZCZYZNY

28 ŁUKASZ WARZECHA
FISKALNA POLITYKA POZORÓW

30 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
KRÓL POLSKI POWIATOWEJ

KULTURA

32 PIOTR SEMKA
WĘGIER – JANKES DWA BRATANKI
Jubileusz Ameryki nad Dunajem

35 KRZYSZTOF MASŁOŃ
BÓG DAŁ RĘCE, ŻEBY BRAĆ

36 PIOTR GOCIEK
LEPSZY MODEL. POWRÓT „TERMINATORA 2"

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

42 ADAM WIELOMSKI
DLACZEGO ŻYDZI POPIERAJĄ ODRODZENIE BANDERYZMU?
Tryzub i gwiazda Dawida

45 MICHAŁ KRUPA
CZY TUCKER CARLSON WYSTARTUJE W WYBORACH NA PREZYDENTA USA?

48 PAWEŁ CHMIELEWSKI
JAK UNIKNĄĆ KATASTROFY DEMOGRAFICZNEJ – UCZMY SIĘ OD IZRAELA

50 FILIP MEMCHES
WYGRAĆ NOWOCZESNOŚĆ. CO NAPRAWDĘ GŁOSIŁ ROMAN DMOWSKI

HISTORIA

52 ŁUKASZ CZARNECKI
CZARNOSKÓRY POWSTANIEC WARSZAWSKI
Barwna historia Augusta Agbooli Browne'a

ŚWIAT

58 MACIEJ PIECZYŃSKI
„BAĆKA" W SPRAWIE POLSKI. ZA, A NAWET PRZECIW
Taktyczne sojusze białoruskiego dyktatora

62 JAN BOGATKO
SZPIEDZY Z KRAINY BIAŁYCH NIEDŹWIEDZI

64 PIOTR WŁOCZYK
BRAZYLIA NA ROZDROŻU

EKONOMIA

66 JACEK PRZYBYLSKI
AMERYKA CHCE ZAGŁODZIĆ AJATOLLAHÓW
Trump utknął w Iranie niczym Putin na Ukrainie

70 TOMASZ CUKIERNIK
KONCEPCJA MITTELEUROPY WCIĄŻ ŻYWA

LATO Z „DO RZECZY"



74 JACEK PAŁKIEWICZ
DRUGA TWARZ BIEGUNA ZIMNA
Przewodnik Jacka Pałkiewicza: Syberia

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JASTRZĘBOWSKI (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (56), PRZYBYLSKI (61), GABRYEL, WARZECHA (69), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), KUCHARCZYK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 488600ea51

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Michał Krupa, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Adam Wielomski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Maciek Zieliński**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © Ⓟ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Sprzeciw obywatelski

Wyrażam stanowczy sprzeciw wobec działań zmierzających do nadania transkrypcji zagranicznych aktów małżeństwa osób tej samej płci takich skutków prawnych, które w konsekwencji prowadziłyby do uznania małżeństw jednopłciowych za instytucję funkcjonującą w polskim porządku prawnym.

[...]

Wyrok TSUE w sprawie C-713/23 należy odróżnić od kwestii ustanowienia jednolitej definicji małżeństwa we wszystkich państwach członkowskich Unii Europejskiej. Dotyczy on obowiązku uznania określonych skutków prawnych małżeństwa zawartego legalnie w innym państwie członkowskim, a nie ustanowienia w Polsce nowej instytucji prawa rodzinnego.

Należy zatem wyraźnie rozróżnić dwie kwestie: uznanie określonych skutków prawnych wynikających z zagranicznego aktu małżeństwa oraz uznanie małżeństwa osób tej samej płci za instytucję prawa rodzinnego obowiązującą w Polsce. Są to zagadnienia odmienne i nie powinny być ze sobą utożsamiane.

Rzeczpospolita Polska jest członkiem Unii Europejskiej i ma obowiązek respektowania prawa Unii Europejskiej w zakresie kompetencji przekazanych jej organom na podstawie Konstytucji RP. Nie oznacza to jednak, że członkostwo w Unii Europejskiej prowadzi do przekazania instytucjom unijnym kompetencji do zmiany polskiej konstytucji.

Artykuł 90 Konstytucji RP przewiduje możliwość przekazania organizacji międzynarodowej lub organowi międzynarodowemu kompetencji organów władzy państwowej jedynie „w niektórych sprawach". Z kolei art. 91 określa zasady stosowania prawa międzynarodowego oraz prawa Unii Europejskiej, w tym ich pierwszeństwo przed ustawami w określonym zakresie.

Przepisy te nie mogą być jednak interpretowane jako zgoda na zmianę Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej przez orzeczenie sądu międzynarodowego lub przez praktykę stosowania prawa. Konstytucja pozostaje najwyższym prawem Rzeczypospolitej Polskiej, a jej zmiana może nastąpić wyłącznie w trybie przewidzianym przez samą konstytucję.

Istotne znaczenie ma również art. 7 Konstytucji RP, zgodnie z którym organy władzy publicznej działają na podstawie i w granicach prawa. Oznacza to, że organ administracji publicznej nie powinien, przez dokonanie transkrypcji zagranicznego aktu stanu cywilnego, osiągać skutku, który w rzeczywistości prowadziłby do zmiany konstytucyjnego rozumienia instytucji małżeństwa.

Jeżeli polski ustawodawca miałby dokonać zmiany konstytucyjnego modelu małżeństwa, to powinno to nastąpić w sposób przewidziany przez konstytucję, w szczególności zgodnie z procedurą jej zmiany określoną w art. 235 Konstytucji RP. Tak fundamentalna zmiana nie powinna następować pośrednio – przez decyzje administracyjne, praktykę organów państwa czy rozszerzającą interpretację orzeczeń sądowych.

Jednocześnie należy podkreślić, że zapewnienie określonych praw osobom pozostającym w legalnie zawartym za granicą związku małżeńskim nie musi oznaczać uznania, że w Polsce powstało małżeństwo w rozumieniu art. 18 Konstytucji RP.

Możliwe i konieczne jest rozróżnienie między obowiązkiem zapewnienia jednostce konkretnych praw wynikających z prawa Unii Europejskiej a uznaniem, że prowadzi to do zmiany konstytucyjnego modelu małżeństwa obowiązującego w Polsce. Takie rozróżnienie powinno stanowić podstawę działania organów państwa.

W związku z powyższym wnoszę o respektowanie nadrzędności Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej przy stosowaniu przepisów dotyczących transkrypcji zagranicznych aktów małżeństwa osób tej samej płci.

Sprzeciwiam się temu, aby transkrypcja zagranicznego aktu małżeństwa była traktowana jako sposób na faktyczne wprowadzenie do polskiego porządku prawnego instytucji małżeństwa osób tej samej płci.

[...]

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

eprasa.pl 488600ea51



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Wymiana uwiędła

Niemiecki naczelny organ Centralnej Rady Żydów w RFN „Jüdische Allgemeine" donosi, że niemiecko-izraelska wymiana grup młodzieżowych pozostanie wstrzymana. Projekt polegający na tym, że grupy młodzieży niemieckiej wyjeżdżały i były goszczone przez ich rówieśników w Izraelu, a jednocześnie młodzi Żydzi odwiedzali Niemcy, nie funkcjonował już od wielu lat.

A wszystko zaczęło się, gdy w Jerozolimie we wrześniu 2022 r. federalna minister do spraw rodziny, Lisa Paus z partii Zielonych, oraz izraelska szefowa edukacji, Jifat Szasza-Bitton, uzgodniły stworzenie niemiecko-izraelskiego biura wymiany młodzieży. Najpierw COVID-19 blokował wcielenie ustaleń umowy w życie, a potem rozpoczęła się interwencja Izraela w Strefie Gazy. Wokół całej sprawy zapanowała kłopotliwa cisza, którą przerwał dopiero niedawno Michael Panse, pełnomocnik landu Turyngia do spraw walki z antysemityzmem.

„Nie widzę krótkoterminowych perspektyw dla planowego utworzenia niemiecko-izraelskiego biura młodzieży […]. Izrael nie ma dobrze rozwiniętej sieci organizacji młodzieżowych. W tym kraju zarówno mężczyźni, jak i kobiety wstępują do wojska po szkole, a następnie zakładają rodziny". Jak dodał: „Nie jest to zgodne z niemiecką koncepcją organizacji młodzieży".

Argumentacja niemieckiego polityka wydaje się dziwaczna. Przecież wymiana młodzieży miała dotyczyć uczniów szkół średnich, która jest przed wypełnieniem służby wojskowej.

Bardziej wiarygodnie brzmiało inne wyjaśnienie: „Po stronie izraelskiej, biorąc pod uwagę ogólną sytuację i zbliżające się wybory do Knesetu, utworzenie tej instytucji nie jest ani priorytetem politycznym, ani finansowym". Jak dodał Panse, sferę niepewności projektu powiększają też obawy związane z sytuacją bezpieczeństwa młodych Izraelczyków, a także Niemców w kraju zagrożonym wojennymi atakami.

Wszystko to prawda, ale – co natychmiast wykazali internauci – jest to omijanie brutalnej prawdy. Wobec znaczącego zwiększenia się odsetka muzułmańskich imigrantów w niemieckich szkołach takie wymiany w praktyce mogłyby wywołać ostre konflikty. I to wydaje się być istotą problemu. Zdradza to zresztą sam Panse: „Znam pojedyncze przypadki, w których rodzice uczniów odrzucili propozycje takiej wymiany, prawdopodobnie z powodów antysemickich. Pedagodzy, którzy proponowali taką podróż, nie zawsze otrzymywali pożądane wsparcie ze strony swoich kolegów".

Cała historia pokazuje, że wszelkie projekty wymiany młodzieży czy wymiany kulturalnej między Izraelem a RFN mogły egzystować w epoce przed pojawieniem się masowej imigracji ludności muzułmańskiej. Teraz, gdy w szkołach w Berlinie, Kolonii czy Dortmundzie odsetek islamskich dzieci sięga niekiedy 50 proc., taka wymiana z izraelską młodzieżą może kojarzyć się z ostrym konfliktem. A powołane ileś lat temu komitety do takiej wymiany stają się wymierać. ©℗

NIE ŻYJE
DOLLY PARTON

W wieku 80 lat zmarła w Nashville legendarna królowa muzyki country, autorka tekstów, aktorka i filantropka Dolly Parton. Artystka wydała 49 albumów, zdobyła 11 nagród Grammy i napisała ponad 3 tys. piosenek, w tym takie przeboje jak „Jolene", „Coat of Many Colors" czy „I Will Always Love You". Prezydent Donald Trump na wieść o śmierci artystki polecił opuszczenie flag do połowy masztu w całych Stanach Zjednoczonych. ***(jap)*** ©℗



FOT. NANCY BARR BRANDON/MEDIAPUNCH/IMAGO/PAP

POLSKA KUPI
LATAJĄCE CYSTERNY

Hiszpański rząd zgodził się na wspólny zakup co najmniej siedmiu wielozadaniowych Airbusów A330 MRTT (Multi Role Tanker Transport). Do Polski cztery samoloty do tankowania w powietrzu miałyby trafić do 2030 r. A330 MRTT może zabrać 111 ton paliwa. Maszyna jest też przystosowana do tankowania myśliwców F-35. Na przełomie maja i czerwca do bazy w Łasku przyleciały trzy pierwsze F-35 Husarz, a w ubiegłym tygodniu do Polski dotarło pięć kolejnych samolotów tego typu. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 488600ea51







Świętokrzyskie
Odwiedź nas jesienią!







URZĄD MARSZAŁKOWSKI
WOJEWÓDZTWA ŚWIĘTOKRZYSKIEGO

www.swietokrzyskie.pro

eprasa.pl 488600ea51



PŁYWANIE W KISIELU

„Dwie Wieże”. Reaktywacja

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

Mecenas Giertych z mecenasem Dubois pojechali do niewymienionego z nazwy kraju na Bliskim Wschodzie, gdzie ukrywał się aferzysta Przemysław Kral z Zondacrypto, i namówili go, żeby przyjechał do Polski składać zeznania w zamian za status „małego świadka koronnego”. Sprawa śmierdzi na kilometr: obaj adwokaci są wiernymi politycznymi żołnierzami Tuska, a już pierwsze informacje prorządowych mediów, że „Kral sypie”, precyzowały, że jego „sypanie” ma obciążyć Zbigniewa Ziobrę, Marcina Romanowskiego, Telewizję Republika i Krzysztofa Stanowskiego. Co bardziej gorliwi propagandyści rządu wyrazili nadzieję, że uda się w tych zeznaniach umoczyć także prezydenta Nawrockiego. Czym ma ich Kral obciążyć? Prokuratura wyjaśniła to w wydanym specjalnie komunikacie: Kral jej zdaniem twierdzi, że finansował fundację Romanowskiego i Ziobry, Telewizję Republika Tomasza Sakiewicza i konferencję CPAC, a także – proszę się trzymać, żeby nie spaść z krzesła – chciał wykupić reklamy również w Kanale Zero, z tym że Krzysztof Stanowski jego ofertę odrzucił.

I to ma być ta „afera”, za którą Flip i Flap polskiej palestry jeździli na Bliski Wschód? Że firma, której grynderskiego charakteru nikt wtedy nie znał i przed którą nikt nie przestrzegał (ukłony dla orłów z nadzoru finansowego), wykupywała reklamy w mediach i sponsorowała różne „iwenty”, budując w ten sposób wizerunek poważnej, stabilnej instytucji finansowej? Prokuratura z jakiegoś powodu – można się domyślać jakiego – w swoim komunikacie nie wymieniła mediów, w których Zondacrypto wykupiła najwięcej reklam. Skądinąd wiadomo, że były to TVN, TVN24 i Polsat. I co ma z tego wynikać?

Tym chcecie przykryć sprawę pani Mróz-Gorgoń i jej fejkowego budowania „marki Polska”, obrabowania przez działaczy KO powodzian, wycieku danych medycznych 19 mln Polaków, zamiatania przez prokuraturę nadużyć w Szpitalu Południowym i innych placówkach medycznych? Serio?

No to powodzenia życzę… ©℗

#WARTO

Obywatelskie nieposłuszeństwo



JAN POSPIESZALSKI

Szczytem naiwności było oczekiwanie, że uchylenie obowiązku edukacji seksualnej w szkołach, przy zachowaniu całej pozostałej podstawy programowej edukacji zdrowotnej, ochroni uczniów przed indoktrynacją. Decyzja minister Nowackiej, pozwalająca rodzicom wypisać dzieci z godzin, na których omawia się kwestie seksualności, to taktyczna zagrywka.

Analiza treści programu obowiązkowej edukacji zdrowotnej daje ponury obraz perwersyjnego ideologicznego projektu. Wszelkie treści dotyczące wyjątkowej rangi małżeństwa jako związku kobiety i mężczyzny zostały pominięte. Termin „małżeństwo” nie pojawia się w ogóle w podstawie programowej szkoły podstawowej, a w podstawie programowej liceum pojawia się tylko dwa razy. Terminów „mąż” i „żona” nie ma w ogóle. Nigdzie nie ma wzmianki, że małżeństwo to związek kobiety i mężczyzny, a wartość małżeństwa jest pomniejszana przez ukazanie go jako jednej z opcji, obok związków nieformalnych i partnerskich. Rozwód i nowe związki rodziców są ujęte w kontekście obiektywnych zmian, takich jak pojawienie się rodzeństwa lub choroba. Nigdzie nie ma wzmianki o skutkach rozwodu dla dzieci. Antyrodzinny przekaz jest np. w dziale „zdrowie psychiczne”. Macierzyństwo jest pokazane w kontekście zaburzeń odżywiania, lęków i depresji (np. depresja w ciąży, depresja poporodowa). Tu jednymi, szczegółowo wymienionymi przyczynami zaburzeń są ciąża i poród.

To zaledwie kilka z licznych przykładów antyrodzinnej i genderowej indoktrynacji zawartej w obowiązkowej EZ. Perfidny sposób, w jaki oszukano polskie rodziny, przymuszając dzieci do obecności na takich lekcjach, zasługuje na obywatelski sprzeciw. Znam rodziców, którzy już teraz deklarują odmowę uczestnictwa dzieci w zajęciach i są gotowi na represje, a jednocześnie zdeterminowani, by walczyć o swoje konstytucyjne prawa na drodze sądowej w Polsce i w Europie. ©℗

eprasa.pl 488600ea51

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

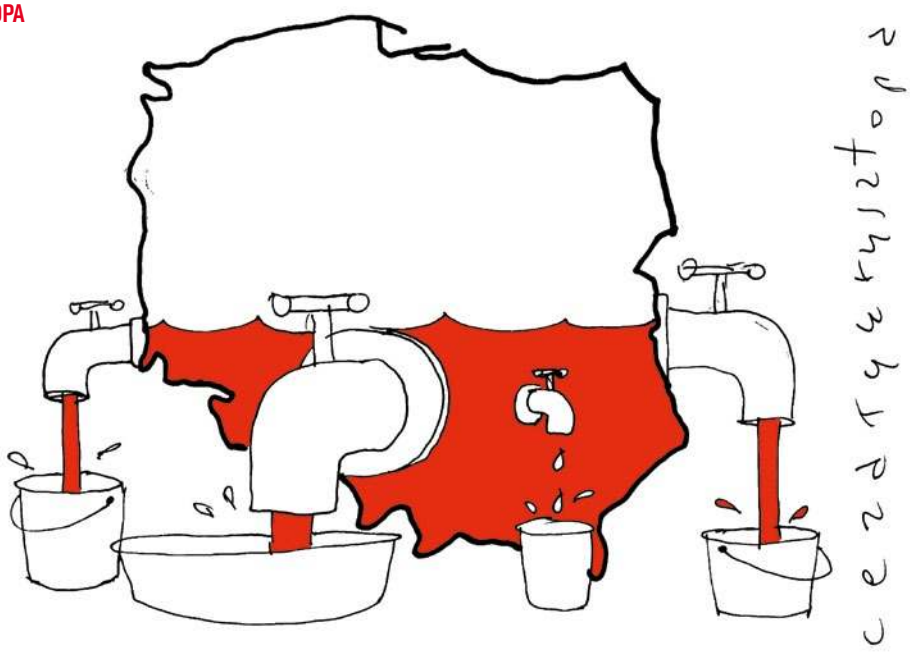

ĆWIERKOT

Nikogo tam nie było!



SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Z dziennikarskiego obowiązku (jaka fajna fraza!) musimy odnotować powstanie nowego gatunku wywiadu, mianowicie wywiadu adwokackiego. Stop. Co niezwykłe, gatunek ten powstał jednocześnie w dwóch telewizjach, a powstanie zawdzięczamy dwóm zaprzyjaźnionym ze sobą adwokatom: Romanowi Giertychowi i Jackowi Dubois. Stop. Obaj są obrońcami byłego szefa Zondacrypto Przemysława Krala. Stop. Tak się jakoś zdarzyło, że informacje o sprawie giełdy kryptowalut wyciekały do zaprzyjaźnionych z rządem dziennikarzy szerokim strumieniem skądś, a żeby je uporządkować, zaproszono Giertycha do TVP w likwidacji, a Dubois do TVN24. Stop. Dociekliwi dziennikarze zadali im wiele wnikliwych pytań. Stop. Teraz do sedna, czyli na czym polega specyfika wywiadu adwokackiego? Stop. Na wszystkie pytania adwokaci odpowiadali: „Nie mogę powiedzieć”, w związku z czym trudno określić wywiady jako szalenie interesujące, ale z pewnością informacje będą wyciekały dalej ze źródeł zbliżonych. Stop.

W związku z kryptoaferą tak tylko przypomnę, że 7 lutego tego roku o godz. 19.02 premier Donald Tusk zamieścił filmik na portalu X, na którym dostaje (znaczy za darmo) koszulkę Lechii Gdańsk z wielkim napisem sponsora swojego ukochanego klubu: Zondacrypto. Stop. Wartości koszulki nie podano. Stop.

Jak wiemy, Edżajla Mróz-Gorgoń nie jest już najlepszą specjalistą od marki w Polsce (tak ją przedstawił premier Donald Tusk) i nie jest już pełnomocnikiem rządu do spraw promocji marki Polski. Stop. Niektórzy mówią, że pracy pozbawiła ją sztuczna inteligencja, a inni, że straciła ją, bo za mało czytała, to znaczy nie chciało się jej przeczytać nawet raportu AI, za który miała dostać prawie 200 tys. zł. Stop. I pomyśleć, że reinkarnacja Dyzmy w spódnicy miała do wydania 670 mln zł dla swojaków na nikomu do niczego niepotrzebne bzdury! Stop. Ludzie! Czytajcie! To się opłaca!

Na koniec wspominki. Minęła właśnie niepostrzeżenie 16. rocznica kultowego artykułu „Libacja na skwerku” zamieszczonego w „Gazecie Wrocławskiej”. Tu możemy przytoczyć całość: „Policjanci dostali dzisiaj zgłoszenie, że na skwerku w jednym z wrocławskich parków grupka mężczyzn pije alkohol. Gdy funkcjonariusze przybyli na miejsce, okazało się, że nikogo tam nie ma”. Stop. Szokujące, ale szczęśliwe zakończenie. ©℗

eprasa.pl 488600ea51



ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

PRYWATNIE, ALE PUBLICZNIE

Trener fitness i zawodnik MMA Akop Szostak lubi dzielić się w Internecie głębokimi przemyśleniami na temat życia i miłości. Nie tylko przemyśleniami, lecz także szczegółami „prywaty". Po rozstaniu z żoną szybko wszedł w nowy związek, a zaręczyny nastąpiły jeszcze szybciej. W podobnym tempie Akop zakończył relację z Michaliną, jednak nie próżnował. Niemal natychmiast pokazał na Instagramie nową ukochaną, Aleksandrę. Nie trzeba było długo czekać, a para… wzięła ślub w Las Vegas. Początkowo wszyscy uznali to za internetowy żart, ale w rozmowie z Pudelkiem influencer uciął wszelkie spekulacje. Tymczasem część internautów zaczęła skrupulatnie wypominać celebrycie jego matrymonialną przeszłość oraz dawne zaręczyny, sugerując, że ze zbyt dużą łatwością podejmuje decyzje o ślubie. Szostak odpowiedział w swoim stylu. „Jest coś, co napiszę, bo uważam, że to, co się dzieje, jest już po prostu przesadą. Mówienie, że »kolekcjonuję śluby«, jest zwyczajnie krzywdzące. Byłem w życiu w jednym związku małżeńskim, a teraz jestem w drugim. Chciałbym też przypomnieć, że kiedyś również szybko wziąłem ślub, ale wcześniej byłem w tamtym związku przez 11 lat. Od naszego rozstania minęło już ponad 2,5 roku" – podkreśla wzburzony zawodnik MMA. Dalej odniósł się do uwag dotyczących jego wcześniejszych relacji oraz tempa wchodzenia w kolejne związki. „To, że później byłem zaręczony, również jest prawdą. Nigdy jednak nie zdradziłem. Z każdą osobą starałem się rozstać z szacunkiem. To, co dzieje się teraz, to wymyślanie historii, dopowiadanie sobie różnych rzeczy i zwykłe chamstwo" – wskazuje. Sportowiec zadeklarował, że nie zamierza publicznie „prać brudów". Oświadczenie Akopa Szostaka zakończył apel o opamiętanie. „Najbardziej denerwuje mnie wymyślanie powodów, dla których dochodziło do rozstań, i przedstawianie własnych domysłów jako faktów […]. To, po jakim czasie ktoś wchodzi w kolejny związek, nie daje nikomu prawa do obrażania tej osoby, wyzywania jej ani nazywania chorą psychicznie. To, co niektórzy ludzie piszą, już dawno przestało być zwykłym wyrażaniem opinii. W wielu przypadkach jest to po prostu hejt, przekraczanie granic i zwykłe chamstwo" – podsumował. Obrażaniu mówimy oczywiście „nie". Ale gdzie jest granica między życiem prywatnym a Instagramem? Niektórzy ją zatracili.



FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/DDTVN/EAST NEWS

SŁOŃCE, PIASEK, DOPAMINA

Pozostając w kręgach sportowych: triathlonista Robert Karaś przez długi czas żył między Polską a Dubajem. To właśnie tam spędzał znaczną część roku. Karaś podkreśla, że ZEA oferowały mu lepsze niż ojczyzna warunki życia i trenowania. W rozmowie z Plejadą porównuje życie w Dubaju i życie w Polsce. – Bardzo dobrze mi się tam żyło. Wiadomo, że plusy, minusy są wszędzie, natomiast mi się tam świetnie żyło. Było zdecydowanie mniej minusów niż plusów – wskazał. – Do mojej pracy jest lepiej, bo jest cały rok pogoda. Nawet jak jest tam ciepło, to mi się lepiej przerabiało te wszystkie zadania, które miałem do wykonania, więc nie ukrywam, że do mojej pracy zdecydowanie lepiej – w ogóle dla wszystkich ludzi – raczej jak jest słońce przez większą część roku, to mają więcej energii do życia – mówi. – Jest taka dopamina i jest taka chęć większa wychodzenia z domu. Jestem ciepłolubny, jak jest zimno, to ja nie lubię spędzać czasu poza domem, a w domu jak spędzasz cały czas czas, to też nie jest fajnie. Mi tam pasowało, ale to nie jest tak, że są same plusy – zastrzegł Robert Karaś. Fascynacja Dubajem polskich gwiazd jest zadziwiająca. Złośliwi twierdzą, że jest ona podlewana państwowymi pieniędzmi, których Emiraty nie szczędzą na uprawianie PR, ale to na pewno podłe plotki.

IDA ZA DALEKO

Polska widownia kojarzy aktorkę Agatę Trzebuchowską głównie z tytułowej roli w oscarowym filmie „Ida" Pawła Pawlikowskiego. Trzydziestoczterolatka postanowiła stanąć po drugiej stronie kamery i wyreżyserowała horror coming-of-age „Sick". Na łamach „Wysokich Obcasów" opowiedziała o swoim dziele, w którym pojawia się wątek kazirodczy. „Kazirodztwo fascynuje mnie od dawna. Z jednej strony pozostaje jednym z najsilniejszych społecznych tabu, z drugiej – wielokrotnie powraca w literaturze i filmie. Może dlatego, że wiąże się z czymś bardzo ludzkim i zarazem niepokojącym – z pragnieniem, którego nie powinno być, a którego nie da się powstrzymać. To z kolei generuje wstyd i lęk. Podobnie jak dojrzewanie. Dlatego postanowiłam połączyć oba tematy. Pomyślałam: Co się stanie, jeśli moi bohaterowie poczują właśnie takie pragnienie? Oraz czy i co ono może powiedzieć o ich lęku przed dorosłością?" – dywaguje reżyser. Na uwagę, że dotyka „mocnego tabu", Trzebuchowska odpowiada: „Wiedziałam, że ten temat może wywołać gwałtowne reakcje, i m.in. dlatego zdecydowałam się pokazać go w kostiumie horroru. Pomyślałam, że taka forma nada tematowi bardziej metaforyczny wymiar, a dzięki temu stworzy widzowi przestrzeń, żeby się do niego zbliżyć". Czy naprawdę potrzebujemy zbliżać się do tematu kazirodztwa? Niektóre kwestie nie bez przyczyny są tabu. I powinny nim pozostać. ©℗

eprasa.pl 488600ea51



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jesteśmy świadomi, iż oczekujecie od nas zabrania głosu w związku z tą okropną inbą związaną z profesorą Barbarą Mróz-Gorgoń oraz Marką Polska i tym raportem o Polakach wygenerowanym chyba przez jakąś niskopłatną AI. Jesteśmy bardzo zażenowani tym, co się stało w przestrzeni publicznej i medialnej. Of kors nasze zażenowanie dotyczy tego, w jaki sposób potraktowano profesorę i co sobie uczyniono głównym przedmiotem żartów i heheszków w tej całej przykrej sytuacji.

Na początku wyjaśnijmy sobie jedno: niespecjalnie nas interesuje te 200 tys., które rzekomo ktoś tam komuś zapłacił za raport. Nie od dziś wiemy, jak się traktuje pieniądze publiczne w tym kraju – jak kieszonkowe dla ulubionych osobodzieci. Więc że tym razem wylosowało się 200 tys., a nie 20 mln, traktujemy raczej jako zabawne nieporozumienie i nie mamy zamiaru z tego powodu się nad rządem pastwić. A poza tym za pisu też malwersowali i defraudowali, prawda?

Nie będziemy też wyrażać pretensji w sprawie wykorzystania AI. Takie czasy, kochani, iż każdy korzysta z AI, gdzie tylko może. Nawet jak Nowy z Tarnowa pisze do nas na Teamsach, abyśmy wpadli do niego do gabinetu, AI nam przygotowuje trzy drafty odpowiedzi w zależności od tego, czy chcemy odpowiedzieć miło, chamsko (czyli po Nowemu) czy neutralnie. Tak prawdę mówiąc, nie pamiętamy, kiedy ostatnio sami napisaliśmy e-maila. A gdyby ktoś nam kazał zrobić raport, no to już bez jaj – przecież sami byśmy tego nie napisali, wiecie, ile to ma stron? xD No więc nie: o AI też żalu nie mamy.

Moglibyśmy natomiast wyrazić delikatny żal do profesory o jedną rzecz: o przestrzelenie z językiem, jakim został napisany raport i jakim profesora posługuje się na co dzień. Oczywiście moglibyśmy, ale nie wyrazimy, iż byłoby to klasyczne victim blaming. A winnymi tej sytuacji są wyłącznie polskie janusze, które nie dorosły do nowoczesnego języka PR, brand awarenessu, marketingu, no po prostu nie wyczuły tego momentum.



Bo zauważcie, z czego była beka. Z „sufferingu", z „chlebowości", z „płaskiz". Czyli przede wszystkim z wyrazów pochodzących z języka angielskiego, iż przeciętny janusz po angielsku rozumie tylko „two beers please" wykute na pamięć na potrzeby pobytu na all-inclusive, z neologizmów w języku polskim, iż w swoim native language rozumie pewnie gdzieś i na co dzień używa ze 200 słów, a także ze zwykłej literówki, co odzwierciedla poziom poczucia humoru w tym kraju, gdzie najśmieszniej jest, jak ktoś się przewróci albo stanie na grabie.

Bo niestety, wciąż jesteśmy narodem, tzn. oni są narodem, który tkwi mocno zakorzeniony w traditional social platforms, jak np. Fejsbuk, albo w ogóle w mediach tradycyjnych, a nie buduje świadomie swojej professional career na LinkedIn. Gdyby tak było, gdybyśmy zamiast blue collars przeszli transformację w stronę white collar, to prawdopodobnie poziom osłuchania się z naukowym i profesjonalnym żargonem byłby wyższy. Może więc należałoby się zastanowić nad programem edukacyjnym dla osób wykluczonych językowo. Nie każdy ma wykształcenie i kompetencje, aby od razu stworzyć brand strategy czy przeprowadzić proces repozycjonowania marki, ale podstawowe pojęcia typu insight, purpose, suffering, awareness, case study czy feedback powinny się chyba znajdować w słowniku współczesnego Europejczyka? ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Wicepremier?

Magda, mogłabyś wpaść do mnie na chwilę?
Nie, Władku, nie mam czasu teraz.

Słucham? To jednak ja tu jestem ministrem. I wicepremierem.
Tak, tak, zamknij, proszę, drzwi, bo mi wieje.

Chyba się nie zrozumieliśmy. Od tygodnia leżą niepodpisane dokumenty...
Może za cicho powiedziałam: ZAMKNIJ, PROSZĘ, DRZWI. Z drugiej strony.

Bo?
Bo ja tu dla Donaldunia przygotowuję wystąpienie na jutro. I ciasteczka mu też upiekłam. I więcej mi tu bez pukania nie wchodź. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Sądzę, że właśnie zaczyna się w Polsce afera, która pogrąży brunatną prawicę".

ELIZA MICHALIK, *publicystka, na X o sprawie Zondacrypto*

eprasa.pl 488600ea51

dwaj panowie g

Jest problem. Rząd chętnie powołałby nowego pełnomocnika lub pełnomocnicę do spraw marki polskiej, ale istnieje uzasadnione podejrzenie, że wścibscy dziennikarze znów wszystko zepsują i będą się czepiać. A piniondze same się przecież nie rozdadzą. To nie to samo, co raporty, które same się napiszą w AI. Mamy więc propozycję. Należy powołać pełnomocnika, ale nie ujawniać, kto nim jest.

Powyższa propozycja kryje w sobie więcej możliwości, niż się na pierwszy rzut oka wydaje. Otóż taki niewidzialny, nieznany pełnomocnik mógłby pracować nad marką Polska w najbardziej nowoczesny sposób – czyniąc ją wirtualną. Mamy nawet dobrą nazwę: Markacrypto. W ten sposób wydawane na różne rzeczy piniondze byłyby realne, a korzyści – wirtualne, a nawet niedostrzegalne. Czyli tak jak z resztą rządowych operacji ekipy Złego Donalda z Sopotu.

Wszyscy myślą, że my tak dla jaj. Ale nie, po prostu też chcielibyśmy w jakiś ciekawy sposób zarabiać realne pieniądze. A na markach można czerpać z różnych źródeł. Na przykład słyszeliśmy od wiewiórek, że Fundacja Marka Polska dostała 292 191 zł od Polskiej Fundacji Narodowej. Nie wiemy, czy owa informacja polega na prawdzie, ale możemy zawołać tylko jedno: „za mało!”.

Dobrą passę pani Mróz-Gorgoń, która sczalendżowała się sama na outing z polityki, podtrzymywała w ubiegłym tygodniu inna dama Koalicji Obywatelskiej, Barbara Nowacka. „Jestem w dziwnej roli bycia gościnią i bycia... gospod… gospodarką?” – zastanawiała się publicznie podczas dorocznego Campus – Polen der Zukunft. Problem został wywołany przez to, że była na tej imprezie gościem i gospodarzem. Feminatywy = it’s complicated.

Niektórzy nowsi czytelnicy naszej wpływowej rubryki mogą się zdziwić: A cóż to takiego ten Campus – Polen der Zukunft? Cóż, to doroczna impreza Rafcia Trzaskowskiego, którą niewyedukowani Polacy z mniejszych ośrodków nazywają Campus Polska Przyszłości. A właściwie częściowo doroczna, bo np. w zeszłym roku jej nie było. Rafcio ogłosił wtedy, że „z powodów dosyć oczywistych nie możemy zorganizować Campusu Polska Przyszłości w dotychczasowej formule”. Lubimy to zdanie. Na różne sposoby określano już wygraną Karola Nawrockiego w wyborach prezydenckich. A nam i tak najbardziej podoba się określenie „powody oczywiste”.



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Tymczasem w koalicji rządzącej. Aby przykryć sprawę Szpitala Południowego oraz marki polskiej, podjęto decyzję, aby grzać aferę Zondacrypto i próbować przykleić ją do obecnej opozycji. Zaczęto od zatrzymania prezesa Polskiego Komitetu Olimpijskiego Radosława Piesiewicza. Co ciekawe, im więcej czasu upływa od jego zatrzymania, tym mniej poważne okazują się czyny, o które ma być podobno podejrzany. Istnieje podejrzenie, że właściwie głównymi powodami było to, że nikt Piesiewicza nie lubi, nawet w PiS, więc nikt go nie będzie żałował, oraz to, że dostał drogi zegarek od szefa Zondacrypto.

Bardzo ciekawi nas ten ostatni wątek. Proceder zatrzymywania ludzi za to, że mają drogie zegarki, ma przed sobą wielką przyszłość i ciekawą przeszłość. Poczytajcie w archiwach gazet, jakie zegarki oraz jakiej wartości gromadzili politycy PO za czasów poprzedniego reżimu Tuska. Właściwie głównym zajęciem określającym pozycję w piramidzie dystrybucji prestiżu było wtedy – oprócz picia wina przy meczykach z Donaldem – pokazywanie sobie nawzajem zegarków. Niektórzy sobie nawet co lepsze zegarki pożyczali. Liczymy na to, że znów o tych wszystkich zegarkach usłyszymy. Po 2027 r. Kiedy też będzie je trzeba pokazać. Podczas przekazywania do depozytu.

Jakiś czas temu jedna z największych spółek Skarbu Państwa złożyła zawiadomienie na zarząd tej firmy z czasów PiS. Prokuratura sprawą zajęła się na poważnie, a część czynności powierzyła jednostce policji zajmującej się przestępczością gospodarczą. Prokuratura i policja sprawę potraktowały poważnie. I rzeczywiście odkryły, że zarząd popełnił przestępstwo. Problem

eprasa.pl 488600ea51

jednak polegał na tym, że okazało się, iż przestępstwo popełnił zarząd obecny, nie zaś poprzedni. Ups.

Powyższa historia ma oczywiście oczywisty ciąg dalszy. Niebawem przełożeni dociekliwego prokuratora oraz sprawnych policjantów zaczęli sugerować, że właściwie to śledztwo powinno jednak zostać umorzone. Prokurator i policja grzecznie, acz stanowczo, odmawiali. Długo to nie trwało. Śledztwo zostało odebrane prokuratorowi i policji, a następnie przeniesione na wyższy szczebel. Tak zwane czynności powierzono zaś CBA. Cóż, mamy przekonanie graniczące z pewnością, że niebawem śledztwo zostanie umorzone.

Ładnych już wiele miesięcy temu ujawniliśmy treść tatuażu, który nosi osoba głowy państwa. Przypomnijmy, że głosi on – „rzeknij tylko jedno słowo a będzie uzdrowiona dusza moja". Zasadniczo nie jesteśmy wielbicielami dziar. Ale musimy powiedzieć, że bardziej zaimponował nam inny tatuaż. Otóż zdybaliśmy jednego z najbardziej znanych polskich mecenasów, Bartosza Lewandowskiego, w krótkim rękawku. Na przedramieniu miał wydziarany… Nie. Nie chińskiego smoka, nie żadną głowę lwa czy pantery ani tym bardziej nie krzyż celtycki. Jego ramię zdobi ni mniej, ni więcej, tylko… portret Sokratesa. Nie możemy tego skomentować inaczej: toś nam zaimponował w tym momencie, chłopie.

Wpadł nam w ręce numer magazynu „Mazowsze". Jest to pismo samorządu województwa mazowieckiego, znaczy struzikowców. Można się z niego dowiedzieć, że są pieniądze dla służby zdrowia, na zabytki, dla naukowców, na oczyszczanie ścieków i ogólnie, że jest dobrze. Oczywiście zawsze znajduje się także miejsce na odpowiednio atrakcyjne zdjęcia marszałka Adama Struzika. Jeden z artykułów przykuł naszą uwagę szczególnie. Nosi tytuł „Urząd Marszałkowski kuźnią kadr". Oprócz cudownego déjà vu głębokiego PRL, które dał nam ten tytuł, uzyskaliśmy też ciekawą wiedzę. Otóż: „Urząd Marszałkowski Województwa Mazowieckiego w Warszawie zatrudnia ponad 1700 osób i stale się rozwija". Co więcej: „nowe zadania i projekty oznaczają rosnące zapotrzebowanie na pracowników". Odetchnęliśmy z ulgą. Myśleliśmy, że już wszystko w Polsce zostało rozgrabione, a tu jeszcze wciąż wiele jest do zagrabienia.

Doczytaliśmy „Mazowsze" do końca i nie żałujemy, gdyż znaleźliśmy w nim także wywiad z naszym ulubionym aktorem, Danielem Olbrychskim. Ten autorytet moralny i światły rodak nie wpisał się jednak w ogólny optymizm pisma i na pytanie, czy docenia się dziś w Polsce kulturę, odrzekł, że z tym „żadna opcja polityczna nie może sobie poradzić, nawet ta, która dziś trzyma stery władzy. A więc ta, której powinniśmy strzec jak źrenicy oka. Ta mądra, liberalna i przede wszystkim proeuropejska". Potem jeszcze Olbrychski cytował Norwida, ale na nasz gust ten kawałek ze źrenicą oka to jednak lepsza poezja. ©℗

REKLAMA



eprasa.pl 488600ea51


贝壳财经
北奥集团
微博
智元
AGIBOT

IGRZYSKA ROBOTÓW HUMANOIDALNYCH

Sprint, boks, piłka nożna, tenis stołowy, skok wzwyż, przeciąganie liny, tai-chi... To tylko niektóre dyscypliny, w których od 22 do 26 sierpnia rywalizowało ponad 2 tys. robotów humanoidalnych z 16 krajów.

Nie zabrakło też niezwykłych rekordów. Chiński robot Tiangong Ultra pobił rekord ustanowiony przez najszybszego człowieka świata Usaina Bolta w biegu na 100 m w 2009 r. (9,58 s) i zdołał przebiec ten dystans w zaledwie 9,39 s. Ten sam humanoidalny zawodnik poprawił również swój własny rekord sprzed roku (wówczas sprint na 100 m zajął mu aż 21,5 s), a także rekord świata na dystansie 400 m (w tym przypadku był szybszy aż o niemal pięć sekund). Tiangong Ultra pokonał w wyścigu robota o nazwie Lightning marki HONOR, który uzyskał oficjalny czas 9,47 s. Podczas próbnych biegów Lightning zdołał zaś pokonać dystans 100 m w zaledwie 9,32 s, osiągając prędkość ponad 52 km/h.

Roboty humanoidalne pokonały też ludzkie rekordy w skoku wzwyż – najlepszy z nich osiągnął wynik 2,88 m (tymczasem rekord mężczyzn wynosi 2,45 m, a kobiet 2,10 m).

(jap) © ℗

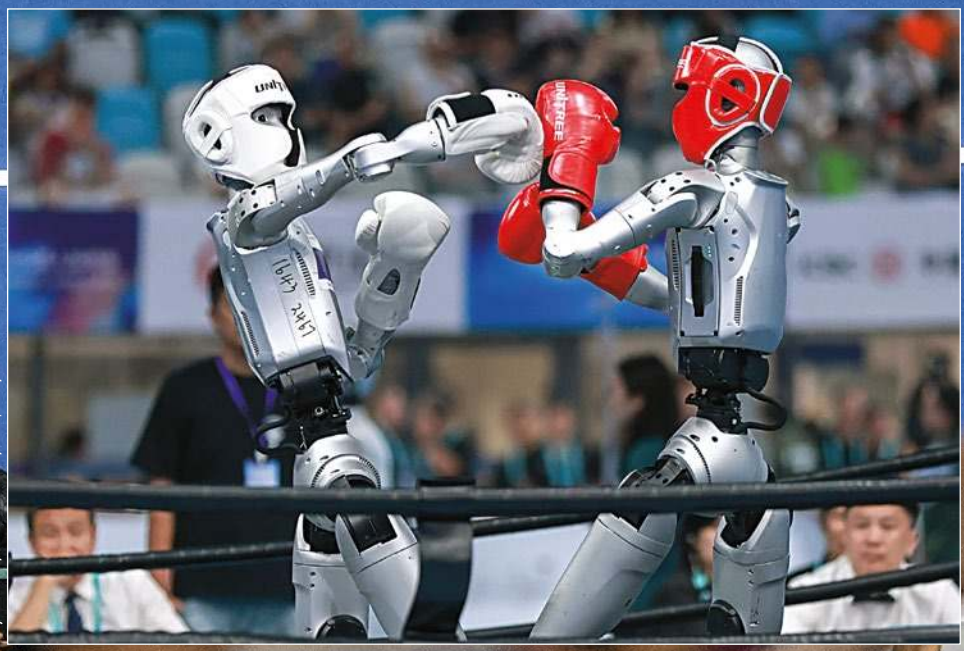

FOT. JU HUANZONG/XINHUA NEWS AGENCY/FORUM, IMAGO/PAP



Z Janem Pospieszalskim, dziennikarzem, autorem podcastu „Jan Pospieszalski rozmawia”, publicystą „Do Rzeczy”, muzykiem, kompozytorem i autorem tekstów

rozmawia Ryszard Gromadzki

Wszystko, co najważniejsze

eprasa.pl 488600ea51



FOT. MACIEK ZIELIŃSKI

RYSZARD GROMADZKI: W czasach, gdy w mediach królują sfalsyfikowane, zastępcze albo czcze przekazy, wciąż warto rozmawiać o sprawach istotnych, o Polsce?

JAN POSPIESZALSKI: Zacząłeś z wysokiego C. Mojej przygody z YouTube pewnie by nie było, gdyby nie Jacek Kurski. Patrząc z perspektywy ponad pięciu lat, które upłynęły od wyrzucenia programu „Warto rozmawiać" z TVP, w kwietniu 2021 r. przez prezesa Kurskiego i ówczesne władze telewizji publicznej, mogę powiedzieć, że nic lepszego nie mogło mnie spotkać. Właściwie powinienem pójść do Jacka Kurskiego ze skrzynką szampana, tylko obawiam się, że to nie on podjął decyzję w sprawie mojego programu, a nie wiem, czy Mateusz Morawiecki i Jarosław Kaczyński piją szampana. Podcast „Jan Pospieszalski rozmawia" ma dość krótką historię na YouTube. To, że w tej formie zaistniał, jest efektem spotkania z młodszym ode mnie o 40 lat Kubą, wspólnikiem i współredaktorem. Ten program jest sumą naszych wrażliwości, doświadczeń i wiedzy, zderzeniem metryk. Ponad 260 tys. subskrybentów podcastu i miliony odwiedzin miesięcznie potwierdzają, że nasza praca nie trafia w próżnię.

Rozpad Unii w kształcie, który dziś forsuje Komisja Europejska, jest nieuchronny

Nie trafia w próżnię, choć rozmawiasz o sprawach, które mainstream pomija albo którymi zajmuje się wyrywkowo, po wcześniejszej „obróbce" widza czy słuchacza. Stawiasz niewygodne pytania i – jak myślę – nie robisz tego wyłącznie dla zasięgów, tylko szukasz, przepraszam za wielkie słowo, prawdy.

Mamy za sobą dokładnie 281 podcastów zrealizowanych w ciągu dwóch lat. Wypada ok. 140 na rok. Uzmysłowiłeś mi, jak dużo było tych ważnych dla mnie spotkań i rozmów. Na przykład jak niedawna rozmowa z dr. Piotrem Witczakiem. Jednym z tematów była groźna dla wolności i praw obywateli ustawa określana mianem „lex szarlatan", która trafiła na biurko prezydenta Nawrockiego. O jej zawetowanie apelowały środowiska niezależnych lekarzy, prawnicy, liderzy opinii. Jednocześnie do prezydenta kierowane były stanowiska różnych „autorytetów", stowarzyszeń i organizacji pacjentów, opowiadających się za przyjęciem ustawy. Tymczasem, jak ustaliła nasza znajoma prawnik, z listów kierowanych do prezydenta przez rzekome organizacje pacjentów nie usunięto metadanych. Szablon tych stanowisk „za ustawą" wyszedł bezpośrednio od współpracownika rzecznika praw pacjenta. Później podpisywały się pod tym quasiorganizacje społeczne, które de facto okazały się grupami lobbingowymi finansowanymi z pieniędzy Big Pharmy.

Metoda tak pozorowanych konsultacji społecznych jest świetnie opisana w książce Marguerite Peeters „Globalizacja zachodniej rewolucji kulturowej". To samo instrumentarium wykorzystuje się w całym spektrum spraw, które forsuje lewicowo-liberalny mainstream, np. chcąc uzyskać społeczną zgodę na uchylenie prawnej obrony życia, przywileje dla politycznego ruchu homoseksualnego czy tranzycję dzieci.

Przychylność dla energetyki wiatrowej, przyjmowanie migrantów, zgodę na przyjęcie euro albo europejskie siły zbrojne. Otwarty katalog spraw, których przeforsowanie ma utrwalić „nowy porządek".

No tak. Co znamienne, ten sam mechanizm wykorzystany został podczas prac Synodu o synodalności, zainicjowanego przez papieża Franciszka. Miałem okazję szczerze rozmawiać z jednym z biskupów, który brał udział w kontynentalnej fazie synodu w Pradze, w 2023 r. Według jego relacji uczestnicy siedzieli przy 12-osobowych stołach. Każdy wygłaszał własną przemowę, ale nie mógł komentować wystąpień pozostałych czy polemizować z nimi. Następnie ktoś, w kolejnej fazie prac, „destylował" wszystkie stanowiska w przekaz, który był ostatecznie preparowany przez odpowiednią komisję, przybierając postać „ogólnych wniosków synodu", w których znalazły się tylko tezy potwierdzające ultramodernistyczną linię Franciszka.

Powiedziałeś, że wyrzucenie z TVP całej redakcji „Warto rozmawiać" w czasie tzw. pandemii było dla ciebie nowym początkiem. Czy zgodzisz

eprasa.pl 488600ea51

się, że czas covidowego zamordyzmu dotkliwie obnażył słabość naszego społeczeństwa, jego podatność na manipulację? Zdecydowana większość Polaków w ślad za tzw. autorytetami bez oporu godziła się na odbieranie sobie wolności, karmiona prymitywną propagandą serwowaną przez rząd.

Polacy znaleźli się wtedy w sytuacji, w której czujność środowisk tożsamościowych, głosujących zwykle na Prawo i Sprawiedliwość, jako zaufaną siłę, zawiodła.

Receptory wyborców były wystawione tak, by rozpoznawać świat według znanej dychotomii: Platforma kontra PiS, patriotyzm kontra Bruksela, i nagle okazało się, że „nasza strona" przejmuje narrację i realizuje politykę narzucaną nam przez WHO i zewnętrzne ośrodki regulacyjne. Wszyscy, którzy wcześniej przenikali manipulacje komisji Anodiny czy Laska w sprawie katastrofy smoleńskiej, bezbłędnie rozpoznawali zagrożenia związane z zawłaszczaniem przez Unię Europejską kolejnych obszarów polskiej suwerenności; skonfrontowani z narracją, którą forsowali panowie Morawiecki, Niedzielski czy Piątkowski i sam Kaczyński, uznali, że trzeba się do niej dostosować. Barometr sceptycyzmu, który mieliśmy w sobie, nie zadziałał.

A gdzie podziało się wtedy to genetyczne przywiązanie do wolności, przypisywane Polakom? Dlaczego przez Polskę nie ruszył „Konwój wolności", jak w sterroryzowanej poprawnością polityczną Kanadzie?

Ano właśnie. Jeżeli dodamy do tego psychozę strachu i to, że w sanitaryzm weszli szeroko hierarchowie kościelni, posuwając się nawet do gróźb w rodzaju: „Jeśli się nie zaszczepisz, to występujesz przeciw piątemu przykazaniu" albo: „Idąc do kościoła, narażasz innych na śmierć", to w tym momencie ludzie zostali bezbronni, nie mając oparcia w żadnych autorytetach, w żadnym ośrodku, który do tej pory konstruował ich wizję świata. To wszystko się zawaliło. Trzeba było samemu przedzierać się przez nachalną propagandę. Ale nauka nie abdykowała, wolne media nie przestały istnieć, tam sceptycyzm wobec szaleństwa, które zapanowało na świecie, był obecny. Jednak kiedy włączyło się TVP Info albo poszedłeś do kościoła, gdzie zakomunikowano ci, że pięć osób na Mszy wystarczy, a w ogóle możesz obejrzeć sobie Mszę Świętą w telewizji, to zostawałeś sam. W taki stan wpadło wówczas bardzo wielu porządnych ludzi.

Rozmawialiśmy wcześniej o manipulowaniu opinią publiczną i pozorowaniu konsultacji społecznych. Czy Polacy nie są masowo uwiedzeni mitem, według którego nasza obecność w Unii Europejskiej to warunek konieczny dalszej prosperity Polski?

Już nie. Delegując kompetencje i uprawnienia przynależne polskiemu państwu na Komisję Europejską, widzimy, jak to zadziałało choćby w przypadku zakupu szczepionek od Pfizera. Truizmem jest stwierdzenie, że wewnątrz Komisji Europejskiej toczy się twarda gra interesów narodowych. Weźmy sprawę migracji i przykład Danii, która zupełnie inaczej niż Polska ułożyła sobie swoją politykę w tym obszarze, lub sanację niemieckiego sektora bankowego i przemysłu po kryzysie finansowym w 2008 r. z pieniędzy Europejskiego Banku Centralnego, co było całkowicie wyłączone z zakazu wykorzystania środków publicznych dla ratowania firm. Teraz kolejnym przykładem jest umowa Mercosur.

Polityka, którą Polska po 2022 r. prowadziła wobec Ukrainy, była błędem. Dostaliśmy za tę naszą pomoc i postawę solidną nauczkę od Ukraińców

To samo dotyczy programu SAFE.

Oczywiście. Według wszelkich znaków na niebie i ziemi ten program będzie przede wszystkim ratował budżet Tuska i wspierał niemiecki przemysł zbrojeniowy, bo to w Niemczech jest on najlepiej rozwinięty w Europie. Z kolei wspomniana umowa Mercosur to koło ratunkowe dla niemieckiego przemysłu samochodowego po katastrofie w wymianie handlowej z Chinami. Niemcy pokładali wielkie nadzieje w ekspansji swojej motoryzacji na rynku chińskim. Skończyło się tym, że to Chińczycy zaczynają zalewać niemiecki rynek swoimi samochodami. Wracając do pytania, w Komisji Europejskiej mamy koncert mocarstw unijnych i to one będą decydowały o tym, jaką politykę Unia będzie realizowała. To oczywista oczywistość. Jeśli Polska będzie korzystała na dalszej obecności w Unii, to tylko jako przybudówka dla przemysłu niemieckiego.

Czy to nie właściwa pora, żeby Polska wyszła z Unii? Wprost mówi o tym tylko Korona Grzegorza Brauna, reszta partii broni fikcji albo chowa głowę w piasek.

To kalkulacja wynikająca z pokutującego w Polsce przekonania, że Unia Europejska jest dobrodziejstwem i nic lepszego nie może nas spotkać. A dla ludzi urodzonych po 2000 r. nie ma innej rzeczywistości, w związku z czym perspektywa rozluźnienia naszych związków z Unią lub funkcjonowania poza nią przekracza ich wyobraźnię. Natomiast w moim przekonaniu rozpad Unii w kształcie, który dziś forsuje Komisja Europejska, jest nieuchronny. Spójrzmy na siły odśrodkowe, które działają we Francji czy w Niemczech, takie jak AfD, która już we wrześniu ma realne szanse na zwycięstwa wyborcze w trzech niemieckich landach i być może samodzielne rządy w Saksonii-Anhalt. We Francji mainstream polityczny jest przerażony sukcesami sondażowymi Zjednoczenia Narodowego. Jeśli dodamy do tego Włochy, w których Bracia Włosi będą się radykalizowali, widząc, że już można, a w Hiszpanii partia VOX rośnie w siłę po tym, co dzieje się w Ceucie, to mamy nową sytuację. Tak czy inaczej, rozpad tego przeregulowanego molocha, którym jest Unia Europejska z ideologiczną szajbą genderowo-klimatyczno-migracyjną, jest nieuchronny.

To odległa perspektywa?

To jest perspektywa całkiem realna. Jeśli postulaty zgłaszane przez partie określane przez mainstream jako populistyczne albo skrajnie prawicowe zdobywają coraz szersze poparcie, to siły głównego nurtu próbują adaptować ich hasła do swoich programów. W Polsce taką rolę odgrywa partia Grzegorza Brauna. On wymusił przesunięcie nie tylko granic debaty, lecz także wyznaczył nowe linie w realnej polityce.

Zostańmy przy realnej polityce. Czy od bezwarunkowego poparcia politycznego i nielimito-

eprasa.pl 488600ea51

wanego rozdawnictwa dla Ukrainy i Ukraińców uzależnione są polska niepodległość i bezpieczeństwo naszego państwa?

To unisono zostało już chyba zakłócone. W obrębie Prawa i Sprawiedliwości, a nawet formacji rządzącej pojawiają się już głosy, nawołujące do asertywności w relacjach z Ukrainą. Trzeba powiedzieć jasno, że polityka, którą Polska po 2022 r. prowadziła wobec Ukrainy, była błędem. Dostaliśmy za tę naszą pomoc i postawę solidną nauczkę od Ukraińców. Dziś głosy ukrainofilów w Polsce wyraźnie przycichły. Nie można zapomnieć, że skutkiem wojny na Ukrainie jest obciążenie polskiego państwa ogromnymi kosztami. Tusk zaakceptował w imieniu Polski gigantyczną pożyczkę w wysokości 90 mld euro dla Ukrainy, którą finalnie spłacać będą także Polacy. Okazuje się też, że z programu SAFE jakiś haracz jest odprowadzany na rzecz Kijowa.

Do tego doliczyć trzeba rozdęty socjal dla Ukraińców przebywających w Polsce.

Postulat ukrócenia tego socjalu, zgłaszany choćby przez partię Brauna, spotkał się ze sprzeciwem. W dalszym ciągu funkcjonują absurdalne i niesprawiedliwe regulacje, które faworyzują Ukraińców kosztem Polaków. Pytaniem otwartym jest, na ile uszczelniony został system „800+" dla ukraińskich dzieci, których w Polsce nie ma. Ten rozbuchany socjal dla Ukraińców będzie nas sporo kosztował. Polski system finansów jest w straszliwym deficycie, a patologiczne rozdawnictwo dla Ukraińców go tylko pogłębia. Nie uczymy się na błędach.

Najlepszym przykładem, jak jesteśmy traktowani przez Stany Zjednoczone, które z jednej strony są protektorem Izraela, a z drugiej – zakładnikiem polityki Tel Awiwu, są kolejni amerykańscy ambasadorowie delegowani do Warszawy. Pani Mosbacher wskazana przez prezydenta Trumpa, a obecnie pan Rose, wchodząc z buciorami w nasze wewnętrzne sprawy, nie bawią się w żadną dyplomację

Czy takim strategicznym błędem, który popełnia Warszawa, jest polityka, w zasadzie wykluczająca jakikolwiek dialog z Rosją? Na dłuższą metę ten kurs może mieć dla Polski opłakane skutki?

Wszyscy ci, którzy uważali, że w polityce wobec Rosji trzeba się kierować realizmem, a więc przyjąć, że Rosja miała swoje racje, które pchnęły Putina do wszczęcia wojny w 2022 r., byli odsądzani od czci i wiary. Każdy pogląd (abstrahując od tego, czy działania Moskwy były skutkiem rosyjskiego imperializmu czy wynikały z poczucia strategicznego zagrożenia) uważany był za kwestionowanie polskiego DNA zbudowanego na doświadczeniu historycznym. Czym zatem jest bezkrytyczna postawa Polski wobec Ukrainy? Okazuje się, że w przypadku Ukrainy musimy zapomnieć o polskim doświadczeniu historycznym. Począwszy od Chmielnickiego, a skończywszy na potwornym ludobójstwie na Polakach, które dokonało się w latach 1939–1946 na Wołyniu, w Małopolsce Wschodniej, na Lubelszczyźnie czy Chełmszczyźnie. Pamięć o tym, jak widać, nie należy do naszego DNA, a dziejowa racja nakazuje nam bezwarunkowo wspierać Ukrainę.

Niestety, co do Rosji dokładnie taką narrację uprawia prezydent Karol Nawrocki, który przecież ma doskonałą świadomość dramatycznych polskich doświadczeń w relacjach z Ukrainą. Jak inaczej odebrać „szarżę" prezydenta w mowie wygłoszonej z okazji rocznicy prezydentury, 6 sierpnia, kiedy Karol Nawrocki mówił o poparciu dla „mordowania Sowietów" przez Ukraińców w kategoriach polskiej racji stanu?

Nie potrafię tego zrozumieć. Nie wiem, na ile można te słowa przypisać retorycznej swadzie głowy państwa. Jednocześnie Karol Nawrocki jest prezydentem, którego należy wspierać. W tym momencie lepszy prezydent nie mógł się nam trafić. Na „rynku" nie było lepszej politycznej oferty. Chłodna kalkulacja podpowiada, że to właśnie w prezydencie Nawrockim trzeba upatrywać nadziei na nowe rozdanie polityczne dające szansę na odsunięcie szkodnika Tuska od władzy. Co do bulwersujących słów, które padły 6 sierpnia, być może zawiódł prezydenta polityczny instynkt.

Karol Nawrocki jest prezydentem, którego należy wspierać. W tym momencie lepszy prezydent nie mógł się nam trafić

Stąd się bierze totalna pasywność rządów w Warszawie wobec państwa żydowskiego? Chodzi mi o całokształt wzajemnych relacji, nie tylko o bierność w sprawie ludobójstwa w Gazie.

Najlepszym przykładem, jak jesteśmy traktowani przez Stany Zjednoczone, które z jednej strony są protektorem Izraela, a z drugiej – zakładnikiem polityki Tel Awiwu, są kolejni amerykańscy ambasadorowie delegowani do Warszawy. Pani Mosbacher wskazana przez prezydenta Trumpa, a obecnie pan Rose, wchodząc z buciorami w nasze wewnętrzne sprawy, nie bawią się w żadną dyplomację. Prewencyjne oświadczenia ambasadora Rose'a, o tym, że Stany Zjednoczone nie zaakceptują żadnego przyszłego rządu w Polsce, w którym uczestniczył będzie Grzegorz Braun, są niebywałe. To nie do pomyślenia w suwerennym państwie. Myśmy się do tego niestety już przyzwyczaili i być może nie robi to na nas wrażenia, ale nie jestem sobie w stanie wyobrazić, że amerykański ambasador we Francji ostrzega ludzi przed rządami Marine Le Pen. Tam by to przyniosło odwrotny rezultat.

W Polsce zarówno obecny rząd, jak i poprzedni akceptuje te degradujące nasze państwo praktyki. Postawa, żeby tylko nie drażnić, irytująca uległość, lęk przed tym, co Izraelczycy mogą o nas pomyśleć albo jak dalece mogą nas spostponować na arenie międzynarodowej – to wszystko cechuje polską politykę od kilku dekad. Jak widać choćby na przykładzie tegorocznych obchodów w Jedwabnem, żaden rodzaj rewizji nie jest możliwy.

Nie uważasz, że jeśli chodzi o politykę wobec Izraela, to jesteśmy w kleszczach?

Tak, ale kolonizacja Polski dokonuje się nie tylko w tym obszarze. Widać to choćby w procesie Pfizer przeciw Polsce. To, że

eprasa.pl 488600ea51

rząd Mateusza Morawieckiego zgodził się na scedowanie zakupów szczepionek na Komisję Europejską, a rząd Tuska nie był w stanie rozpoznać zagrożenia, że te 5 mld 600 mln zł będziemy musieli Pfizerowi zapłacić, nie jest tylko kwestią krótkowzroczności. Nie mam żadnych złudzeń co do postawy etycznej Tuska. To cynik, po którym można się wszystkiego spodziewać. Ale nawet w jego otoczeniu są ludzie, którzy potrafią liczyć, i wiedzą, że uszczerbek prawie 6 mld w budżecie to nie jest błahostka.

Mimo szastania pieniędzmi na lewo i prawo w tej sprawie nawet elementarny instynkt samozachowawczy nie zadziałał. To dowód, że wobec globalnej korporacji państwo polskie zgięło kark. To po pierwsze. Po drugie, nie potrafiliśmy zabezpieczyć polskiego interesu, co było możliwe, uprzedzając pewne ruchy amerykańskiego koncernu. Przywołuję w tym miejscu świadectwo Grzegorza Płaczka, który jako jedyny polski parlamentarzysta pojechał do Brukseli na proces Pfizer kontra Polska. Według jego relacji, jak twierdzą prawnicy amerykańskiego koncernu, do pewnego momentu było okno możliwości, które pozwalało Polsce zakwestionować ustalenia Ursuli von der Leyen i wycofać się przynajmniej z części zobowiązań wobec Pfizera. Ponadto już podczas procesu pojawiła się opcja, która nie została przez Polskę właściwie wykorzystana, polegająca na możliwości wykazania koncernowi, że szczepionki, za które domaga się zapłaty, nie zostały w ogóle wyprodukowane. Na tamtym etapie procesu, jak twierdzi poseł Płaczek, jakaś forma ugody była jeszcze możliwa. To, że tych możliwości nie wykorzystano, jest skandalem. Tymczasem Polska przyjęła płaczliwą narrację: „Nie mamy kasy, bo pomagamy Ukrainie". Ten argument został przez prawników Pfizera wyśmiany.

Czas tzw. pandemii był dla Big Pharmy okresem wielkich łowów. Sprzyjała im polityka takich państw jak Polska, bezradnych wobec presji ze strony koncernów farmaceutycznych.

Sprawa wraca „na pełnej..." po ujawnieniu dzienników Fauciego. Z ich lektury wynika, że sam „architekt covidowej paniki" wiedział, że śmiertelność zarazy jest na poziomie sezonowej grypy, że szczepionki nie tylko nie przeszły wymaganych badań, lecz także powodują szkody i w końcu – że nie blokują transmisji wirusa.

Co do bulwersujących słów, które padły 6 sierpnia [Karol Nawrocki mówił o „mordowaniu Sowietów" przez Ukraińców w kategoriach polskiej racji stanu – przyp. red.], być może zawiódł prezydenta polityczny instynkt

W tym kontekście pytanie, czy to właśnie Grzegorz Cessak, prezes Urzędu Rejestracji Produktów Leczniczych i Biobójczych, podjął decyzję o eksperymentach medycznych ze szczepionkami na dzieciach w zakładach opiekuńczych, domaga się publicznej odpowiedzi! Jeśli tak, to należy wszystkich odpowiedzialnych pociągnąć do odpowiedzialności. Ta sprawa jest wstrząsająca. Pokazuje skrajny cynizm „elit" rządzących polskim państwem. Te diaboliczne praktyki na polskich dzieciach powierzonych opiece państwa wykazała kontrola poselska w URPL, której byłem świadkiem. Dzięki kontrolom poselskim Grzegorza Brauna wyszło również na jaw, że polskie instytucje powołane do badania leków w ogóle nie badały szczepionek przeciw COVID. Ci ludzie bez żadnej żenady tłumaczyli, że po co mieli to badać, skoro preparaty były dopuszczone przez Europejską Agencję Leków.

Dramatem jest, że opinia publiczna w Polsce ma tak znikomą wiedzę na temat skutków kolonizacji agend państwa przez Big Pharmę.

Tak właśnie jest teraz w kolejnej sprawie, gdzie koncerny farmaceutyczne dosłownie wymusiły na obecnej ekipie rządzącej wprowadzenie od 1 stycznia obowiązku szczepień na HPV dziewięcioletnich dzieci. Nigdzie na świecie ta szczepionka nie jest obowiązkowa. Nigdzie też statystyki nie wykazały jej skuteczności. Co więcej, ostatnio producent tej szczepionki, firma Merck, w ramach ugody wypłacił osobom poszkodowanym i rodzinom skarżącym koncern za poważne powikłania poszczepienne (niektóre ze skutkiem śmiertelnym) wielomilionowe odszkodowania. Ugoda uchroniła koncern przed ujawnieniem w trakcie procesu bardzo niewygodnych dla firmy faktów związanych z opracowaniem i badaniami nad szczepionką i poszczepiennych działań niepożądanych. Po tym wszystkim, co już wiemy, wprowadzony w Polsce, obligatoryjny proceder aplikowania dzieciom tego preparatu jest skandalem. To kolejny dowód na to, jak przemysł farmaceutyczny przez swoją agenturę wpływu wymusza regulacje prawne, które mogą być groźne dla milionów małych pacjentów.

A więc skierowana przez prezydenta Nawrockiego do Trybunału Konstytucyjnego ustawa, określana jako „lex szarlatan" (choć bardziej odpowiednio byłoby raczej nazwać ją „lex Big Pharma"), miała być domknięciem systemu. Pacjenci są bez szans, a za krytykę Big Pharmy można np. stracić kanał na YouTube lub być puszczonym z torbami... To kolonizacja Polski w wersji mega.

Tak. Przy czym realizatorem tej turbokolonizacji będzie polski urzędnik, w tym wypadku Bartosz Chmielowiec. Nie znam żadnej wypowiedzi pana Chmielowca ani jego interwencji, gdzie upomniałby się o pacjentów zmarłych w trakcie pandemii – czy to pod respiratorami, czy wskutek odmowy stosowania dostępnych środków antywirusowych. Nie słyszałem też o żadnej interwencji pana Bartosza Chmielowca w sprawach zmarłych pacjentów, którzy wtedy, z powodu paraliżu systemu opieki zdrowotnej, nie zostali dopuszczeni do zabiegów chirurgii onkologicznej lub kardiologicznej. Dziś ten typ miałby dostać uprawnienia de facto ustawodawcy (bo proces legislacyjny był kontrolowany przez RPP i jego ekspertów), prokuratora, sądu i instancji odwoławczej, co w demokratycznym państwie nie ma racji bytu.

Rzecznik praw pacjenta jako dyktator.

Ta regulacja uderza w nas wszystkich, także w wolność słowa, dlatego że nieostre pojęcia – tzw. aktualna wiedza medyczna, pseudomedycyna czy dezinformacja medyczna – pozwalają nawet ścigać matkę, która na szkolnej

eprasa.pl 488600ea51

wywiadówce oprotestuje szczepienia na HPV. A przecież ten rodzaj szczepień dotyczy nowotworu, na który zapadają zwykle osoby bardzo często zmieniające partnerów seksualnych, czyli trudniące się zawodowo tzw. sexworkingiem. Dywanowe szczepienie całych roczników polskich dzieci sugeruje, jaką przyszłość dla dziewięcioletnich dziewczynek i chłopców projektuje obecny minister zdrowia, a w ślad za nim nauczyciele i rodzice.

Kto zatrzyma ten rynsztok? Czy będzie to w stanie zrobić prawicowa koalicja, jeśli po przyszłorocznych wyborach uda się taką wyłonić?

Nadzieja umiera ostatnia. Liczę na otrzeźwienie, przynajmniej jakiejś części Prawa i Sprawiedliwości, notabene którego posłowie przy głosowaniu „lex szarlatan" tchórzliwie wstrzymali się od głosu. Wyłamało się zaledwie kilkoro. Ten przypadek pokazuje, że parlamentarzyści PiS nie przeczytali tej nowelizacji. Przecież na pierwszy rzut oka widać, że ustawa urąga konstytucji! To będzie

Nie tylko Kaczyński, Morawiecki, Mentzen czy Bosak mogą zaprzepaścić szanse na porozumienie prawicy. Dotyczy to także Grzegorza Brauna, jeśli nie będzie dostatecznie czujny

im zapamiętane. Nadzieja w tym, że wyborcy wymuszą na parlamentarzystach PiS i na rozłamowcach, by ci, w tak wrażliwych kwestiach, posługiwali się własnym sumieniem i rozumem i nie maszerowali w rytm werbelka Kaczyńskiego czy Morawieckiego. Wymuszenie paktu senackiego jest możliwe. Mobilizacja konserwatywnych wyborców i doprowadzenie do paktu senackiego wbrew oczekiwaniom ambasadora Rose'a czy innych ośrodków zewnętrznych stwarza szansę na realną zmianę polityczną. W Europie, jak mówiłem, też czuć zmianę. Paradoksalnie, choć widzę w programie AfD poważne zagrożenia dla Polski, to jednak ich polityka rozmontowująca dyktat oligarchicznego superpaństwa UE jest zbieżna z dążeniami polskich sił konserwatywnych. Mam nadzieję, że w związku z tym ośrodki zewnętrznej kontroli będą miały więcej problemów w Europie, dzięki czemu pakt senacki stanie się faktem. A ponadto będzie to prawdziwym probierzem intencji zarówno ze strony PiS, jak i panów Morawieckiego, Bosaka i Mentzena. Jednak żeby nie było tak sielankowo, jako wieloletni obserwator polityki mam pełną świadomość, że na pewno będą podejmowane próby wprowadzenia do Korony Grzegorza Brauna jakichś fejkowych liderów, „patriotów ostatniej godziny", nagłaśniania dziwacznych wypowiedzi ludzi, którzy dziś aspirują do znalezienia się na listach Grzegorza Brauna, żeby odpalić przed wyborami „protokół 4 proc.", jak często widzieliśmy w przypadku Korwin-Mikkego, którego niektóre tezy w ostatniej chwili rujnowały szanse zdobycia wymaganego poparcia. Nie tylko Kaczyński, Morawiecki, Mentzen czy Bosak mogą zaprzepaścić szanse na porozumienie prawicy. Dotyczy to także Grzegorza Brauna, jeśli nie będzie dostatecznie czujny.

Publicznie występujesz nie tylko jako dziennikarz, publicysta, autor podcastu, lecz także jako muzyk. Czy muzyka to odtrutka na to, co niesie świat polityki? Przestrzeń prawdziwej wolności?

To pasja i profesja uprawiana przeze mnie raz lepiej, raz gorzej, rzeczywiście daje poczucie wolności i niezależności. Z jednej strony pozwala uwolnić emocje i zresetować mózg od ciężkich tematów. Daje też wytchnienie i otwiera zupełnie inny świat. Z drugiej, po prostu daje szansę utrzymania się. Z naszą rodzinną orkiestrą wykonaliśmy ogromną robotę, której efektem jest powstanie nowej płyty pt. „Dom", do tekstów polskich poetów, a tytułowy kawałek inspirowany jest tekstem homilii Jana Pawła II wygłoszonej w Wadowicach.

Tam, gdzie wszystko się zaczęło...

Tak, „W rodzinnym domu, gdzie wszystko się zaczyna i życie, i miłość". Na podstawie tej homilii mój brat Mateusz skompilował bardzo zgrabny tekst, do którego stworzył muzykę. Ta płyta zawiera także kompozycje do tekstów polskich poetów: Norwida, Leśmiana, Iłłakowiczówny, Herberta, Baczyńskiego, Stachury. Koncerty z tym programem przyjmowane są owacjami na stojąco. Do tej pory wydawało się, że poezja śpiewana to pan w kraciastej, flanelowej koszuli, gitara akustyczna, flet prosty i dziewczyna z długimi tłustymi włosami. My zaproponowaliśmy zupełnie inną konwencję. Wspaniałe kompozycje moich braci i bratanków, przebogate aranże i wirtuozerskie wykonania. Prawdziwy czad. Nasze wspólne granie jest nie tylko przepustką do świata pięknej muzyki i poezji, lecz także do dużych sal koncertowych, co pozwala zarobić parę groszy, a to oznacza, że algorytmy platform internetowych nie będą moim treserem. Teraz przygotowujemy świąteczną trasę koncertową na cały styczeń przyszłego roku. Mam nadzieję, że dla nas i dla publiczności będzie to piękna przygoda. Ale chcę się podzielić z tobą na koniec jeszcze jedną rzeczą, która jest dla mnie bardzo ważna, bo dotyczy polskich dzieci.

To dla mnie też ważne, także jako dziadka trojga wnuków.

Powinniśmy przykładać ogromną wagę do przejrzystości polityki edukacyjnej i medycznej wobec dzieci. Mówię to w związku z wprowadzeniem obowiązkowej tzw. edukacji zdrowotnej i obowiązkowych szczepień, nie tylko przeciw HPV. Nie dajmy się zwieść. EZ, nawet po wyjęciu komponentu seksualnego, zawiera potężną indoktrynację ideologiczną. Jako jedyny przykład przyczyn depresji wskazano ciążę. Ponadto forsowane są religia klimatyczna i „dieta planetarna". Jeśli zaś chodzi o obowiązkowe szczepienia, to ich kalendarz w Polsce jest jednym z najbardziej rozbudowanych. Już od pierwszej doby noworodki szprycowane są preparatami, z których większość nigdy nie przeszła randomizowanych badań. Polskie dzieci nie są własnością państwa ani polityków, tym bardziej Big Pharmy. Podchodzę do tego bardzo emocjonalnie, bo też mam cudowne wnuki, w tym dziewięciolatka, który potencjalnie od przyszłego roku mógłby podlegać szczepieniom HPV. Ja nie pozwolę – k....! – żeby naszym wnukom, polskim dzieciom ktoś zrobił krzywdę. Bo na końcu tylko one się liczą. Sam o tym wiesz.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 488600ea51



Rafał A. Ziemkiewicz

Uciekający



„Nie wybieram się do Brukseli. Nigdzie się nie wybieram, mówiłem to już ze sto pięćdziesiąt razy – to, co mamy do zrobienia w Polsce, jest najważniejsze, i na tym się skupiam". Tę deklarację Donald Tusk złożył publicznie pod koniec lipca 2014 r., w istocie po raz kolejny – o tym, że nie ubiega się o żadne stanowisko w UE, zapewniał wcześniej może nie aż sto pięćdziesiąt razy, ale wielokrotnie. W sierpniu Rada Europejska wybrała Tuska na jej nowego przewodniczącego, a w połowie września ówczesny prezydent, Bronisław Komorowski, przyjął jego dymisję z funkcji premiera. Dziś Tusk zachowuje się podobnie

W 2015 r. Bronisław Komorowski wraz z Ewą Kopacz, którą wyznaczył Tusk na swoje miejsce, doprowadzili Platformę Obywatelską do katastrofy: podwójnej przegranej i utraty władzy na dwie kadencje. W istocie zjazd po równi pochyłej zaczął się wcześniej. Już niemal dwa lata przed wyborem Tuska na szefa RE, we wrześniu 2012 r., Roman Giertych ostrzegał w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej", że gwałtowny skręt w lewo, dokonany przez Donalda Tuska, może doprowadzić do wyborczego zwycięstwa PiS. Polacy, argumentował Giertych, są z usposobienia tradycjonalistyczni, centrowi i bardzo podobała im się dotychczasowa narracja Tuska, który dystansował się od „skrajności" z lewa czy prawa i prezentował jako zdroworozsądkowy „pragmatyk", niechętny wszelkim ideologiom, zainteresowany jedynie „ciepłą wodą w kranie" oraz budowaniem autostrad, mostów i stadionów. Ponieważ Giertych radę na zauważalną zmianę kursu PO ku lewicy, i to

eprasa.pl 488600ea51



FOT. GRZEGORZ KRZYŻEWSKI/FOTONEWS/FORUM

Tusk

w jej najbardziej „genderowym" wydaniu, widział w uzupełnieniu rządzącej koalicji o komponent katolicko-narodowy (ale „konstruktywny", taki w stylu PRL-owskiego Stowarzyszenia PAX) i podejmował się sam taki komponent stworzyć, jego przestrogi uznano za autopromocję i nie potraktowano ich poważnie. Tylko nieliczni zastanowili się, że jakiekolwiek byłyby jego motywacje, Giertych powiedział prawdę. Retoryka „ciepłej wody w kranie" i wizerunek technokraty sprawdzały się Tuskowi doskonale. Dlaczego więc zaczął od tego odchodzić, kokietując skrajną lewicę poparciem dla „konwencji stambulskiej" i przejmowaniem jej retoryki w sprawach obyczajowych? Sondaże wskazywały wyraźnie, że to sposób na utratę popularności, a nie jej zwiększenie.

OCZEKIWANIA „EUROPY"

Rok później ta zagadka się wyjaśniła. Po wyborczym zwycięstwie w 2011 r. Tusk nie był już zainteresowany wygraniem kolejnych wyborów za cztery lata ani trzecią kadencją premierowania, ani nawet prezydenturą w Polsce. Postanowił zawalczyć o coś, w jego przekonaniu, lepszego – szefowanie Radzie Europejskiej. Polityczny skręt w lewo był tylko częścią prowadzonych dyskretnie, ale rozbudowanych zabiegów mających umożliwić mu przejście do nomenklatury unijnej. Tusk już nie potrzebował akceptacji polskiego, zacofanego obyczajowo społeczeństwa – potrzebował się podobać postępowej, coraz bardziej tęczowej Europie. Czy nie zdawał sobie sprawy, że budując swoją popularność w kręgach eurokracji i lewicowo-liberalnego establishmentu głównych państw Unii, niweczy szanse swojej macierzystej partii? Zapewne tak, ale nic go to nie obchodziło. Nie przewidywał wtedy, że za kilka lat zostanie zrzucony z unijnej karuzeli i z powrotem wysłany do Polski, by „odzyskać ją dla Europy".

Warto przypomnieć sobie tamte czasy i tamte „ze sto pięćdziesiąt razy" powtarzane zapewnienia, bo dziś Tusk znowu zachowuje się podobnie: nie kieruje się zachowaniami Polaków, ale oczekiwaniami „Europy". Szczególnie jaskrawo widać to w sprawie Ukrainy. W czasie gdy ogół Polaków przejawia coraz dalej idącą irytację polityką Kijowa i gdy narastają tarcia między goszczącymi w Polsce Ukraińcami a Polakami, premier idzie tym nastrojom pod prąd, a nawet wręcz prowokuje ich zaostrzenie, przodując w insynuowaniu Polakom „antyukraińskiej agresji" i nadymaniu do absurdalnych rozmiarów drobnych incydentów typu „pani w sklepie w dosadnych słowach powiedziała Ukraince, żeby wracała do siebie", przy jednoczesnym tuszowaniu i relatywizowaniu wszelkich incydentów, w których to Ukraińcy są sprawcami, a Polacy ofiarami.

Samo zorganizowanie hucznych warszawskich obchodów dnia niepodległości Ukrainy przez polityków, którzy notorycznie ignorują i bojkotują – wzorem premiera – patriotyczne rocznice i uroczystości polskie, wylewają corocznie pomyje na Marsz Niepodległości oraz usiłują na wszelkie sposoby w nim czy w Marszu Powstania Warszawskiego przeszkadzać, to wystarczająco mocny symbol odklejenia się Koalicji Obywatelskiej od społeczeństwa. A już wysłanie na te uroczystości Waldemara Żurka, żeby publicznie chwalił się, że oderwał od innej pracy 100 prokuratorów, by zajmowali się obroną Ukraińców przed przestępstwami i nienawiścią ze strony Polaków, to pewny sposób, by ściągnąć na władzę Koalicji Obywatelskiej powszechną złość. Oczywiście postmichnikowe salony, łase na wszystko, co pozwala im się czuć lepszymi od zwykłych Polaków, są tą kampanią rozanielone i chętnie się w nią włączają. Ale dla popularności władzy musi ona przynieść skutki fatalne.

NAWET SIĘ NIE CHCE UDAWAĆ

Podobnie jest z narzucanymi Polsce wymogami Unii Europejskiej. Do pewnego momentu Tusk starał się stworzyć wrażenie, że jest po stronie Polaków, zapewniał, że nie dopuści do narzucenia Polsce kolejnych ETS-ów i rozszerzenia norm emisji dwutlenku węgla; kłamał, że „załatwił" zwolnienie Polski z paktu migracyjnego… Od pewnego czasu jakby nie chciało mu się już udawać, przeciwnie – wzięcie pożyczki SAFE (na nieznany procent – rzecz bez precedensu) i rozdysponowywanie KPO na projekty „farm wiatrowych" czy inne kompletnie Polakom niepotrzebne gadżety klimatyczne uczynił osią rządowej propagandy. Wysoko umieścił w niej także „transkrypcję" do Polski zawartych za granicą „małżeństw" homoseksualnych, choć

eprasa.pl 488600ea51

wszystkie badania nastrojów pokazują, że wśród spraw, którymi zdaniem ankietowanych powinien się zajmować rząd, „związki partnerskie" są na samym końcu, z niszowym wskazaniem rzędu kilku procent.

Wszystkie te sprawy – i wiele innych, na wymienianie których nie ma tu miejsca – łączy jedno: Tusk zachowuje się w sposób wskazujący na to, że znowu bardziej zależy mu na tym, co powiedzą i napiszą o nim zachodnie media, zachodni politycy i urzędnicy, niż na poparciu dla siebie i swojej formacji w kraju.

Czy to wystarcza, by podejrzewać, że znowu, jak w latach 2012–2013, szykuje się do ucieczki, a jego zaprzeczenia są równie kłamliwe jak wtedy?

Są też inne przesłanki. W kuluarach Sejmu krążą opinie – potwierdzane przez dziennikarzy – że „Donald już pogodził się z przegraną", że mówi swoim współpracownikom, iż „ogólny trend w całej Europie jest na prawo, a z trendem nie da się wygrać". Te plotki może są prawdziwe, może nie, ale mają moc samosprawdzającej przepowiedni. Ludzie związani z władzą, słysząc je, tracą chęć do dalszego angażowania się w jakiekolwiek „rozliczenia" i „przywracanie praworządności", z kolei wyraźne wyhamowanie „rozliczeń" tym spowodowane powoduje stopniowo dalsze obniżenie nastrojów w koalicji, które zniechęca do działania kolejnych polityków i „liderów opinii". Tusk sprzed lat, ten, do którego się przyzwyczailiśmy, natychmiast w takich sytuacjach reagował. Ruszał w Polskę spotykać się z wiernymi wyborcami, zwoływał klub poselski, rzucał nowe pomysły, mające tchnąć w jego wyznawców ducha. Tak zrobił jeszcze po przegranych wyborach prezydenckich.

Spotkania, które wtedy odbył – ostatnie z nich w Piotrkowie Trybunalskim – były ostatnim jego kontaktem z szerszą publicznością. Polityk, który kiedyś w kontakcie z tłumem czuł się jak salamandra w ogniu, uruchamiając cały swój talent do uwodzenia, wszystkie niebagatelne zdolności demagoga i manipulatora, teraz przed tłumami ucieka. W Święto Wojska Polskiego umknął do zamkniętej bazy wojskowej w Gdyni, gdzie przemawiał do wyselekcjonowanej publiczności. Bał się, że w innym wypadku mógłby zostać wygwizdany, wybuczany? Najwyraźniej tak.

Tusk nie spotyka się także z koalicjantami, a nawet z szeregowymi politykami własnej partii. Nie zagrzewa ich do działania, nie dodaje ducha, nie pokazuje, jak wyjdą z wizerunkowego kryzysu, jak odpowiedzą na nowe wyzwania. Wydaje się kompletnie wypalony i wycofany, zamknął się w kręgu bliskich współpracowników i nie dopuszcza do siebie nikogo innego. W mediach wygłasza te same od lat tyleż agresywne, ile rytualne filipiki przeciwko PiS, prezydentowi i bliżej niesprecyzowanym „nacjonalistom", którzy chcą nas zepchnąć z jedynie słusznej drogi integracji europejskiej. I wydaje się, że to jedyne tematy, przy których się ożywia.

Tymczasem na niższych rangą funkcjonariuszy władzy sypią się jedna za drugą afery, z których muszą się tłumaczyć w okręgach wyborczych, a lider nie daje im żadnych wskazówek, czego się powinni trzymać. Pedofilsko-zoofilski skandal w Kłodzku, przeputanie KPO na jachty i seksklub, okradzenie powodzian, SOR i prosektorium Szpitala Południowego, nieprzesłuchany od miesięcy Kacprzyk i ewidentne „zamiatanie" jego sprawy, „wyciek" danych wrażliwych 19 mln pacjentów i bezradność rządu, który potrafi tylko doradzić zagrożonym, by zastrzegali PESEL-e, coraz to nowe informacje o dojeniu państwa, a to na „emerytury dla artystów", a to na lewe ekspertyzy i „markę Polska", chybione nominacje, z których trzeba się wycofywać po kilku tygodniach… Z tego wszystkiego muszą się funkcjonariusze władzy tłumaczyć swoim własnym zwolennikom, którzy też chcieliby wiedzieć, co mówić znajomym i sąsiadom. Ale się tego nie dowiadują, bo „kierownik" odsunął się i tylko od czasu do czasu można się dowiedzieć, że znów się z tego czy innego powodu wściekł. I ten narastający lęk, że być może zamierza, znowu, tak jak to było z Komorowskim i Kopacz, powiedzieć: ja uciekam do Europy, a wy sobie teraz radźcie, jak potraficie, a jak nie potraficie – wasz problem.

Z pozoru – mimo to pozostają wierni, sondażowe poparcie dla władzy spada wprawdzie, ale w sposób dość stabilny. Inaczej to jednak wygląda, gdy spojrzymy na rubryki „zdecydowanie popieram" i „raczej popieram". Ta pierwsza to dziś w wypadku rządu dosłownie 2–3 proc. A kolejne dwadzieścia parę, które popierają „raczej", może zmienić zdanie w każdej chwili. I nikt nie jest w stanie przewidzieć, kiedy ich cierpliwość się wyczerpie.

TUSK ZAWIÓDŁ NA CAŁEJ LINII

Czy Tusk liczy i czeka na propozycję przejścia, znowu, do aparatu urzędniczego Unii? Zapewne ma nadzieję, że UE nie chce tracić Polski i pozwalając mu się usunąć na jakąkolwiek europosadkę, z zachowaniem twarzy i z immunitetem, może chcieć otworzyć drogę dla jakiegoś polskiego Magyara. Ale równie dobrze Unia, sama mająca dziś dość problemów z AfD, Le Pen i innymi „populistami", może uznać, że skoro Tusk ją zawiódł i nie „odzyskał" Polski trwale dla budowanego „państwa unijnego", może lepiej rzucić go Polakom na pożarcie. Jest zasadnicza różnica między sytuacją Tuska przed 13 laty a teraźniejszą. Wtedy szedł na unijną synekurę jako zwycięzca, dynamiczny lider, który przyprowadził swój kraj do europejskiej zagrody, rozpędził w nim wzrost gospodarczy, ugruntował prounijne nastroje i wyleczył go z tradycjonalistycznych przesądów, promując „gender", LGBT, „inkluzywność" i wszystkie możliwe europejskie nowości.

Dziś Tusk w oczach europejskiego establishmentu to człowiek, który zawiódł na całej linii, „nie dowiózł" pokładanych w nim nadziei. Po wyborczym zwycięstwie nad PiS w październiku 2023 r. wzbudzał w unijnych gremiach autentyczny entuzjazm. Widziano w nim polityka, który „znalazł radę na prawicowy populizm", odwrócił wreszcie niekorzystny dla postępowo-liberalnych elit trend, rozpoczął skutecznie „rekonkwistę". Potem nadchodzące z Polski wieści zaczęły budzić zniecierpliwienie, irytację, rozczarowanie… Dziś z entuzjazmu sprzed trzech lat nie pozostało nic.

A skoro Tusk zawiódł, to dlaczego właściwie dawać mu synekurę i immunitet w Unii Europejskiej? Za to, że się starał, że gorliwie realizował w swoim kraju interesy unijnych mocarstw, mówiąc krótko – z wdzięczności? Wdzięczności w polityce nie ma. Są pożytki i zagrożenia. A trudno powiedzieć, czym przegrana Tuska miałaby dziś Unii zagrozić ani jaki pożytek miałoby przynieść „Europie" przyznanie mu jakiejś ciepłej posadki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 488600ea51

FORUM EKONOMICZNE

DOLNY ŚLĄSK
GŁÓWNY PARTNER

XXXV FORUM EKONOMICZNE

8-10 września
2026

Hotel Gołębiewski
Karpacz



ARCHITEKTURA NOWEGO PORZĄDKU
Stabilność w Czasach Zmian

3 dni
konferencji

500+
debat

6000+
gości

160 partnerów
biznesowych

ZAREJESTRUJ SIĘ | www.forum-ekonomiczne.pl

eprasa.pl 488600ea51



FOT. JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM

Lepienie na gruzach hołowszczyzny



Piotr Semka

Donald Tusk skazany jest na konsolidowanie obozu liberalno-lewicowego. I najprawdopodobniej dokona tego pod hasłem jednolitego frontu „demokratów" przeciw „brunatnej fali". A im bardziej prawa strona będzie skłócona i rozbita, tym łatwiej będzie mu sprzedać stary towar w nowym opakowaniu

Oj, przydałby się jeszcze ktoś na przyczepkę" – ten cytat ze starej ludowej bajki o wyciąganiu rzepki przez babcię i dziadka doskonale pasuje do aktualnej sytuacji obozu Koalicji 13 grudnia. Obóz to wciąż mocno chwiejący się, niekiedy skłócony i nieskonsolidowany. Ale wszyscy ci, którzy znają Donalda Tuska, twierdzą, że demiurg z Sopotu na czas zagoni polityków z Koalicji do karnego szeregu.

Ale nie tylko sam Tusk martwi się o szanse wyborcze obecnego układu. Nad problemami opozycji pochyliło się ostatnio dwoje publicystów „Gazety Wyborczej": Agnieszka Kublik i Andrzej Machowski. Wskazują oni, że wspólna lista wszystkich ugrupowań obecnej koalicji najprawdopodobniej pozwoli im uzyskać większość ponad 230 mandatów, ale tylko pod warunkiem, że prawica wystartuje na aż czterech listach. I ostrzegają: „Wystarczy, że PiS połączy siły z Rozwojem Plus lub Konfederacja z Koroną, a większość mandatów zdobędą nacjonaliści. Demokraci muszą też wziąć pod uwagę, że w sytuacji, gdy sami się nie integrują, na jakiś wariant integracji może zdecydować się prawica".

Ten trend może wzmacniać także obserwacja publicystów „GW", że według ostatniego sondażu Opinii24 na Koalicję Obywatelską, Lewicę, Polskę 2050 i Polskie Stronnictwo Ludowe chce teraz głosować łącznie 39,8 proc., przy łącznie 46,7 proc. osób popierających partie prawej strony – Prawo i Sprawiedliwość, Konfederację, Koronę i Rozwój Plus. To dawałoby proporcje 54 do 46 proc. na korzyść prawicy.

No ale tu lewa strona pociesza się, że poziom skłócenia na prawicy jest tak duży, iż start czterech ugrupowań jest mało prawdopodobny. A jak obóz „ludzi rozumnych" skupi się przeciw wzajemnie skłóconym „naziolom", to już ten kontrast będzie działał na korzyść obecnego premiera. Dlatego dla Tuska konsolidacja jest teraz najważniejszym zadaniem.

Ile jest zatem prawdy w pogłoskach, które obiegły niedawno media, że Donald Tusk i Włodzimierz Czarzasty zawarli już ugodę w kwestii wspólnego startu z jednej listy? Pośredni sygnał, że coś jest na rzeczy, może stanowić niedawny sondaż Instytutu Badań Pollster na zlecenie „Super Expressu", w którym zapytano o poparcie w razie stworzenia jednej listy obecnej koalicji. Jedna lista uzyskała w tym sondażu aż 46,65 proc.

To chyba przesadny wynik, bo w ostatnim „normalnym" sondażu KO zdobywa tylko 25,8 proc. A żaden z pozostałych koalicjantów nie przekracza progu. W tym notowaniu Lewica ma nędzne 3,8 proc., PL2050 – 3,4 proc., PSL – 2,4 proc., a odpryskowe ugrupowanie Unia Centrum Pauliny Hennig-Kloski zdobywa jedynie żałosne 0,2 proc. Te ostatnie wyniki mogą jednak wskazywać, że Donald Tusk może z dużą pewnością siebie zarządzać statkiem zastraszonych koalicjantów niczym cyrkowy treser z pejczem. „Wspólna lista albo zginiecie" – to nie jest szantaż oderwany do rzeczywistości.

SILNY NARKOTYK

I znów wypada nam teraz zderzyć się z kolejną plotką politycznego sezonu ogórkowego. Według niej Szymon Hołownia może wejść do rządu i otrzymać funkcję wicepremiera. Zwolennikiem powrotu Hołowni do rządu jest Tomasz Siemoniak, wiceszef KO, który publicznie komplementuje byłego szefa Polski 2050 w wywiadach medialnych. Sam Donald Tusk pytany o taki scenariusz unika odpowiedzi i jedynie ogólnikowo mówi, żeby nie spodziewać się zmian w rządzie w sierpniu, lecz raczej we wrześniu lub w październiku. Hołownia też nabiera wody w usta i wyjaśnia, że na razie zajęty jest urlopem i takie są jego plany do końca sierpnia. Ale możliwości wejścia do rządu nie wyklucza. Jak się zdaje, całą sprawą najbardziej zaniepokojona jest sama Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz.

„Nie wiem, czy to jest prawda, ale jeżeli tak, to jest to superobciach. To jest zwykłe politykierstwo. Brzmi to tak, jakby ktoś za stołek chciał przekupić Szymona Hołow-

eprasa.pl 488600ea51

nię" – mówiła na antenie RMF FM obecna szefowa resortu funduszy i polityki regionalnej.

Cała sprawa pokazuje jak w soczewce, jak zdemoralizowana jest dawna formacja Hołowni. Pół roku temu Hołownia uznał wygraną Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz, teraz nie dementuje plotek, że mógłby ją wysadzić z siodła na stanowisku ministerialnym. To jednocześnie dobra ilustracja, jak pozbawionym godności politykiem jest były złotousty marszałek Sejmu. Chęć pozostania w polityce jest na tyle silnym narkotykiem, by zaakceptować powrót do rządu nawet w sytuacji totalnego rozpadu własnego dawnego ugrupowania. Tym bardziej że internetowa sfora Silnych Razem nie przestaje obrzucać Hołowni błotem za spotkanie z Jarosławem Kaczyńskim 4 lipca zeszłego roku. Teraz jednak były marszałek Sejmu wyraźnie nie wyklucza przyjęcia oferty od Tuska – idola swoich internetowych prześladowców.

A jak wygląda sytuacja w wypadku PSL? Poseł tej partii i zarazem minister energii Miłosz Motyka, pytany o wyborcze zamiary swojej formacji, bardzo wyraźnie podkreśla, że ludowcy startują osobno. Zaznacza też, że Szymon Hołownia powinien wrócić do rządu.

Znacznie mniejsze zaufanie do determinacji ludowców w kwestii samodzielnego startu mają ci z polityków prawicy, którzy weszli w orbitę PSL. Jeden z nich mówi: „PSL głosi, że wystartuje osobno, ale jest rok do wyborów, a nie widać żadnych działań Władysława Kosiniaka-Kamysza w kierunku tworzenia własnej listy. Normalnie w takiej sytuacji kierownictwo PSL prowadziłoby już rozmowy z rozmaitymi outsiderami z prawej strony lub samorządowcami, a ja na razie niczego takiego nie widzę".

Można więc uznać, że dla Tuska kluczowe jest porozumienie się z najsilniejszym partnerem, Włodzimierzem Czarzastym, i stworzenie w ten sposób solidnej podstawy do budowania sojuszu wyborczego. Fakt, że i PSL, i resztówki po Hołowni wciąż znajdują się pod progiem wyborczym, pozwala obecnemu premierowi na spokojne czekanie, aż dąsający się ludowcy ze schylonymi karkami przyjdą „po prośbie". A ewentualne wsadzenie Szymona Hołowni do rządu ma być gestem pokazującym, że wielki Donald zapomniał o starych nieporozumieniach.

POWTÓRKA Z ROZRYWKI

Ostatni sondaż CBOS pokazuje, że spora jest grupa niezdecydowanych wyborców. W badaniu tym wynosi ona aż 15,9 proc.

Jeśli Tusk uważnie ogląda sondaże, to naturalne jest, że może się u niego pojawić pokusa powtórzenia manewru z Trzecią Drogą – stworzenia zapasowej oferty dla dawnych wyborców Platformy Obywatelskiej, dziś zniesmaczonych aferami w stylu Szpitala Południowego lub zrażonych do rządu operetkowymi epizodami w stylu nominacji Barbary Mróz-Gorgoń na pełnomocniczkę rządu do spraw marki Polski.

Trzeba więc znaleźć nowego Hołownię (stary już się zużył) i wymyślić jakąś efektowną ideologię dla „normalsów". I tu jak diabeł z pudełka wyskakuje prof. Marcin Matczak, ambitny prawoznawca, który zdobył pewną popularność w autorskich programach na Kanale Zero. 13 lipca br. na X ogłosił on swój apel: „W czasach, gdy ludzie się wyzywają i masakrują słowem, my chcemy ze sobą rozmawiać. Dlatego z okazji jubileuszowego, 50. odcinka »Prawem i rozumem« załóżmy 50 Klubów Radykalnego Centrum w całej Polsce. Niech będą one przestrzenią dobrej dyskusji między ludźmi, którzy naturalnie różnią się od siebie, ale nie przeszkadza im to, by się nawzajem szanować".

Mamy wręcz podręcznikowy przykład tworzenia partii za pomocą ogłoszenia w sieci. W wywiadzie dla „Polityki" z 18 sierpnia Matczak wyjaśnia, co ma oznaczać chwytliwy termin „radykalne centrum". Ambitny prawnik z rozbrajającą szczerością przyznaje, że wybrał właśnie taką nazwę, aby przykuwała uwagę, gdyż jest celowym oksymoronem. Według niego centrum kojarzy się przecież ze wszystkim, tylko nie z radykalizmem: z czymś wyważonym, wypośrodkowanym, trochę nijakim. Jak twierdzi, chce uczynić centrum bardziej atrakcyjne, bo za bardzo obawia się radykałów. „Moją obsesją jest od jakiegoś czasu to, jak wyrazić idee środka tak, by były tak atrakcyjne jak idee skrajne" – mówi.

Tak samo jak Hołownia, choć deklaruje, że krytykuje równo i prawicę, i KO, dziwnym trafem nigdy nie atakuje Tuska osobiście. A gdy w sieci zauważył oskarżenie, że to Platforma zaczęła rozwalać Trybunał Konstytucyjny, napisał na komunikatorze X: „Ludzie twierdzący, że to PO popsuła Trybunał Konstytucyjny, przegrywają sromotnie walkę z rozumem, przeciwstawiając mu swoją jasną preferencję polityczną […]. Przestańcie więc raz na zawsze chrzanić, że wina jest po obu stronach, bo PO zaczęło. Bo wasze gadanie oznacza, że jak ktoś kiedyś zechce wepchnąć wam się do kolejki w piekarni, to będziecie mogli go w odwecie zamordować?".

Wszystko to Matczak oblewa jeszcze sosem deklaracji, że obóz ludzi rozsądnych nie powinien obawiać się używać populizmu, ale w celu dążenia do dobrych celów. Nie jest to nowa idea w środowisku profesorów wspierających liberalny mainstream. Za rządów pierwszego gabinetu Tuska w latach 2007–2014 nieżyjący już historyk idei i socjolog prof. Marcin Król sam zachęcał lidera Platformy, by sięgał po populizm, aby odsuwać wizję powrotu do władzy radykałów.

Teraz Matczak próbuje działać dokładnie w ten sam sposób. Czy tym samym zastąpi Hołownię w roli dostarczyciela odpowiedniej liczby głosów dla zagwarantowania kontynuacji władzy Tuska? Trudno orzec. Jego styl jest o wiele bardziej przaśny i ma o wiele mniej wdzięku niż wylansowany niegdyś przez TVN Hołownia. Teoretycznie wręcz prostackie kopiowanie przez Matczaka retoryki Hołowni z 2023 r. powinno go ośmieszać i pozbawiać większych szans na powtórzenie sukcesu „pięknego Szymka".

Ale faktem jest też, że w Polsce występuje zawsze pewien procent aspiracyjnego elektoratu, który uwierzy we wszystko, byleby tylko wyjść poza partie, co do których się rozczarował. Ten syndrom wiecznie niespełnionego „wyborczego kochanka", który wciąż szuka „czegoś nowego", bardzo ułatwia wciskanie takim naiwnym wyborcom politycznych atrap.

Cały ten obraz aktualnej sytuacji pokazuje, że Tusk skazany jest na konsolidowanie obozu liberalno-lewicowego. I najprawdopodobniej dokona tego pod hasłem jednolitego frontu „demokratów" przeciw „brunatnej fali". A im bardziej prawa strona będzie skłócona i rozbita, tym łatwiej będzie mu sprzedać stary towar w nowym opakowaniu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 488600ea51



Łukasz Warzecha

Donald Tusk zapowiedział obniżkę podatków, aby móc swoim wyborcom pokazać cokolwiek i choćby częściowo wytrącić przeciwnikom oręż z rąk. Przy tej okazji zamierza uderzyć w Karola Nawrockiego, którego traktuje dzisiaj, przy radykalnie słabnącym PiS, jako swojego najważniejszego politycznego oponenta



FOT. ADOBE STOCK

Fiskalne pozory

Jeżeli Donald Tusk liczył na to, że jego propozycje podatkowe wywołają powszechny entuzjazm, to raczej tego efektu nie osiągnął, mimo że politycy Koalicji Obywatelskiej wytrwale kolportują przekaz o wielkim prezencie podatkowym dla Polaków. „Rząd proponuje nam klasyczną podatkową iluzję" – skomentował założenia pakietu zmian w podatkach Warsaw Enterprise Institute, liberalny i wolnościowy think tank, kierowany przez Piotra Palutkiewicza. „Rząd zapowiedział zmiany w PIT. Obiecuje najlepiej zarabiającym pracownikom nawet 3600 zł rocznie »więcej w portfelu«. Problem w tym, że większość pracowników nie zobaczy nawet złotówki korzyści, problem »zimnej progresji« pozostaje nierozwiązany, a rachunek rząd wystawi firmom i przedsiębiorcom" – stwierdził Mikołaj Pisarski z Instytutu Misesa i Forum Obywatelskiego Rozwoju. O ile krytyka ze strony liberalnych analityków nie powinna zaskakiwać, o tyle znamienna jest ta ze strony członków klubu KO. Ryszard Petru porównał nawet propozycje premiera do Polskiego Ładu, wskazując słusznie, że jednym ma się podatki obniżyć, ale innym podwyższyć.

Najpewniej jednak pomysł w bólach zrodzony w Ministerstwie Finansów wcale nie miał porwać ekonomistów ani nawet ogółu wyborców. Powody jego powstania były dwa, powiązane ze sobą. Po pierwsze, lekko rzucona podczas kampanii wyborczej w 2023 r. zapowiedź Donalda Tuska, że kwota wolna od podatku, wynosząca od 2022 r. 30 tys. zł, zostanie podniesiona dwukrotnie. Po drugie, próba zastawienia kolejnej pułapki na prezydenta Karola Nawrockiego.

NIESPEŁNIONE OBIETNICE

„100 konkretów" to dzisiaj jeden z największych problemów Koalicji Obywatelskiej. Lista napisanych na kolanie i w dużej części nierealnych obietnic odbija się premierowi czkawką. Na jego nieszczęście 60 tys. zł kwoty wolnej od podatku było jedną z najbardziej widocznych zapowiedzi. Nie tylko znalazła się ona w spisie („Podniesiemy kwotę wolną od podatku – z 30 tys. zł do 60 tys. zł w przypadku podatników rozliczających się według skali podatkowej, w tym także przedsiębiorców i emerytów"), lecz także Donald Tusk bardzo chętnie mówił o niej w trakcie swoich wystąpień, co dzisiaj jest mu z lubością przypominane przez opozycję.

Premier ma zapewne w pamięci los podobnej obietnicy, złożonej w exposé w 2015 r. przez Beatę Szydło. 18 listopada tamtego roku pani premier mówiła w Sejmie: „Ale już dzisiaj chcę powiedzieć, co przede wszystkim zrobimy w czasie pierwszych stu dni naszych rządów […]. Po trzecie, podniesienie do 8 tys. zł kwoty wolnej od podatku". Niespełnienie przez Prawo i Sprawiedliwość tej obietnicy było ostro wytykane rządowi przez ówczesną opozycję. PiS w końcu kwotę wolną podniósł do obiecanych 8 tys. zł, lecz dopiero pod koniec swojej pierwszej kadencji, w 2018 r. Potem poszedł znacznie dalej, bo kolejna podwyżka sięgnęła 30 tys. zł w 2022 r. – co i tak nie dało partii Jarosława Kaczyńskiego zwycięstwa wyborczego.

Donald Tusk swojej obietnicy spełnić nie może. Polskie finanse publiczne są w fatalnym stanie. Zaplanowany na ten rok deficyt budżetowy ma sięgnąć ponad 270 mld zł, a poziom długu publicznego według miary unijnej – bardziej wiarygodnej niż krajowa – przekroczył już 61 proc. do PKB. To oznacza, że gdy policzymy to całościowo, polski rząd złamał już zakaz zawarty w art. 216 konstytucji, który mówi: „Nie wolno zaciągać pożyczek lub udzielać gwarancji i poręczeń finansowych, w następstwie których państwowy dług publiczny przekroczy trzy piąte wartości rocznego produktu krajowego brutto". Jako że rząd nie ma planu, aby ścinać jakiejkolwiek znaczące wydatki – a przecież samo „800+" w obecnej postaci to koszt rzędu lekko ponad 60 mld zł rocznie – a na dodatek jest pod polityczną presją, zwłaszcza gdy

eprasa.pl 488600ea51

chodzi o wydatki na ochronę zdrowia, przeto premier wie świetnie, że żadnej podwyżki kwoty wolnej nie będzie. Zresztą publicznie to już stwierdził.

PLAN PROSTY JAK KONSTRUKCJA CEPA

Szef rządu musiał zatem stworzyć pozór obniżenia podatków, aby móc swoim wyborcom pokazać cokolwiek i choćby częściowo wytrącić przeciwnikom oręż z rąk. Przy tej okazji zamierza – to druga z motywacji – uderzyć w Karola Nawrockiego, którego traktuje dzisiaj, przy radykalnie słabnącym PiS, jako swojego najważniejszego politycznego oponenta. Plan jest prosty jak konstrukcja cepa: wsadzić do planowanej ustawy obniżki i jednocześnie podwyżki podatków, licząc na to, że prezydent zgłosi weto, a wtedy będzie można oskarżyć go o to, że nie pozwolił Polakom płacić niższych danin. Dodatkową korzyścią będzie to, że poziom wpływów do budżetu się nie zmieni.

Taka właśnie zapewne będzie decyzja głowy państwa. „Rząd serwuje kosmetyczne zmiany, podnosząc równolegle CIT dla dużych firm" – stwierdził niedługo po przedstawieniu propozycji zmian Rafał Leśkiewicz, rzecznik prezydenta Nawrockiego.

Inna sprawa, że realizacja planu zmian w podatkach i tak nie oznaczałaby zmiany we wpływach budżetowych. Wszak sam minister finansów Andrzej Domański jasno stwierdził, że proponowana reforma byłaby dla budżetu neutralna. To zaś powinno włączyć alarm u każdego sceptycznie nastawionego wyborcy. Skoro bowiem budżet ma zyskiwać tyle samo co przed zmianami, to znaczy, że najpewniej mamy do czynienia jedynie z iluzją obniżki obciążeń.

Zacznijmy od tego, co Mikołaj Pisarski nazwał zimną progresją. To problem systemu podatkowego, którego naprawy nie proponuje na razie również opozycja. Nie rozwiązują go bowiem propozycje ani PiS (podniesienie granicy drugiego progu do 180 tys. zł), ani Mateusza Morawieckiego (granica na poziomie 200 tys. zł). Obecna granica progów podatkowych, czyli przeskok z 12 proc. na 32 proc., jest umieszczona na poziomie 120 tys. zł (przy czym pierwsze 30 tys. zł jest nieopodatkowane) od 2022 r. Wcześniej granica progu była na poziomie ok. 85 tys. zł przez aż 13 lat! Tu właśnie pojawia się zjawisko zimnej progresji podatkowej. Przez cały ten czas rosła inflacja, a z nią nominalne wynagrodzenia. Skoro jednak nie zmieniała się granica progu, to jasne jest, że coraz większa grupa podatników musiała płacić podatki według najwyższej stawki. W 2010 r. było to trochę ponad 460 tys. osób, podczas gdy w 2021 r. aż 1,7 mln.

Dlatego od dawna pojawia się postulat, aby wprowadzić do systemu automatyczną waloryzację granic progów podatkowych. Logiczne jest, że powinny one być podnoszone wraz ze wzrostem średniego wynagrodzenia. Politycy wiedzą jednak doskonale, że musieliby wtedy bardziej się liczyć z budżetowymi pieniędzmi, bo inflacja nie pompowałaby fiskusa jak dotychczas, więc nigdy nie zaproponowali takiego rozwiązania. Nie zapowiadają tego ani PiS, ani Rozwój Plus.

Nawet gdyby propozycję podatkową premiera rozpatrywać jedynie z punktu widzenia zmian w PIT, i tak jest to spektakl, a nie realna zmiana. Zamiast uproszczenia mamy komplikację w postaci wprowadzenia pośredniego progu podatkowego w wysokości 24 proc. Miałby się on zaczynać o 10 tys. zł wyżej niż dzisiaj drugi próg i rozciągać na przestrzeni zaledwie 20–150 tys. zł, od której to obowiązywałoby obecne 32 proc. podatku. Minister Domański reklamuje zmiany tak jak producenci samochodów swoje modele, zawsze pokazując w reklamach i prospektach najwyższą oraz najlepiej wyposażoną ich wersję – powiada, że można będzie zyskać „do 3600 zł rocznie", co daje raptem 300 zł miesięcznie. Nie brzmi już tak atrakcyjnie, prawda? To jednak wariant maksymalny. Ekonomiści zaczęli już wyliczać, że większość podatników odnotuje korzyści na poziomie raptem kilkuset złotych rocznie, czyli kilkudziesięciu złotych miesięcznie – praktycznie pomijalne.

Ta korzyść zostanie jednak zniwelowana przez nieuchronne podwyżki. Premier o tym mówi już znacznie mniej, ale częścią pakietu ma być podwyżka CIT dla – jak to ujął Donald Tusk – największych firm. Podatek miałby wzrosnąć z 19 proc. do 22 proc. dla firm z przychodem rocznym przekraczającym 50 mln euro. Kluczowe jest tutaj słowo „przychód", nie oznacza to bowiem dochodu, a więc tego, co w firmie faktycznie zostaje po odjęciu kosztów. Przedsiębiorstwo sprzedające kapitałochłonny towar czy usługę może mieć bardzo duży przychód, ale niewielki dochód. Podwyższony podatek przerzuci zaś oczywiście na swoich klientów. Poseł Ryszard Petru z tego właśnie powodu zapowiada, że propozycji w Sejmie nie poprze – jak bowiem twierdzi, podwyżka może uderzyć w 4 tys. polskich firm.

FETYSZYZOWANIE BUDŻETU

Jak zachowałby się w tej sprawie prezydent? Raz już Karol Nawrocki podwyżkę CIT podpisał, faktycznie wbrew swojej obietnicy wyborczej. W listopadzie ub.r. zgodził się na podwyższenie podatku dla banków z 19 proc. do 30 proc. (26 proc. w kolejnym roku), tłumacząc: „Nie może być tak, że obciążenia podatkowe ponosi statystyczny obywatel lub niewielkie przedsiębiorstwo, podczas gdy korporacje zagraniczne albo duże instytucje finansowe uzyskują rekordowe zyski. W ostatnich latach banki osiągnęły ponadprzeciętne zyski". Chodziło jednak o niespecjalnie lubiany jeden konkretny sektor. Tym razem podwyżka miałaby objąć firmy różnego rodzaju.

Jest wreszcie w pakiecie propozycji premiera kolejna niekorzystna zmiana: radykalne obniżenie granicy przychodu, z 2 mln do 250 tys. euro, pozwalającego prowadzącym działalność gospodarczą płacić podatek ryczałtowy. Gdyby ta zmiana przeszła, ogromna część obecnych ryczałtowców zostałaby wypchnięta do innych, mniej dla nich korzystnych sposobów rozliczania się z fiskusem.

Przy okazji dyskusji o propozycjach podatkowych – które najpewniej i tak nie wejdą w życie z powodu sprzeciwu prezydenta – wrócił wątek fetyszyzowania budżetu. Standardowy przekaz, bezrefleksyjnie powtarzany w mediach i przez dużą część polityków, mówi o tym, ile straci budżet, co ma być równoznaczne ze stratami państwa. To oczywiście nieprawda. Dochody budżetu mogą spaść, ale pieniądze, które do niego nie wpłyną, pozostaną u podatników, a wyznacznikiem bogactwa państwa jest zasobność jego obywateli, a nie wielkość budżetu. O tym również trzeba pamiętać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 488600ea51



FOT. TOMASZ KUBIAK/ARTSERVICE/FORUM

Król Polski powiatowej



Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Zaczynał od epizodycznych ról w serialach, dziś jest jednym z najpopularniejszych polskich wokalistów. Dodatkowo z powodzeniem otwiera kolejne biznesy, a jego poglądy oddają społeczne emocje. Kim jest Skolim?

Międzyzdroje, Kołobrzeg, Morzyczyn, Siemianowice Śląskie, Iłów, Białystok, Brodnica, Iława, Grudziądz, Lędziny, Łagiewniki Dzierżoniowskie, Zbrosławice, Czeladź, Tarnowskie Góry, Starachowice, Niedźwiada – 16 koncertów i jeden zapowiedziany jako niespodzianka zorganizował w ubiegłym tygodniu Konrad Skolimowski. Ostatni „rzut" wakacyjnych występów nie był niczym specjalnym pod względem intensywności. Skolim, samozwańczy „król latino", znany jest z pracowitości. Według branżowych mediów za koncert bierze od 15 tys. do nawet 100 tys. zł (w zależności od formy, skali i miejsca). – Moja stawka za koncert jest najwyższa w Polsce. 503 koncerty w Polsce – stadiony, hale, małe miasteczka. 25 tys. ludzi. Wszyscy wójtowie z sąsiednich gmin wkur…ni, że się na to nie porwali. Wojewodowie wkur…ni, że nie mają tego u siebie. Właściciele klubów od sześciu lat pandemii załamani, że kluby nie szły; dzisiaj mówią: „Stary, salę weselną dzięki tobie kupiłem, jesteś lepszy niż kredyt" – chwalił się piosenkarz w rozmowie z Radiem Eska. – Przyciągam ludzi, bawię ludzi, pokrzepiam polskie serca. Czasem dla kogoś do wódeczki, czasem dla kogoś w samochodzie na lepszy humor. Ja jestem najbardziej zadowolony, że nie żyję na krzywdzie ludzkiej. Żaden mój biznes nie jest oparty na tym, że ktoś ucierpiał, wręcz przeciwnie. Daję radość – czy to w postaci najtańszego paliwa, czy zajebistych perfum, czy muzyki. Mogę śmiało powiedzieć i spojrzeć prosto w oczy państwu i sobie, że każda złotówka zarobiona u mnie nie jest na krzywdzie ludzkiej, ale na radości. I to jest superrzecz, którą mogę się pochwalić – stwierdził.

LEPSZY NIŻ SŁAWOMIR

Dwudziestodziewięcioletni Konrad Skolimowski urodził się w lubelskim Łukowie. Studiował stosunki międzynarodowe, jednak zrezygnował z nauki na rzecz show-biznesu. – Faktycznie tak było. Wydaje mi się, że [te studia] dały mi wiedzę – i zasób słownictwa, więcej przeczytanych książek, pewnego rodzaju dyscyplinę i ciekawość świata, bo to też jest kierunek dla ludzi ciekawych świata. Fakt faktem nie kontynuowałem go dalej, zawiesiłem – wyjaśnił w rozmowie z Eską. Przed karierą muzyczną próbował zaistnieć na małym ekranie – występował m.in. w „Barwach szczęścia", „Dziewczynach ze Lwowa" i „Na Wspólnej". Przełomem był wydany w 2022 r. utwór „Wyglądasz idealnie", który dotychczas odtworzono na YouTube 271 mln razy. W ten sposób Skolim przebił dotychczasowego lidera – Sławomira z hitem „Miłość w Zakopanem". Kolejne utwory szybko zyskiwały popularność – „Temperatura", „Bebecita", „Wejdę wyjdę", „Daj mi jedno słowo". Z czasem Skolimowski zaczął nagrywać z innymi gwiazdami. Na koncie ma duety z raperem Matą, diwą Justyną Steczkowską czy gwiazdką pop Blanką. Teksty piosenek są proste i mocno nacechowane seksualnie. Niedawno na muzyka spadła fala słusznej krytyki po tym, jak na jednym z koncertów zaproszone na scenę dzieci (głównie dziewczynki) podskakiwały do wersów takich jak: „zrobię ją na blacie" i „lubi rzeczy poje..ne". „Seksualizujące teksty – wiele piosenek Skolima zawiera erotyczne aluzje i przedstawia relacje w sposób nieodpowiedni dla dzieci w wieku 7–14 lat. Dzieci śpiewają słowa, których znaczenia mogą nie rozumieć

eprasa.pl 488600ea51

– powtarzają treści dotyczące seksu, ciała i relacji dorosłych, nie mając dojrzałości potrzebnej do ich właściwej interpretacji. Publiczne wykonanie może utrwalać seksualizujący wizerunek dziecka – szczególnie gdy jest nagrywane i publikowane w Internecie. Materiał może być komentowany, rozpowszechniany i pozostać on-line przez wiele lat" – komentowała psychiatra Maja Herman.

Skolim nie odnosi się do tego rodzaju zarzutów. Wręcz przeciwnie – buduje wizerunek osoby mocno wierzącej. Przed wejściem na scenę klęka i wykonuje wyraźny symbol krzyża. Podczas jednego z koncertów spadł ze sceny i miał nogę w ortezie. Niedługo później opublikował zdjęcie, na którym stoi przed wiejskim krzyżem, z wiele mówiącym podpisem: „Dziękuję. I proszę o więcej". – Księża mi dziękują. Ludzie wierzący, niewierzący. Ja na dobrą sprawę uważam, że to są wartości, które my wszyscy w sercu mamy […]. Uważam, że najwięcej ludzi z Kościoła odeszło przez ludzi. Przecież nikt nie odchodzi, bo się na Pana Jezusa czy Matkę Bożą obraził, bo to jest ogromna miłość. Cuda się dzieją każdego dnia – mówił w wywiadzie dla Wirtualnej Polski. Tygodnik „Polityka" określił Skolimowskiego mianem „nowego disco-Polaka". Wokalista odwołuje się bowiem do patriotyzmu, co w jego wydaniu ma wymiar bardzo praktyczny. Ogłaszając współpracę z firmą masarską JBB Bałdyga (Skolim ma własną linię produktów, np. „parówki Skolimki"), wezwał do kupowania polskich produktów. – Robimy jakość na polskim rynku żywności. Zagraniczna konkurencja wypad! Wspieramy to, co nasze, polskie, najwyższej jakości. Wszyscy ludzie: starsi, młodsi mają jeść takie smaki, jakie jedliśmy my, i to w najwyższej jakości – nawoływał. „Patriotyczna", bo najtańsza, jest też stacja paliw, którą Skolim uruchomił jesienią 2025 r. w podlaskiej Czeremsze. W czasie, gdy na innych stacjach ceny rosły w związku z kryzysem w cieśninie Ormuz, muzyk chwalił się, że jego marże są „najniższe z możliwych". Stwierdził, że choć nie podnosi cen, to wciąż wychodzi na plus. Sama stacja jest atrakcją, bo nie przypomina innych – jest wściekle różowa, otaczają ją palmy, a z głośników – bez zaskoczenia – leci latino w wydaniu Skolimowskiego. Ostatnio artysta reklamuje też ofertę plastikowych kanistrów w kolorach stacji. „Tankujcie do Pełna i wpadajcie po Skolimowe KANISTRY" – napisał na Instagramie. Piosenkarz dba o swoich fanów i od czasu do czasu organizuje grille i spotkania, podczas których można zjeść za darmo. „Król latino" stawia.

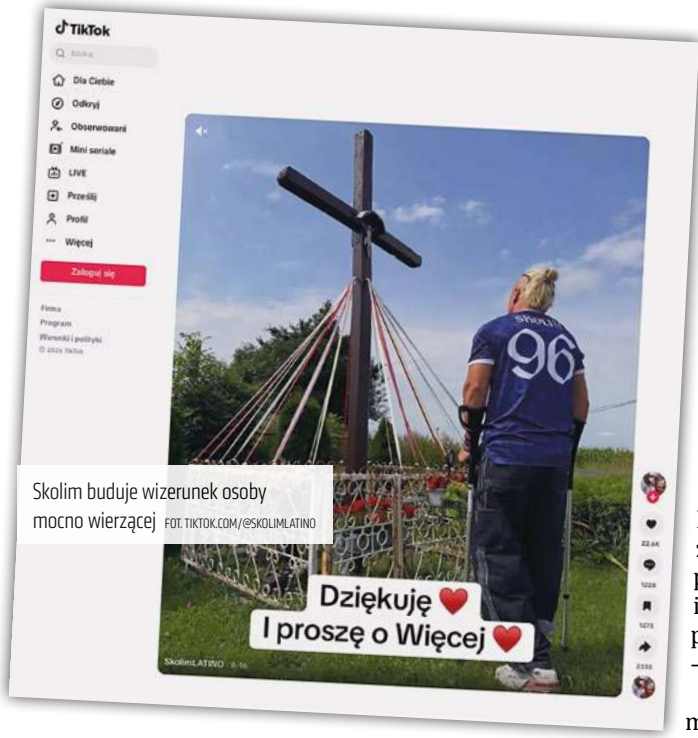

Skolim buduje wizerunek osoby mocno wierzącej FOT. TIKTOK.COM/@SKOLIMLATINO

KONFLIKT Z ARTYSTAMI

Mimo sukcesów biznesowych i muzycznych w środowisku showbiznesowym Skolim zdążył narobić sobie wrogów. Wszystko za sprawą skrytykowania rządowej propozycji „emerytur dla artystów". Nie stronił od niewybrednych epitetów, wskazując, że państwo ma ważniejsze zobowiązania niż wspieranie artystów, którzy sami nie troszczą się o swoją starość. – Domagają się emerytur, a dzieci oczekują na zbiórki. Państwo polskie nie ma na zbiórki. Artyści, albo ci starzy przechlali całą karierę, prz…ali, albo ci młodzi robią taką ch…wą muzykę czy obrazy, że nikt tego nie chce oglądać, a domagają się naszych pieniędzy. Nie ma na to naszej racji [pisownia oryginalna – przyp. red.]. Jak mają nasze pieniądze iść, to na dzieci, na drogi, a nie na jakieś k…y i ćpunów. Dobrze mówię? Bardzo dobrze. Nigdy na to nie pozwolę" – napisał. „Ja gram pięćset trzy koncerty w roku w całej Polsce. Bawię ludzi, rozweselam. Różną muzykę ludzie robią. Taneczną, mniej taneczną, ale nie można wyciągać rąk po pieniądze, które się nie należą, bo dzieci potrzebują zbiórki. K…a, dzieci chorują na raka. Wspieramy wszystkich. To pieniądze muszą u nas w Polsce zostać [...]. Nawet grosza nie dam na to, żeby szło za granicę, ale nasze polskie dzieci, nasi emeryci i renciści mają mieć jak najlepiej. I za to wypijmy, panowie" – zakończył.

Na Skolima oburzyła się m.in. Doda, która zaleciła mu, aby „zajął się sprzedawaniem kiełbasy". W tym konflikcie większość internautów stanęła po stronie Skolimowskiego, który – trzeba przyznać – nieźle sprawdza się w roli trybuna ludowego (wyraźnie czuje społeczne emocje). Dociera tam, gdzie „dużym" gwiazdom się nie chce albo nie opłaca. Rozumie problemy „Polski powiatowej" i umie na nie odpowiedzieć (a tę odpowiedź zmonetyzować). Nic dziwnego, że podczas organizowanych regularnie transmisji na żywo piosenkarz jest pytany o bieżące tematy polityczne. Na przykład o relacje polsko-ukraińskie. – Ludzie z Ukrainy bardzo ciężko pracują. Na magazynach czy w sklepach zapier…..ą bardzo ciężko. Rząd ukraiński jest na pewno bardzo antypolski. Napier…a na nas, kiedy tylko się da. Takie to są moje skromne obserwacje – powiedział. – Bardzo bym odciął mieszkańców Ukrainy od rządu ukraińskiego. Nie jest niczemu winien dzieciaczek w szkole czy pani, która sprząta, za to, jakie tamten rząd podejmuje decyzje. Trzeba mieć to z tyłu głowy, że dzieci, babcie, kobiety, to jak tragiczne, jak ktoś ich obraża […]. Ktoś tu pisze, że nas mordowali. Oczywiście i to jest fakt, o którym chyba każdy ma pojęcie – dodał pytany o ludobójstwo na Wołyniu. Skolim wystąpił na zorganizowanym w miniony weekend przez Kancelarię Prezydenta wydarzeniu dla młodych w rezydencji w Juracie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 488600ea51



Piotr Semka z Budapesztu

Węgier – jankes dwa bratanki

Francuzi, Niemcy czy Włosi w Ameryce to dobrze znane zjawisko. O obecności tych nacji za wielką wodą powszechnie wiadomo. Ale Madziarzy? Wielka wystawa w Muzeum Narodowym w Budapeszcie opowiada, jak wyglądał węgierski wkład w budowanie USA w ciągu ostatnich 250 lat istnienia tego państwa



Mihály Kováts, węgierski bohater wojny o niepodległość kolonii brytyjskich w Ameryce

FOT. NÁDASDY FERENC MUSEUM

Jest w tej ekspozycji dużo typowej dla ludów środkowej Europy fascynacji nowym kontynentem, a także gorzkiej świadomości, że wskutek niegdysiejszej biedy oraz późniejszych wstrząsów historycznych Nowy Świat żywił się talentem i ciężką pracą setek tysięcy osób, które mogłyby wzbogacić swoim znojem starą ojczyznę. Ameryka jednak także Węgrom od swego zarania kojarzyła się z nadzieją na lepszy los. Nic więc dziwnego, że nad wejściem do sali ekspozycji wypisano nazwy, które kojarzyły się z amerykańską arkadią: „Ziemia obiecana", „Nowa ojczyzna", „Kolebka demokracji".

Wystawa zaczyna się od komputerowej grafiki pokazującej, że samolotem pasażerskim można przemieścić się dziś z Budapesztu do Nowego Jorku w 9,5 godziny. Jest to wstęp do przypomnienia, że w poprzednich wiekach wędrowcy z Węgier musieli przebyć znacznie dłuższą trasę do atlantyckich portów, aby dotrzeć do Ameryki. Ich podróż była żmudniejsza niż w przypadku Anglików, Holendrów, Francuzów czy Szkotów. Przypomniał mi się album złożony ze zdjęć przybyszy z Europy, którzy przybywali na nowojorską wyspę Ellis, gdzie fotografowano ich bardzo często w oryginalnych strojach z Europy. I właśnie patrząc na ich zmęczone wielotygodniową podróżą twarze, widać było, jak wyzierała z ich spojrzeń w kamerę nadzieja zmieszana z obawą przed nieznanym.

Autorzy ekspozycji przypominają znany wiersz amerykańskiej poetki Emmy Lazarus „Nowy kolos" z 1883 r., zaczynający się od słów: „Przyjdźcie do mnie wszyscy, którzy utrudzeni i obciążeni jesteście, a ja was pokrzepię". Akurat z Węgier tych przybyszy było początkowo niewielu. Jednak i Madziarzy mogą pochwalić się swoim rodakiem, który zaangażował się w wojnę o niepodległość USA. To Mihály Kováts, pułkownik huzarów, który w połowie XVIII w. w dość awanturniczy sposób zmieniał armie. Najpierw walczył po stronie Marii Teresy, by potem wstąpić do służby pruskiej i dostać się do austriackiej niewoli, następnie zaś uzyskać łaskę Habsburgów, a w końcu wyemigrować do Drezna. W 1775 r., gdy mieszkał w stolicy Saksonii, poznał i polubił polskich emigrantów spod znaku konfederacji barskiej na czele z Kazimierzem Pułaskim. W styczniu 1777 r. napisał

eprasa.pl 488600ea51

z Francji list po łacinie (był to oficjalny język urzędowy w Królestwie Węgier) do Benjamina Franklina z propozycją swoich wojskowych usług. Walcząca o przetrwanie Unia przyjęła z otwartymi rękoma krewkiego huzara i po pewnym czasie skierowała go do jego przyjaciela z przeszłości – Pułaskiego. Kováts został oficerem szkoleniowym legionów Pułaskiego i zginął w walce z Anglikami w bitwie pod Charleston 11 maja 1779 r. No i dziś jest oczywiście patronem węgierskiej diaspory w USA, tak samo, jak Kościuszko i Pułaski stanowią symbol polskich zasług w zbudowaniu niepodległej Ameryki.

Jednak najwyraźniej autorzy wystawy nie potrafili pokazać specjalnie wielu innych imigrantów, co nie może dziwić w sytuacji, kiedy państwo habsburskie nie ułatwiało emigracji za wielką wodę. Tak naprawdę jedynym znanym Węgrem w Ameryce z pierwszej połowy XIX w. był Samuel Wass, który rozwijał metalurgię w Kalifornii. O wiele więcej miejsca na wystawie poświęcono triumfalnej trasie po USA Lajosa Kossutha, przywódcy przegranej rewolucji węgierskiej lat 1848–1849. „Bohatera wolności" entuzjastycznie witano w USA na trasie długiego politycznego tournée w latach 1851–1852. Węgierski polityk wciąż liczył na wywołanie kolejnego zrywu i zbierał na trasie swojej wizyty pieniądze na broń na potrzeby kolejnej próby insurekcyjnej.

Gdy ogląda się wczesne sztychy z tamtej wyprawy, można odnieść wrażenie, że była to triumfalna trasa superbohatera. Kossuth między lipcem 1851 r. a początkiem 1852 r. zdążył odwiedzić Nowy Jork, Waszyngton, Charlestown, Atlantę, Nowy Orlean, Wicksburg, Indianapolis, Cleveland, Pittsburgh i Filadelfię. Organizatorzy wystawy zebrali dziesiątki honorowych szabli, pozłacanych strzelb, symbolicznych piór i medalionów, które amerykańskie miasta wręczały żywemu symbolowi węgierskiej rewolucji. Ponad dekadę później bardzo wielu emigrantów – byłych żołnierzy węgierskiej rewolucji – zasiliło armię północy w wojnie secesyjnej w USA.

PRZEMILCZANE ODKRYWANIE SŁOWACKOŚCI LUB RUSIŃSKOŚCI

O ile do połowy XIX w. węgierska emigracja to były głównie jednostki – poszukiwacze przygód, osoby, które z różnych przyczyn musiały opuścić swój kraj, lub obrotni biznesmeni widzący dla siebie szanse w kraju jankesów, w wyspecjalizowanych dyscyplinach, jak np. zakładanie winnic, o tyle od lat 50. XIX w. rusza masowa emigracja osadnicza. Z terenu Węgier wyjeżdżają ludzie, którzy nie są w stanie utrzymać się na swoich rodzinnych terenach. Wtedy głównym portem, z którego mieszkańcy Korony św. Stefana wypływali w podróż za ocean, był należący bezpośrednio do Węgier port Fiume (dzisiejsza Rijeka) i to właśnie stąd wypływały np. transatlantyckie statki pasażerskie „Adria" Royal Hungarian Sea Navigation Company, która w kooperacji z austriackimi przewoźnikami utrzymywała połączenia transatlantyckie do Nowego Jorku i innych portów północnej Ameryki.



Węgierski bojownik o wolność jako „Człowiek Roku 1956" amerykańskiego magazynu „Time" FOT. TIME.COM

Na ekspozycji można zobaczyć, jak amerykańscy Węgrzy próbowali rozpaczliwie lobbować w USA za cofnięciem skutków traktatu w Trianon w 1920 r., który rozebrał między Czechosłowację, Rumunię i Jugosławię ponad 60 proc. dawnego terytorium Korony św. Stefana

Na wystawie obejrzeć można mapę rejonów, z których ponad 150 lat temu emigracja była najbardziej masowa. To głównie tereny Felvidek – tzw. górnych Węgier, czyli dzisiejszej Słowacji – Orawy, Szarysza, Liptowa oraz Zakarpacia, z którego do Ameryki wyjechało w końcu XIX w. aż do 10 proc. ludności. Nieco mniej, bo 6 proc. ludności, opuściło w imię amerykańskiego snu komitaty Nitry, późniejszych Bratysławy, Berehowego czy Trenczyna.

Autorzy wystawy nie kontynuują opowieści o tym, co działo się z tymi ludźmi już na amerykańskiej ziemi. I przybysz z Polski – jeśli tylko zna historię samoorganizacji Słowaków i Rusinów w USA – wie, że w Ameryce owi przybysze bardzo często uzyskiwali wyemancypowaną tożsamość słowacką lub rusińską.

Dla Węgrów to nieprzyjemny temat, więc tego wątku specjalnie na wystawie nie rozwijają. Jednak oczywiście oprócz słowiańskich poddanych Królestwa Węgier przybywali też etniczni Węgrzy i próbowali tak jak inni tworzyć na amerykańskiej ziemi własne lobby. Była to jednak grupa nacisku nieporównanie słabsza od organizacji niemieckich, włoskich czy nawet polskich.

PLECAMI DO STAREGO KONTYNENTU

Na ekspozycji można zobaczyć, jak amerykańscy Węgrzy próbowali rozpaczliwie lobbować w społeczeństwie amerykańskim za cofnięciem skutków traktatu w Trianon w 1920 r., który rozebrał między Czechosłowację, Rumunię i Jugosławię ponad 60 proc. dawnego terytorium Korony św. Stefana. Ilustracją tego jest zdjęcie samolotu z lat 20. z wymalowanym hasłem „Justice for Hungary".

Madziarzy w USA niewiele wtedy zyskali. Po pierwsze, Amerykanie pamiętali, że prezydent Woodrow Wilson był jednym z gwarantów traktatów, które ustanawiały nowy kształt Europy. Po drugie, w ogóle Ameryka odwróciła się wówczas plecami do Starego Kontynentu i nie miała najmniejszej ochoty interesować się niejasnymi dla niej sporami granicznymi za Atlantykiem. Na dodatek – już potem – wizerunek amerykańskich Węgrów pogorszył jeszcze fakt, że z chwilą wybuchu drugiej wojny światowej Węgry pod wodzą adm. Miklosa Horthyego stały się sojusznikiem III Rzeszy Adolfa Hitlera.

Przy dekoniunkturze politycznej dla Madziarów w tamtych latach jedynym pozytywem było to, że USA przyjmowały po 1947 r. uciekinierów węgierskich ze zniszczonych wojną i dobitych przez stalinizm, okrojonych w Trianon niewielkich Węgier.

eprasa.pl 488600ea51



Wodewil rewiowy sióstr Barrison z Nowego Jorku, który w 1896 r. zrobił furorę w Budapeszcie

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Na wystawie obejrzeć można maszynę do pisania, którą przywiózł do Ameryki w 1952 r. pisarz Sándor Márai. Tu zamieszkał w Nowym Jorku i pracował w tutejszym biurze sekcji węgierskiej Radia Wolna Europa. Tu też w San Diego w Kalifornii zmarł w 1980 r. Jest coś głęboko poruszającego we fragmentach jego wspomnień, z których wyziera poczucie kulturowej obcości środkowoeuropejskiego inteligenta w kraju szokująco prostackiej rzeczywistości, jakim była Ameryka lat 50. i 60.

Dojmująca tęsknota za ojczyzną wyniszczyła też Bélę Bartóka – wspaniałego węgierskiego kompozytora i pianistę. Bartók był zdecydowanym przeciwnikiem wiązania się przedwojennych Węgier z III Rzeszą i z tego powodu w 1940 r. wyjechał z żoną do Nowego Jorku. Ale tu przeżył gorzkie rozczarowanie. W USA nie było prawie żadnego zainteresowania jego muzyką. Niemal z łaski dano mu okazję do paru wykładów na Columbia University w Nowym Jorku, ale tak naprawdę musiał utrzymywać się głównie z nauki gry na fortepianie. Dla kompozytora przyzwyczajonego do popularności w swoim kraju była to upokarzająca degradacja. Do depresji – jak to często bywa – dołączyły choroby. Osamotniony i rozgoryczony Bartók zmarł na białaczkę 26 września 1945 r.

Dla jego ojczyzny zaczynał się wtedy okres powolnego osuwania się w kierunku dominacji sowieckiej. Węgrów jako kraju kolaborującego z Hitlerem nikt specjalnie w Ameryce nie żałował. Ten zły wizerunek kraju Madziarów zmienił się nieco ponad dekadę po wojnie, ale w niezwykle tragicznych okolicznościach. Gdy Węgrzy wywołali powstanie w październiku 1956 r., węgierska sekcja Radia Wolna Europa w swoich audycjach pobudzała nadzieje, że Ameryka wesprze ich walkę o niepodległość. Słynny węgierski historyczny pech spowodował, że dokładnie w tym samym czasie koalicja Wielkiej Brytanii, Francji i Izraela uderzyła na Egipt w celu zachowania kontroli nad Kanałem Sueskim. Ameryce nie było łatwo atakować Sowietów za najazd na Budapeszt, w sytuacji gdy jej zachodnioeuropejscy sojusznicy sami interweniowali zbrojnie przeciw prezydentowi Egiptu, Gamalowi Abdelowi Naserowi.

Nie mogąc pomóc Węgrom militarnie, Amerykanie odkupili swoje nieczyste sumienie ogromną pomocą dla ok. 180 tys. węgierskich uchodźców, którzy przekroczyli granicę z Austrią. Większość z nich udała się do USA. Ze wzruszeniem oglądam odnalezioną gdzieś w Ameryce drewnianą skrzynię z transportem leków dla Węgrów, która z jakichś powodów nie została wysłana na granicę austriacko-węgierską. Kolejnym gestem Amerykanów wobec zmiażdżonej rewolucji węgierskiej było udzielenie azylu prymasowi Węgier kard. Józsefowi Mindszentyemu w ambasadzie USA w Budapeszcie. Węgierski hierarcha przebywał na terenie amerykańskiej placówki aż do września 1971 r., kiedy węgierscy komuniści zgodzili się na wyjazd prymasa do Rzymu. Pięć lat później, w ramach polityki odprężenia, administracja prezydenta Geralda Forda postanowiła wykonać gest wobec komunistycznej ekipy Jánosa Kádára. W styczniu 1976 r. do Budapesztu przybył sekretarz stanu, Cyrus Vance, przywożąc ze sobą najcenniejszy symbol Węgrów – Koronę św. Stefana wraz z pozostałymi atrybutami koronacyjnymi królów Węgier. Amerykanie natrafili w końcu drugiej wojny światowej na ten najświętszy symbol Węgrów, wywieziony do Niemiec, i przetransportowali go do słynnego Fortu Knox. Węgierskiej emigracji przyrzekli zaś, że nie oddadzą korony tak długo, jak nad Dunajem będą rządzić komuniści podlegli Moskwie. Ale w 1976 r., w imię ducha odprężenia, złamali tę obietnicę ku rozgoryczeniu amerykańskich Węgrów.

Na wystawie o tych mało chlubnych dla jankesów szczegółach nie sposób się jednak dowiedzieć. Ekspozycję kończą gabloty z koszulkami najsłynniejszych amerykańskich hokeistów, baseballistów i gwiazd futbolu amerykańskiego, wywodzących się z diaspory węgierskiej.

GEST PRZYJAŹNI WOBEC TRUMPA

W świecie polityki największą karierę z amerykańskich Węgrów zrobił George Pataki, wieloletni gubernator Nowego Jorku, który był nawet jednym z kandydatów do nominacji w obozie republikanów w wyborach prezydenckich w 2016 r. W administracji Joe Bidena ważne stanowisko obejmował w latach 2021–2025 sekretarz stanu Antony Blinken, mający węgiersko-żydowskie korzenie. Inny rodzaj kariery – chodzi o aspiracje do wpływania na kształt ideowy współczesnego świata – wybrał na amerykańskim podwórku George Soros, urodzony w Budapeszcie w 1930 r.

Na ekspozycji nikt tego nie zaznacza, ale bystre oko przybysza z Warszawy szybko zauważa – ta ekspozycja to pamiątka z epoki Viktora Orbána. Lider Fideszu od kwietnia br. już nie jest premierem, ale wystawa ewidentnie miała być gestem przyjaźni wobec Donalda Trumpa z okazji okrągłej rocznicy powstania USA. Z tego powodu ekspozycja już sama w sobie jest pamiątką po poprzedniej epoce w historii Węgier. Następca Orbána – Péter Magyar – to pilny uczeń w euroszkółce Ursuli von der Leyen. Pod jego rządami na żadne kolejne, rychłe demonstracje przyjaźni Węgier z Ameryką nie ma raczej co liczyć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Amerykański sen" w Muzeum Narodowym w Budapeszcie potrwa do 11 stycznia 2027 r. Szczegóły na stronie www.mnm.hu.

eprasa.pl 488600ea51



Krzysztof Masłoń

Bóg dał ręce, żeby brać



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Rewolucyjne zmiany dokonujące się w ojczyźnie naszej sprawiają, że tym skwapliwiej powinniśmy sięgać po „Pana Tadeusza", w których to 12 księgach spisanych wierszem Adam Mickiewicz nie tylko opowiedział historię szlachecką z lat 1811 i 1812, lecz także – jak się okazuje – wyprorokował to wszystko, czego dziś jesteśmy świadkami. A my, o czym dowiedzieliśmy się ostatnio od naszego złotoustego premiera Tuska, jesteśmy już o krok od tego, by stać się potęgą morską. I to w wymiarze militarnym – podkreślił premier. Na razie ochrzczony został ORP „Wicher" i wytyczono dalekosiężne plany rozwoju nie tylko polskiego przemysłu stoczniowego, lecz także całego Wybrzeża, którego perłą jest oczywiście Gdańsk. Mickiewicz o tej kolebce wolności tak pisał:

... Sędzia otworzył puzderko zamczyste,
W którym rzędami flaszek białe sterczą głowy;
Wybiera z nich największy kufel kryształowy
(Dostał go Sędzia w darze od księdza Robaka),
Wódka to gdańska, napój miły dla Polaka.
„Niech żyje! krzyknął Sędzia, w górę wznosząc flaszę,
Miasto Gdańsk, niegdyś nasze, będzie znowu nasze".
I lał srebrzysty likwor w kolej, aż na końcu
Zaczęło złoto kapać i błyskać na słońcu.

Oczyma wyobraźni widzę już uroczyste przeniesienie stolicy Polski nad Bałtyk do rodzinnego miasta nie tylko Donalda Tuska, lecz także Arthura Schopenhauera i Daniela Gabriela Fahrenheita, Johannesa Heveliusa i Güntera Grassa. Grodu, którego honorowymi obywatelami byli m.in. Adolf Hitler i Hermann Göring, sowiecki generał Paweł Batow i wiceminister obrony ZSRS Wiktor Kulikow, Bolesław Bierut i Konstanty Rokossowski, no i naturalnie Lech Wałęsa.

W Wolnym Mieście Gdańsku mógłby Tusk – za pośrednictwem swego totumfackiego Władysława Kosiniaka-Kamysza – wydać rozkaz dokonania morskiej inwazji na Szwecję. Wiem, wiem, spowodowałoby to perturbacje w UE i nie tylko w niej, gdyż potomkowie wikingów wstąpili do NATO, ale gra jest warta świeczki, a środowiska patriotyczne dostałyby zbiorowego orgazmu. W końcu coś się nam za skarby zrabowane w trakcie XVII-wiecznego potopu należy. Od Niemców Tuskowi domagać się rekompensaty nie wypada, co innego od Szwedów. Oni złupili nam doszczętnie Krzyżtopór, my im zabierzemy okręt „Vasa" i zacumujemy go w Gdyni obok „Błyskawicy"; odbierzemy także wcześniej zabrany przez nas Rosjanom w Moskwie hełm Iwana Groźnego, jak również turecki namiot zdobyty przez Sobieskiego pod Wiedniem.

I w tym miejscu należy zwrócić uwagę na inną, jakże istotną zapowiedź Donalda Tuska, który zamierza uczynić z Polski potęgę nie tylko morską, lecz także międzyplanetarną, w tym celu konstruując polski statek kosmiczny. Na razie nie lata on nam nad głowami, co najwyżej śmignie od czasu do czasu jakaś rakieta, o której – cytuję – z dużą dozą prawdopodobieństwa rzec można, że rosyjskiej produkcji. Ale może to nie rakieta, a kometa? A ta ostatnia, „rzekł Wojski, głowę pochyliwszy smutnie: / »Kometa czasem wojny, czasem wróży kłótnie!«". Czytelnicy „Pana Tadeusza" wiedzą, że Wojski był znawcą astronomii. Podobnie jak historii ojczystej, prawił bowiem:

... kiedy na koń król Jan Trzeci wsiadał,
Gdy nuncyjusz papieski żegnał go na drogę,
A poseł austryjacki całował mu nogę,
Podając strzemię (poseł zwał się Wilczek hrabia),
Król krzyknął: „Patrzcie, co się na niebie wyrabia!"
Spojrzą, alić nad głowy suwał się kometa
Drogą, jaką ciągnęły wojska Mahometa,
Z wschodu na zachód; potem i ksiądz Bartochowski,
Składając panegiryk na tryumf krakowski,
Pod godłem „Orientis Fulmen", prawił wiele
O tym komecie; także czytam o nim w dziele
Pod tytułem „Janina", gdzie jest opisana
Cała wyprawa króla nieboszczyka Jana
I wyryta chorągiew wielka Mahometa,
I ów, taki jak dziś go widzimy, kometa.

Chorągiew chorągwią. A namiot gdzie? Szwedzi ska próbują słuszne nasze pretensje załagodzić, oferując wypożyczanie zrabowanych dzieł na urządzane w Polsce wystawy. Zbytek łaski. À propos – gdzie jest „Statut Łaskiego", gdzie róg myśliwski Zygmunta III czy miecz podarowany królewiczowi Władysławowi Wazie przez papieża Urbana VIII? Przed laty Olaf Palme dał Gierkowi 15-metrowy rulon z akwarelą upamiętniającą wjazd do Krakowa orszaku ślubnego Konstancji, żony Zygmunta III Wazy, wywieziony z Polski w czasie potopu. Był to jednak chwalebny wyjątek, tak że w istocie nic nam nie pozostaje, tylko ruszyć całą naszą morską potęgą na Sztokholm i odebrać co nasze. Potem ostatecznie, jeśli komety nam będą sprzyjały, możemy z nimi zawrzeć pokój. Naturalnie w Oliwie.

Odnośnie do polityki w wydaniu krajowym, to jej wykładnię przedstawił w „Panu Tadeuszu", o dziwo, Moskal, skądinąd nie najgorszy, kpt. Ryków, powiadając: „Bóg dał ręce, żeby brać, to ruskie przysłowie". A jaka przyszłość czeka odwiecznych, jak się zdaje, antagonistów, przywódców PiS i PO?

Ale starce miód piją, tabakierką z kory
Częstując się nawzajem, toczą rozhowory.
„Tak, tak, mój Protazeńku", rzekł klucznik Gerwazy.
„Tak, tak, mój Gerwazeńku", rzekł woźny Protazy.
„Tak to, tak!" powtórzyli zgodnie kilka razy. ©℗

eprasa.pl 488600ea51

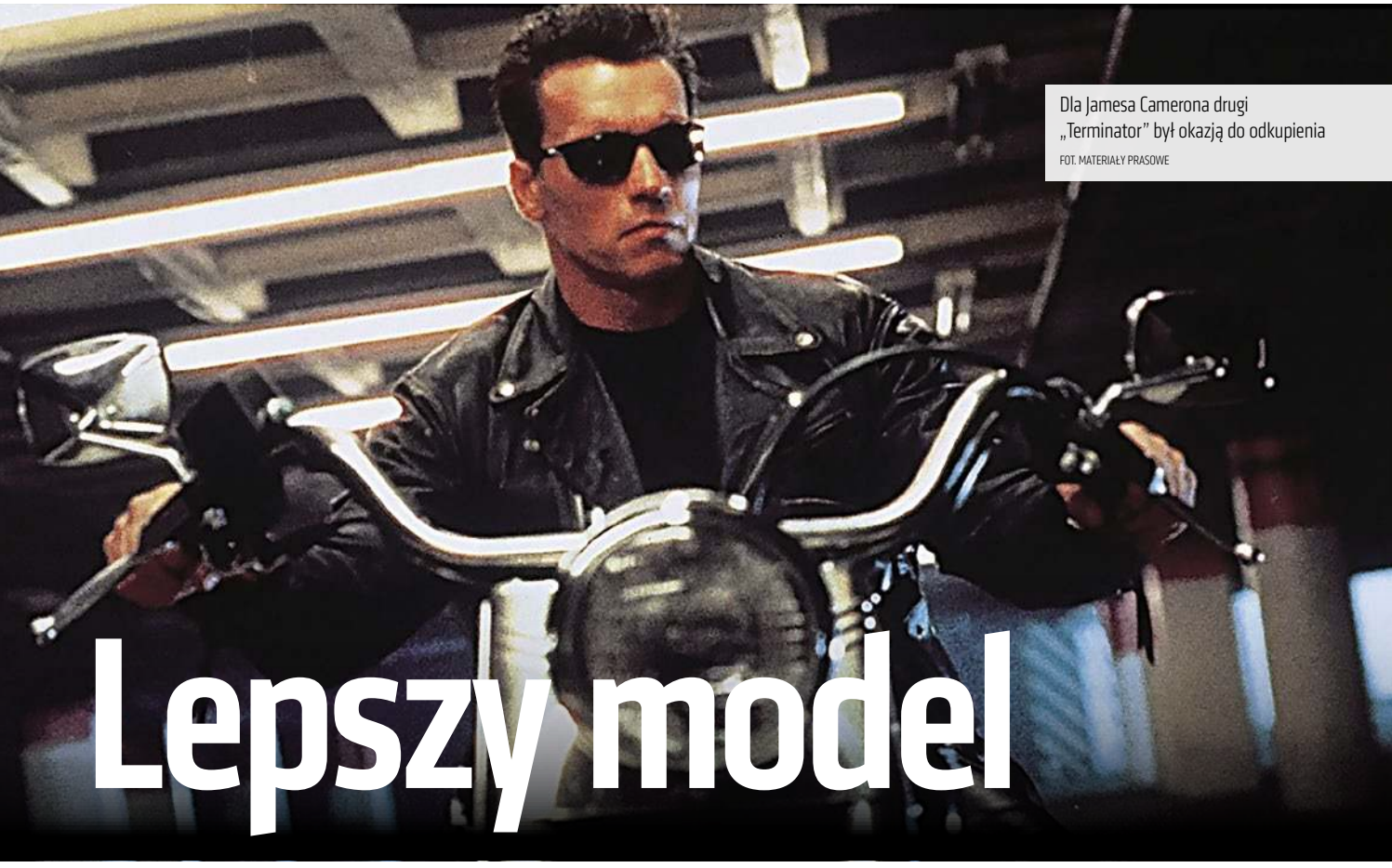

Dla Jamesa Camerona drugi „Terminator" był okazją do odkupienia

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Lepszy model



Piotr Gociek

„Terminator 2" odmienił kino i odmienił karierę Jamesa Camerona. Czy na lepsze?

Gościłem niedawno na pierwszej edycji Portal Film Fest w Poznaniu. Trzydniowe święto klasyki kina SF okazało się nadspodziewanym sukcesem, bilety na wiele seansów wyprzedano, niezależnie od tego, czy pokazywano stare filmy Szulkina czy anglosaską klasykę od „Zakazanej planety" po „2001: Odyseja kosmiczna". Wśród filmów, które zgromadziły na sali komplet, był także „Terminator" (1984). Dla wielu widzów była to pierwsza w życiu okazja, by obejrzeć głośną produkcję Jamesa Camerona na dużym ekranie. A wiadomość o tym, że za kilkanaście dni będą mogli obejrzeć sequel, czyli „Terminatora 2", już nie na festiwalu, ale po prostu w kinach, wzbudziła entuzjazm.

OKAZJA DO ODKUPIENIA

Trzydzieści pięć lat od chwili, gdy „Terminator 2: Dzień sądu" (1991) rozpoczął podbój amerykańskiego i światowego box office'u, film wraca na duży ekran i jest to wiadomość bardzo dobra nie tylko dla miłośników kina SF. Tak zresztą było już w roku premiery – film Jamesa Camerona okazał się światowym fenomenem i najbardziej kasową produkcją roku. Po latach broni się wciąż jako znakomite widowisko. Jednocześnie z perspektywy czasu widać, jak ważnym punktem się okazał w rozwoju masowej rozrywki.

Dla samego Jamesa Camerona drugi „Terminator" był okazją do odkupienia. Jego poprzedni film, „Otchłań" (1989), spotkał się z chłodnym przyjęciem krytyków i ze wstrzemięźliwymi reakcjami widzów. Zdawało się, że po dwóch hitach („Terminator" oraz „Obcy – decydujące starcie") Cameron traci swój cudowny dotyk i nie umie już zamieniać pogardzanego gatunku, jakim wciąż była fantastyka, w żyłę złota. Jednocześnie ten sequel – jak się okazało, jeden z najlepszych sequeli w dziejach – był dla reżysera okazją, by zrealizować swój wymarzony film w takim kształcie, jakiego nie mógł przybrać siedem lat wcześniej. Już bowiem w scenariuszu oryginalnego filmu z 1984 r. z przyszłości przybywał nie jeden elektroniczny morderca, lecz dwóch (pamiętacie ten tytuł z kin w PRL?). Skończyło się na jednym, bo ówczesne środki techniczne nie pozwalały na pokazanie na ekranie robota, który jest stworzony z płynnego metalu. Z tym trzeba było poczekać do dwójki.

Pierwszy „Terminator" był filmem skromnym, nakręconym za niespełna 6,5 mln dol. Niewiele w nim efektów specjalnych, są za to napięcie, groza, zaskoczenie. Można wręcz powiedzieć, że był to film B-klasowy, zrealizowany tak sprawnie, że wkroczył do kinowej ekstraklasy. Obsada właściwie też była B-klasowa: Michael Biehn, Lance Henriksen, w głównej roli kobiecej – Sary Connor – Cameron obsadził

eprasa.pl 488600ea51

własną żonę. Wyjątkiem był Arnold Schwarzenegger, którego też nie dałoby się namówić do współpracy, gdyby wcześniej nie zaprzyjaźnił się z Cameronem.

Przed premierą wszyscy byli sceptyczni, szacunki przewidujące wpływy – bardzo skromne. Przypomnijmy: wtedy Cameron był znany głównie jako reżyser horroru „Pirania II" (1982) oraz (w wąskich kręgach) jako autor pierwszej wersji scenariusza filmu „Rambo II". Sukces „Terminatora" zmienił wszystko – Cameron wkrótce dostał do nakręcenia sequel „Aliena" Ridleya Scotta, czyli film „Obcy – decydujące starcie", i odniósł wielki sukces jako autor wysokobudżetowego widowiska. I rozpoczęło się trwające do dziś życie franczyzy: kolejne filmy, serial telewizyjny, komiksy i gry z uniwersum Terminatora.

Na tle innych produkcji lat 80. okazuje się pierwszy „Terminator" produkcją nietypową. Nie jest to charakterystyczne dla owej epoki Kino Nowej Przygody. Kinową fantastykę kojarzono wtedy przede wszystkim z widowiskami familijnymi od Lucasa („Gwiezdne wojny", „Poszukiwacze zaginionej arki") do Spielberga („E.T."); od Zemeckisa („Powrót do przyszłości") do Dantego („Gremliny"). Była to rozrywka bezpieczna i optymistyczna, czasem z zacięciem komediowym; były to sny dostatniej, odradzającej się pod rządami Reagana Ameryki.

„Terminator" był zaś filmem posępnym, pesymistycznym. Chwilowe zwycięstwo nad potężnym wrogiem zostało odniesione, ale oznaczało to jedynie wygranie pierwszej bitwy. Prawdziwa wojna z robotami wciąż czekała na jej stoczenie w nieodległej przyszłości. „Sztorm nadchodzi" – mówiła Sarah Connor w finale i wiedzieliśmy, że nie chodzi o czarne chmury burzowe na horyzoncie, tylko o zagładę ludzkości. „Terminator" wskrzeszał pierwotny lęk przed tworem Frankensteina: sztuczną istotą, która obróci się przeciw swojemu stwórcy. O ile w „Łowcy androidów" obserwowaliśmy uczłowieczenie robota, widzieliśmy sugestię, że jest równie ludzki jak my, a może nawet bardziej, o tyle robot T-800 grany przez Schwarzeneggera przypomina człowieka tylko zewnętrznie. Wszystko inne jest w nim nieludzkie, nie zna litości, jest od ludzi także dalece potężniejszy. I jest stworzony oraz zaprogramowany przez konkurencyjną, nieludzką inteligencję: Skynet.



REŻ. JAMES CAMERON
„TERMINATOR 2: DZIEŃ SĄDU"
FRANCJA, USA
1991

Wszystko to czyni pierwszego „Terminatora" filmem nieco paradoksalnym: jest z jednej strony owocem epoki zimnej wojny, dekady, gdy Ameryka wprost (w każdym razie Reagan) mówiła o konfrontacji z imperium zła, czyli Sowietami. Cameron więc wpisał się w klimat, bo pokazał wojnę z maszynami, ze złem nieludzkim. A zarazem nie jest to film tak optymistyczny, bajkowy i pyszałkowaty jak „Rambo II" czy „Rocky IV" albo bondowski „The Living Daylights" – we wszystkich nich Zachód dawał bez trudu łupnia Sowietom.

POCZĄTEK ERY BLOCKBUSTERÓW

Drugi „Terminator" to sequel, w którym przesunięto akcenty tak mocno, że mógłby to być film Stevena Spielberga. Zła maszyna z przyszłości okazuje się tym razem sojusznikiem, opiekunem i przyjacielem. T-800 zamienia się w figurę zastępczego ojca (mocno spielbergowski motyw). Mroczny nastrój jedynki odchodzi w niepamięć, film „Terminator 2: Dzień sądu" zamienia się w wysokooktanowe widowisko, spektakl przesłania przestrogę. Tym samym otwarta zostaje droga do nowego rodzaju hollywoodzkiej rozrywki, era blockbusterów lat 90. zaczyna się właśnie od „Terminatora 2". Pieczołowicie przygotowano premierę tego filmu jako wielki event popkulturowy, włączając w to teledysk „You Could Be Mine" Guns N' Roses, będących wtedy u szczytu popularności. Mówimy już o latach największej potęgi MTV, kiedy teledyski i agresywna promocja telewizyjna zaczęły dominować w promocji kinowych hitów.

Jednocześnie efekty specjalne w drugim „Terminatorze" podniosły poprzeczkę bardzo wysoko. Do dziś na ekranie broni się oryginalnością i techniczną maestrią niesamowita postać T-1000, robota z płynnego metalu, któremu twarzy użyczył Robert Patrick. Komputerowo generowane efekty przestały się kojarzyć z kanciastymi obrazkami z gier produkowanych na komputery PC. Dwa lata po „Terminatorze 2" dostaliśmy „Park Jurajski" Spielberga – te dwa filmy wprowadziły kinową rozrywkę na nowe tory.

Jednocześnie drugi „Terminator" stał się ważnym punktem na linii rozwoju wizerunku cyborga w kinie. Wspomnijmy, że finałem przemian kinowej fantastyki lat 90. XX w. był „Matrix" (1999) braci Wachowskich. Piotr Jezierski w eseju „Siła strachu. Wpływ Apokalipsy i lęków zimnowojennych na wybrane nurty kultury popularnej" (2012) zauważył, że dałoby się „Matrixa" wpasować w mitologię uniwersum „Terminatora" – jeśli maszyny wygrałyby wojnę z ludźmi, to nasz koniec mógłby wyglądać tak, jak u Wachowskich.

Czy kres zimnej wojny oznaczał, że dostaliśmy nowy zestaw lęków? Nie do końca. Przestaliśmy co prawda się bać nuklearnej wojny (ten strach akurat powrócił w ostatnich latach), ale gdy przyjrzymy się uważnie, to u źródeł lęku przed terminatorami rozmaitych generacji leży ta sama paranoja, co w pierwszych dwóch dekadach po 1945 r. Powracał wówczas motyw ludzi podmienionych: wyglądają jak my, ale nie są już nami (jak w „Inwazji porywaczy ciał"). Przecież we franczyzie „Terminator" mamy do czynienia z podobnym zagrożeniem: nie jesteśmy w stanie odróżnić wroga od sojusznika. Cała ta mitologia jest eksplorowana w kolejnych filmach serii, a do perfekcji doprowadzili ją później twórcy nowej wersji serialu „Battlestar Galactica" (2003–2009).

SPECJALISTA OD NAJDROŻSZYCH FILMÓW

Dla Jamesa Camerona, który przez całą karierę wykazywał wielkie zainteresowanie poszerzaniem technicznych możliwości kina, „Terminator 2" był początkiem serii sukcesów, które jeśli chodzi o rekordy finansowe, nie mają sobie równych: „Prawdziwe kłamstwa", „Titanic", seria „Avatar". Stał się specjalistą od filmów najdroższych, w chwili gdy powstają (taki był już w 1991 r. „Terminator 2") i późniejszego bicia rekordów w box offisie. Można też powiedzieć, że stał się więźniem własnego sukcesu i własnych obsesji. Biegłość techniczna i imponująca strona wizualna nie przekładają się na filmy lepsze. Są one jedynie coraz dłuższe i coraz bardziej efektowne. Aż wreszcie przychodzi zmęczenie. Ogłuszenie. Wyczerpanie. „Terminator 2" odmienił kino i odmienił karierę Camerona. To pewne. Czy na lepsze? A to już kwestia do zażartej dyskusji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 488600ea51



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

HBO max

Bez bohatera

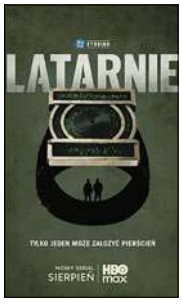

★★★★★★

SEZON 1
„LATARNIE” („LANTERNS”)
USA 2026

wyst. Kyle Chandler, Aaron Pierre

Był czas, gdy postacie komiksowych superbohaterów rzeczywiście zastępowały w masowej kulturze herosów i półbogów z antycznej mitologii. Tęsknota za niezwykłymi opowieściami o nadludziach pozostaje w nas silna. Tak było kiedyś – dziś królują dekonstrukcja i zacieranie granic między dobrem a złem. Bohaterstwo jest wyszydzane. Superbohaterstwo – również.

I oto dostajemy serial, który formalnie przynależy do filmowo-serialowego DC Uniwersum (od koncernu DC, który konkuruje z Marvelem), ale w istocie jest skrzyżowaniem niezbyt udanego kryminału, parodii w stylu „Facetów w czerni” i lekcją politycznej poprawności. Hal Jordan, bohater znany jako Green Lantern, to członek kosmicznego korpusu strażników pokoju we wszechświecie. Odpowiada za bezpieczeństwo Ziemi, ale gdy trzeba, odbywa też misje pozaplanetarne. Starzeje się i wychowuje swego następcę. Klasyczna formuła, ale wykręcona: obaj panowie nie budzą naszej sympatii. Bohaterowie drugiego planu – też nie. Relacja ojciec – syn jest tu toksyczna, podobnie jak relacja mistrz – uczeń. Właściwie każda postać okazuje się nadużywającym władzy dupkiem, nieważne, czy mowa o lokalnej pani szeryf czy samym Halu Jordanie. Sos poprawności też jest nieznośny: imigranci są dobrzy, kto ich nie kocha, ten świnia. Wszędzie rasizm, paternalizm i patriarchat, najgorsi są republikanie.

Kyle Chandler, obsadzony w roli Zielonej Latarni, to dobry aktor, jednak postać do zagrania dostał jednowymiarową. Aaron Pierre, który gra jego ucznia, nie ma charyzmy. Ewidentnie wprowadzony został na scenę tylko po to, by jako młody, dzielny, prześladowany Afroamerykanin mógł przejąć pałeczkę od zmęczonego, zużytego i niemiłego białego bohatera (podobnego zabiegu dokonał Marvel z postacią Kapitana Ameryka).

HBO reklamuje serial „Latarnie”, sugerując inspirację słynnym serialem „Detektyw”. W necie rośnie liczba gwiazdek w ocenach generowanych na podstawie opinii widzów (w każdym razie – podobno według tego). Ale produkt jest nudny i pretensjonalny. Dialogi nie pomagają – bohaterowie głównie opowiadają sobie o tym, co robili, albo o tym, co zrobią. Dziwne, bo przecież mówimy o medium wizualnym, nieprawdaż? Nie dajcie się nabrać. ©℗

GRA TYGODNIA: „ORBITALS”

Wygląda jak anime – i to w stylu retro – do tego rozgrywa się gdzieś w przestrzeni kosmicznej, a zatem trzeba lubić te klimaty, by dobrze się poczuć w tej grze już na starcie. Pod tą estetyką kryje się typowa kanapowa gra kooperacyjna. Musimy ze sobą ściśle współpracować, by pokonywać elementy zręcznościowe i zagadki środowiskowe. Bez tego niechybnie zginiemy na rozpadającej się stacji kosmicznej. Nintendo ma mnóstwo gier kanapowych, „Orbitals” ma więc silną konkurencję. Mimo to warta jest zainteresowania. ★★★★★★



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Radosław Wojtas ©℗

- ***Gatunek:*** ***zręcznościowe, kooperacyjne***
- ***Platforma:*** ***Nintendo Switch 2***
- ***Producent, wydawca PL:*** ***Nintendo, ConQuest***

eprasa.pl 488600ea51

Podążaj za osłem

KINO



★★☆☆☆☆

„GWIAZDOZBIÓR PSA" („THE DOG STARS")
USA/WIELKA BRYTANIA 2026

wyst. Jacob Elordi, Josh Brolin, Margaret Qualley

Za kilka lat grypa położy kres panowaniu gatunku ludzkiego na Ziemi. Odporni na wirusa zamiast się ogarnąć, zgłupieją do szczętu. W 2035 r. zasadniczo będzie już po wszystkim. W ruinach miast grasować zaczną zdziczali zabójcy i szabrownicy. Jeśli jesteś mechanikiem, snajperem i mistrzem survivalu – to pożyjesz dłużej. Hig, główny bohater „Gwiazdozbioru Psa", ma dodatkową umiejętność: potrafi pilotować samolot. Patrolując swoją Cessną okolice Denver, widzi, że świat jest nadal piękny (a bez ludzi może nawet piękniejszy). Samotność mu nie doskwiera, gdyż po utracie rodziny wszystkie uczucia przelał na owczarka Jaspera. Mieszkanie w hangarze opuszczonego lotniska dzieli z byłym komandosem, hołdującym dewizie „najpierw strzelaj, potem pytaj". Zważywszy na umiejętności Bangleya, intruzi nie mają szans, by się przedstawić i wytłumaczyć. Hig, jako idealista, ma z tym kłopot. Wiedziony nadzieją, że gdzieś na zachodzie przetrwała cywilizacja (odwrotnie niż w „Seksmisji") odlatuje w siną dal.

Obsada miała zagwarantować sukces. Rosły Elordi jest bożyszczem nastolatek, Brolin junior wielokrotnie sprawdził się w rolach twardzieli, Qualley ma w sobie naturalność, którą kamera kocha. Janney i Pearce dostali do zagrania wdzięczne epizody. Co z tego, skoro reżyser nie dojechał? Ridley Scott marzył o zrobieniu westernu i poniekąd mu się to udało. Stada bizonów, hordy Indian, osada sekciarzy, mężczyźni delektujący się nikotyną, haustem kawy i wody ognistej – wszystko się zgadza. Współpracownicy 88-letniego reżysera zajęli się nudną resztą. Oczywiście argument z PESEL-em to łatwizna. Mniemam, że praźródłem problemów był materiał wyjściowy, czyli powieść Petera Hellera – zanadto introwertyczna, by dało się ją łatwo sformatować do gabarytów epickiego widowiska. Hollywood nienawidzi ryzyka. Wątpliwe przypadki już na etapie produkcji są upodabniane do projektów, które się dobrze sprzedały. To dlatego „Gwiazdozbiór Psa" na tle innych filmów z gatunku postapo jawi się jako dzieło doskonale epigońskie, choć krzepiące skołatane serca Amerykanów. Niestety, twórcom zabrakło konsekwencji. Sceny ze wspaniałymi pejzażami Colorado nakręcili we Włoszech. ©℗

Wiesław Chełminiak

PRAWDA PRZYGNĘBIA

Nastolatki są niebezpieczne dla otoczenia. „Widzę i słyszę wszystko, co robicie, nawet gdy jesteście gdzie indziej" – ostrzega swoich rodziców Marielle. Telepatyczny dar jedynaczki to dla Tobiasa i Julii dopust boży. Wcale nie dlatego, że są załgani do szpiku kości. Nawet przed lustrem trudno się przyznać do słabości charakteru i ulegania pokusom, a cóż dopiero, gdy stają się one przedmiotem rodzinnej debaty. Totalna inwigilacja, utrata kontroli nad własnym wizerunkiem – oto koszmary współczesności. Gdyby to była studencka etiuda, wróżyłbym autorowi sporą karierę. Hambalek nie jest jednak młodzieniaszkiem i lepszy z niego scenarzysta niż reżyser. Dobrym pomysłom szkodzą siermiężna inscenizacja tudzież nijakie aktorstwo. A za odkrycie, że hipokryzja jest najlepszym lepiszczem życia społecznego, Oscarów nie dają. ©℗



KINO

★★★☆☆☆

REŻ. FRÉDÉRIC HAMBALEK
„O CZYM WIE MARIELLE?"
NIEMCY 2025

wyst. Julia Jentsch, Felix Kramer, Laeni Geiseler



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Za czym kolejka ta stoi?



FOT. GRAŻYNA RUTOWSKA/NAC

Towarzyszy życiu codziennemu i pełni różne funkcje: propagandowe, rozrywkowe, sentymentalne, polityczne, buntownicze. Muzyce PRL – z naciskiem na muzykę młodzieżową – poświęcona jest wystawa czasowa, która 3 września zostanie otwarta w Muzeum Historii Polski.

„Wystawa zilustruje również, czym był PRL w sensie mentalnym – z całą jego fasadowością, ograniczeniami wolności słowa i ekspresji. Szczególna uwaga zostanie poświęcona zjawisku »straconego potencjału« – niewykorzystanej kreatywności wielu artystów – wynikającemu z cenzury, warunków ekonomicznych, społecznego konformizmu i politycznej kalkulacji" – zapowiadają organizatorzy.

Narrację zbudowano wokół oryginalnych eksponatów z epoki, w tym unikalnych przedmiotów należących do artystów i zespołów, takich jak: Mieczysław Fogg, Czesław Niemen, Maryla Rodowicz, Skaldowie, Kora, TSA, Robert Brylewski czy Wojciech Waglewski. ©℗

GDZIE? ***Muzeum Historii Polski***
KIEDY? ***3 września –6 grudnia***

eprasa.pl 488600ea51



KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Znaj pana!

Jego życie to gotowy scenariusz na wspaniały film o człowieku, który brylował na salonach, uwodził piękne kobiety, balował i polował, odziedziczył majątek, który pomnożył, żeniąc się z córką ówczesnego „króla kolei", a następnie przehulał wszystko. Stracił wtedy Samoklęski, perłę ziemi lubartowskiej, przegrywając w pokera w 1894 r. w petersburskim Yacht Clubie 400 tys. rubli z wielkim księciem Borysem Włodzimierzowiczem, stryjecznym bratem cara. Podobno miał cztery króle, podczas gdy książę – karetę asów.

W tej sytuacji Józef Weyssenhoff, bo o nim mowa, musiał zacząć zarabiać na chleb, no niech będzie, że z kawiorem. Zarabiał piórem. Jego głośnym debiutem powieściowym stały się „Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego" z 1898 r. Ta, jak ją nazwał Dionizy Henkiel, redaktor „Biblioteki Warszawskiej", „satyra na snobizm klubowo-arystokratyczny" spodobała się głównie dlatego, że Weyssenhoff nie fałszował rzeczywistości, znanej mu aż za dobrze. Jego bohater – pisze Ewa Danowska w wydanej właśnie świetnej biografii pisarza – „zainteresował czytelników nie dlatego, że go autor ośmiesza, ale że jest postacią z krwi i kości, odmalowany barwnie i wyraziście. Jest to egoista, kosmopolita z zamiłowania do komfortu, obojętny na wszystko oprócz własnej przyjemności i wygody, niecofający się nawet przed podłością, jeśli tego wymagają jego plany i interesy. Robiąc źle, robi to z przekonaniem, wierząc, że ma prawo używać wszelkich środków, aby wygodnie urządzić sobie życie. Nie zna wyrzutów sumienia, etykę uważa za przesąd, a użycie – za ideał bytu".

To sukces tej powieści uczynił z Józefa Weyssenhoffa człowieka pióra. Ze wszystkimi tego konsekwencjami. I tak np. Włodzimierz Bartoszewicz wspominał spotkanie, do którego doszło w roku 1911, z pisarzem swojego ojca, endeckiego polityka i publicysty, redagującego w tamtym czasie „Dziennik Kijowski":

Pojechał mój ojciec na kilka dni do Warszawy. Chciał zdobyć dla „Dziennika Kijowskiego" jakąś nowelę i wybrał się do Józefa Weyssenhoffa. Po przywitaniu i zamienieniu paru zdań ze znakomitym pisarzem ojciec od razu przystąpił do rzeczy:

– Chciałbym, aby Pan napisał coś dla „Dziennika".

– To wykluczone – zawołał Weyssenhoff – pracuję teraz nad „Sobolem i panną". Zabiera mi to wiele czasu i o niczym innym nie mogę myśleć.

– Chodzi mi o krótką nowelę.

– To wykluczone – powtórzył Weyssenhoff – absolutnie nie mogę się tego podjąć.

– Ale ja płacę z góry – odpowiedział, uśmiechając się ojciec.

Weyssenhoff spojrzał nań ze zdziwieniem.

– A to co innego! Jutro będę u Pana i powiem Panu, jaki będzie tytuł. Nazajutrz przyszedł istotnie, a wkrótce w „Dzienniku" ukazała się jedna z lepszych jego nowel „Znaj pana".

Przed wspomnianym tu „Sobolem i panną" wydał Józef Weyssenhoff, w 1911 r., „Hetmanów", uważanych za jego najbardziej kontrowersyjną powieść, a to ze względu na zawarte w niej wątki antysemickie. On sam twierdził, że rzecz powstała z oburzenia, i tłumaczył: „Wstręt do Żydów miałem we krwi od lat najmłodszych. Ale w pewnej epoce nauczyłem się ten wstręt hamować, a nawet walczyć z nim [jego żona, która się z nim rozwiodła, była żydowskiego pochodzenia – przyp. K.M.]; uległem prądowi asymilacyjnemu, równie obłudnemu ze strony Żydów, jak naiwnemu ze strony Polaków. Choć z tego zaślepienia wyleczyłem się rychło […], dla konsekwencji milczałem długo o Żydach w pierwszych swoich książkach". Później się już pod tym względem nie hamował, choćby w powieści „Cudno i ziemia cudneńska", a „Hetmanów" uważał za swoje najciekawsze dzieło. Z powodów, których nikomu w tym miejscu wyjaśniać nie trzeba, powszechnie dziś nieznanych.

Zgoła inny był los „Sobola i panny", mającego pierwodruk w 1911 r. w „Gazecie Warszawskiej". Ta miłosna historia rozgrywająca się w scenerii kowieńskiej puszczy, ze świetnymi opisami przyrody, zachwyciła wszystkich, a powieść wymieniano jednym tchem nie tylko z „Legendą Tatr", lecz także z… „Panem Tadeuszem". Przesada to niewątpliwa, choć utwór jest, rzeczywiście, miejscami porywający, w co jednak trudno uwierzyć widzom nie do końca udanej ekranizacji tej powieści z roku 1984. A Ewa Danowska przypomina też o znacznie wcześniejszej adaptacji filmowej dzieła Weyssenhoffa, a mianowicie napisanej w 1916 r. „Puszczy". Niestety, film Ryszarda Biskego z roku 1932 nie przetrwał do naszych dni, a szkoda, bo był to z pewnością „Polesia czar".

Józef Weyssenhoff angażował się politycznie, był programowo antysocjalistycznym polskim nacjonalistą, ale formalnie do Narodowej Demokracji nigdy nie wstąpił. A na wieczorze na jego cześć wydanym w listopadzie 1914 r. w warszawskiej Resursie Obywatelskiej wygłoszony został następujący toast:

Czy picie wieczorne czy ranne
Gdy dobrze przez gardło przecieka,
Ja piję za zdrowie człowieka
Co wyrżnął „Sobola i pannę".

Autorem tej okolicznościowej strofy był Roman Dmowski. ©℗

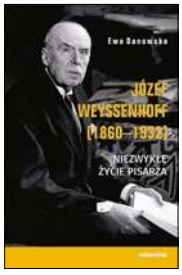

★★★★★★
EWA DANOWSKA „JÓZEF WEYSSENHOFF (1860–1932). NIEZWYKŁE ŻYCIE PISARZA"
UNIVERSITAS, KRAKÓW 2026

eprasa.pl 488600ea51



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Okiem fanki

Francuska autorka nadała swej opowieści o Kunderze formę kolażu. Nie używam słowa „biografia", gdyż nie z takim podejściem mamy do czynienia; to raczej lamus ciekawostek, prywatnych spostrzeżeń oraz hołdów „ku czci". Florence Noiville jest wielką admiratorką dzieła Kundery, miała okazję go poznać, bliższą znajomość utrzymuje z jego żoną, Verą. Dzięki temu wejściu do wewnętrznego kręgu może cytować prywatne opinie pisarza i jego małżonki, tyle że czasem owe opinie są zadziwiająco banalne.

Kolaż zatytułowany „Milan Kundera. Pisać, cóż za dziwny pomysł!" przypomina formalnie trochę niektóre powieści Vonneguta (zwłaszcza „Śniadanie mistrzów"): króciutkie rozdziały, wiele ilustracji, zaburzona chronologia. Noiville skacze po życiorysie Kundery, skacze też po polach tematycznych: tu kawałek o rodzicach, tu próba interpretacji jakiegoś fragmentu powieści, zaraz obok anegdota. Trochę polityki, trochę refleksji nad sztuką pisania, dużo szczegółów dla miłośników pisarza: gdzie mieszkał, co się stało z jego dobytkiem po emigracji do Francji, kim była jego pierwsza żona Olga (byli małżeństwem zaledwie osiem miesięcy) itd.

To rozsypanie, ten brak wyraźnych wątków i struktury nie będzie przeszkadzał tym, którzy – jak autorka – są zapamiętałymi fanami Kundery i ubolewają nad tym, jak niesłusznie był atakowany, a przecież taki jest wielki. Dobrze to widać, gdy Noiville z furią deprecjonuje oskarżenia o to, że Kundera za młodu miał donieść na pewnego chłopaka, który spędził potem 14 lat w obozie pracy (kara za „szpiegostwo na rzecz CIA"). Głośną biografię pióra Jana Novaka, który opisał rzecz, deprecjonuje pani Noiville jako „ociekająca nienawiścią". Nie zadaje sobie jednak pytania, czy przypadkiem takie wydarzenie nie byłoby idealnym kluczem do zrozumienia sedna twórczości Kundery, który podkreśla, że nie wierzy ani w Boga, ani w diabła, tylko w przypadek. I tłumaczy rzeczywistość w kontekście nieporozumienia, niezrozumienia, egzystencjalnego żartu.

Kundera bywał atakowany bezpodstawnie. Że zdradził ojczyznę, bo wyjechał, że nie szanuje czeskich czytelników, bo nie pozwalał na przekłady na czeski swych francuskich książek (tymczasem chciał po prostu sam przygotować ich czeskie wersje). W innych sprawach czeski pisarz wybrał milczenie – a gdy mądrzy milczą, to paplają za nich inni. Mniej mądrzy. ©℗

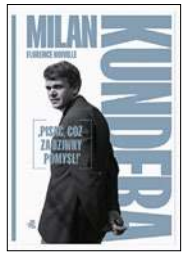

★★★☆☆☆
FLORENCE NOIVILLE „MILAN KUNDERA" W.A.B. 2025

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

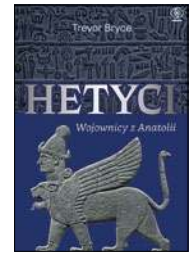

TREVOR BRYCE „HETYCI" REBIS

Wszyscy o nich słyszeli, mało kto zna ich dokonania. Opowieść australijskiego profesora o powstaniu i upadku potęgi Hetytów, wojowników z Anatolii, jest też pełną zaskakujących faktów historią życia codziennego imperium.



LÁSZLÓ KRASZNAHORKAI „MELANCHOLIA SPRZECIWU" CZARNE

Wznowienie powieści ubiegłorocznego noblisty. Napisana cztery lata po słynnym „Szatańskim tangu" mocno ją przypomina. Znów trafiamy do świata egzystencjalnej pustki i społecznego rozkładu – oto skutki komunizmu.

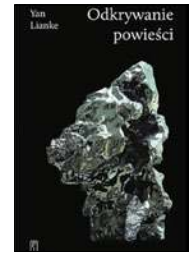

YAN LIANKE „ODKRYWANIE POWIEŚCI" PIW

O literaturze nie tylko dla zaawansowanych. Pisząc, czym jest mitorealizm, autor „Snu wioski Ding" snuje rozważania także o tym, jak prawda traktowana jest przez pisarzy i przez wydawców. Chyba znacie odpowiedź.



ADRIAN TCHAIKOVSKY „DZIECI PAMIĘCI" VESPER

Trzeci tom serii „Dzieci czasu". O kontakcie, o skutkach pewnego planetarnego eksperymentu: brytyjski autor korzysta z wykształcenia w zakresie zoologii i psychologii, by kreować fascynujące, oryginalne wątki.

recenzuje Piotr Gociek

KOMIKS TYGODNIA:
SIÓDMA PLANETA

Polska premiera komiksowej trylogii o przedziwnym układzie planetarnym złożonym z siedmiu zamieszkanych globów, gdzie każdy świat to odmienna fantazja z osobnym ekosystemem, prawami fizyki i mieszkańcami, którzy musieli się do tych warunków dostosować. Znaczące osiągnięcie frankofońskiego komiksu, za które odpowiada twórca znakomitego cyklu „Mroczne miasta".



LUC I FRANÇOIS SCHUITEN „WYDRĄŻONE ZIEMIE" SCREAM COMICS 2026

Piotr Gociek

eprasa.pl 488600ea51



Adam Wielomski



Krążące w Internecie zdjęcie przedstawiające sześcioramienną gwiazdę żydowską w czerwono-czarnych kolorach banderowskich (ok. lat 2015–2016)

FOT. FACEBOOK.COM/NYCHAZIN

Tryzub i gwiazda Dawida

Po upadku ZSRS elita kijowska, dotąd peryferyjna, poczuła swoją szansę. Trwale oddzielając się od Rosji i budując suwerenne państwo, uzyskała dziejową szansę sprawowania władzy nie w samorządach na kresach imperium, ale w prawdziwym państwie. Wśród niej było zaś wiele osób o korzeniach żydowskich. Pozycjonując się przeciw Rosji, uznały one, że warto ponieść koszt wspomagania grup odwołujących się do dziedzictwa ruchu politycznego kolaborującego z III Rzeszą

Jeszcze na początku konfliktu zbrojnego pomiędzy Ukrainą a Rosją na ówczesnym Twitterze jeden z moich znajomych zamieścił znalezione w Internecie zdjęcie, na którym widać było jakieś pomieszczenie sypialne dla ukraińskich żołnierzy. Ci siedzieli lub leżeli na łóżkach. Nad jednym łóżkiem wisiała dziwaczna flaga: czerwono-czarne kolory banderowskie, lecz na samym środku umieszczona była gwiazda Dawida. Później podobne zdjęcia widziałem jeszcze ze dwa razy.

Dla Polaka było to szokujące: symbol żydowski na fladze organizacji kolaborującej z Niemcami w czasie drugiej wojny światowej, znanej z pogromów ukraińskich Żydów. Stopniowo liczba takich paradoksów rosła, włącznie z mającym żydowskie pochodzenie prezydentem Wołodymyrem Zełenskim, który nie tylko tolerował symbolikę banderowską i nazistowską, lecz także sam podpisał decyzję o nadaniu jednej z jednostek nazwy „Bohaterów UPA". Zresztą wiele ukraińskich jednostek ma podobne nazwy, tyle że sprawy te wcześniej polskie media konsekwentnie starały się przemilczeć. Stąd temat tego tekstu: Czy Żydzi ukraińscy i wpływowe międzynarodowe środowiska żydowskie mogą współpracować z Ukrainą mającą na sztandarach tego typu szokujące symbole i głoszoną ideologię?

TEORIE SPISKOWE

Teorie spiskowe mają to do siebie, że tłumaczą wszystko. Pojawiają się, gdy ludzki umysł nie potrafi pojąć oczywistych sprzeczności, więc są one tłumaczone w sposób mało realistyczny, lecz łączący logicznie sprzeczne elementy. W tym przypadku połączenie w jedno Żydów i banderyzmu dokonało się w postaci koncepcji tzw. Niebiańskiej Jerozolimy. Ta autentycznie spiskowa teoria głosi, że elity polityczne Izraela i wpływowe na świecie lobby żydowskie uznały, iż otoczonego przez wrogie mu państwa islamskie Izraela nie sposób utrzymać w dłuższej perspektywie czasowej. Państwo to opiera swoją egzystencję na ustawicznej pomocy ekonomicznej i militarnej Stanów Zjednoczonych. Te zaś relatywnie słabną w stosunku do innych aktorów w światowej polityce. Wiele o tym mówili Donald Trump i jego otoczenie, a nieudana amerykańska agresja na Iran stanowi żywy dowód, że Trump miał rację, choć nie wyciągnął z tego logicznych wniosków.

W tej sytuacji Żydzi rzekomo mieli podjąć decyzję o stworzeniu na Ukrainie państwa „zapasowego", do którego będą mogli wyemigrować uchodzący z Izraela jego obywatele. Z tego, co czytam o teorii „Niebiańskiej Jerozolimy", to mieliby się oni osiedlić na terenach tzw. Noworosji, czyli południowej Ukrainy, a także na Krymie. Gdyby koncepcję tę przyjąć, to znajdujemy proste wytłumaczenie tak ochoczego poparcia Brytyjczyków i Amerykanów dla toczącej się wojny. Nie, nie chodziłoby o chęć osłabienia Rosji, lecz o depopulację Ukrainy. Setki tysięcy mężczyzn zginie, a miliony obywateli wyemigrują, zostawiając pustą przestrzeń dla przyszłego izraelskiego osadnictwa. Trochę nie pasuje do tej idei przynależność do przyszłej „Niebiańskiej Jerozolimy" zajętego przez Rosjan Krymu, lecz to łatwo wyjaśnić. Józef Stalin chciał w pewnym momencie przekabacić na stronę komunistyczną lewicową część syjonistów i wpadł na pomysł stworzenia autonomicznej republiki żydowskiej na

eprasa.pl 488600ea51

Krymie. Według głosicieli teorii spiskowych była to przesłanka przemawiająca za prawdopodobieństwem całego pomysłu. Opowieść odwołuje się jeszcze do budzącej kontrowersje historyków koncepcji chazarskiej etnogenezy wschodnioeuropejskich Żydów. Centrum kaganatu chazarskiego stanowiła Ukraina i herb dzisiejszego państwa – tryzub – rzeczywiście bardzo przypomina chazarskie symbole polityczne. Wariantem „Niebiańskiej Jerozolimy" miałaby być aktywność na Ukrainie Chabad-Lubawicz. Jest wiele zdjęć rabinów tej grupy z politykami ukraińskimi, lecz – o czym w Polsce nie wszyscy wiedzą – są także ich podobne zdjęcia z Władimirem Putinem. Inna sprawa, że Chabad trudno byłoby zaliczyć do nurtu syjonistycznego, gdyż jest to struktura religijno-biznesowa o kosmopolitycznym charakterze.

SZTUCZNA „BUDOWA NARODU"

Przesłanką, na której opierają się teorie spiskowe, jest znaczący wpływ w Kijowie polityków pochodzenia żydowskiego. Podobne pochodzenie ma wielu finansowych oligarchów. Mimo to tolerują i popierają nazistowskie symbole. Zełenski popiera kult UPA i robi sobie zdjęcia, trzymając w ręku książkę szowinisty Dmytra Doncowa, który miał wielki wpływ na powstanie ideologii banderyzmu. Czołowy oligarcha ukraiński Ihor Kołomojski, posiadający także obywatelstwo izraelskie, znany jest z finansowania paramilitarnych organizacji o ideologii neonazistowskiej, szczególnie oddziałów „Azow" i „Aidar".

W ukraińskiej elicie rządzącej obecnie w Kijowie znajduje się wiele osób pochodzenia żydowskiego. W poważnych źródłach wylicza się, poza samym prezydentem Zełenskim, Witalija Kliczkę (mera Kijowa), Ołeksija Reznikowa (ministra obrony i wicepremiera w latach 2021–2023), Andrija Jermaka (byłego szefa Biura Prezydenta w latach 2020–2025), Irynę Mudrą (byłą wicedyrektor Biura Prezydenta). Do grupy tej zaliczyć też trzeba Timura Mindycza – szarą eminencję w obozie Zełenskiego, legitymującego się także obywatelstwem izraelskim. Prawdopodobnie żydowskie korzenie ma również była premier Julia Tymoszenko, ale pytana o to przez dziennikarzy sprawę bagatelizuje i nie chce na ten temat się wypowiadać, co jest traktowane jako pośrednie potwierdzenie. W tym kontekście często pojawia się także Kyryło Budanow (szef Biura Prezydenta Ukrainy po Jermaku), ale jest to plotka wynikająca z jego ustawicznie deklarowanego filosemityzmu, którego wyrazem są trzymana w gabinecie menora i wielokrotny udział w obchodzeniu Chanuki. Rzeczywiście, liczba znaczących politycznie osób mających żydowskie korzenie jest w tej elicie znaczna, a wiele z nich stało się bohaterami głośnych afer korupcyjnych, jak Jermak, biorący łapówki nawet za zorganizowanie spotkania z Zełenskim, Mindycz – ten od „złotego sedesu", który Narodowe Biuro Antykorupcyjne Ukrainy znalazło w jego domu, obok szafy banknotów popakowanych w torby foliowe. Mudra stała się bohaterką afery korupcyjnej kilka dni przed napisaniem przeze mnie tego tekstu i została odwołana przez Zełenskiego. W opublikowanych stenogramach jej podsłuchanych rozmów znajdujemy słowa o tym, że z uzyskanych w wyniku korupcji pieniędzy działkę dostawał także prezydent. Dodajmy jeszcze, że władze ukraińskie mają bardzo dobre relacje z miejscowymi rabinami, co z racji pochodzenia wielu osób jest dość oczywiste. Ale to nie tłumaczy tolerowania i popierania symboliki neonazistowskiej. Przeciwnie, czyni ten fakt jeszcze bardziej zastanawiającym.

Wytłumaczenie jednak jest – tyle że dość skomplikowane. Znaleźć możemy je w książce francuskiego badacza, także o żydowskich korzeniach, Emmanuela Todda „Klęska Zachodu" (wydanie polskie 2025). Mamy tutaj mapę Ukrainy z podziałem na obwody i z wyliczeniem, ilu z każdego z tych obwodów pochodzi znaczących polityków i oligarchów. Z zestawienia wynikają ciekawe obserwacje: z południowej rosyjskojęzycznej części kraju (zwanej przez Rosjan Noworosją) nie pochodzi praktycznie nikt i ta część państwa nie ma żadnego wpływu na politykę Kijowa. Praktycznie cała ukraińska elita obecnie rządząca pochodzi z części środkowej, czyli – dla uproszczenia – z Kijowa i okolic. Większość najbogatszych i najbardziej wpływowych oligarchów (często o żydowskich korzeniach, na czele z Kołomojskim) pochodzi z rosyjskojęzycznej Ukrainy Wschodniej (Donbas i Charkowszczyzna). Z dawnej Galicji Wschodniej (Lwów i okolice) nie rekrutuje się praktycznie nikt spośród członków obecnej elity politycznej i biznesowej.

Jak ten układ zinterpretować? Otóż, wykorzystując zamieszanie po upadku ZSRS, dotąd peryferyjna elita kijowska, znajdująca się u kresów imperium (stąd nazwa kraju: U-kraina, u krańca, u kresów) poczuła swoją szansę. Trwale oddzielając się od Rosji i budując suwerenne państwo, uzyskała dziejową szansę sprawowania władzy nie w samorządach na kresach imperium, ale w prawdziwym państwie. Elita ta często w ogóle nie znała ukraińskiego, posługując się na co dzień rosyjskim (np. sam Zełenski) lub tzw. surżykiem, czyli mieszanką ukraińskiego i rosyjskiego, z którego zrozumieniem mają kłopoty tak Ukraińcy z części zachodniej, jak Rosjanie. Ta kresowa elita, pośród której było wielu Żydów dotąd lojalnych wobec internacjonalistycznego i wrogiego nacjonalizmom imperium, postanowiła stanąć na czele suwerennego państwa i dokonać procesu sztucznej „budowy narodu" (ang. nation-building). Pomysł suwerenistyczny finansowo poparli oligarchowie, bojący się zwierzchności Putina, gdyż już ujrzeli rozgonienie nieposłusznych oligarchów w Rosji. Putin był dla nich politycznym antychrystem, gdyż kojarzył się z porządkiem i końcem bezkarnego rozkradania ukraińskiej gospodarki. Dlatego oligarchowie, także ci żydowskiego pochodzenia, zaczęli finansować polityków z Kijowa, a także paramilitarne grupy o charakterze banderowskim i nazistowskim, które za Ukrainę były gotowe oddać życie.

Największą słabością planu była polityczna bierność Ukraińców, silnie związanych z kulturą rosyjską i pozbawionych własnej tradycji państwowej i politycznej. Jak przekonać bierną politycznie rosyjskopodobną grupę etniczną, że nie są Rosjanami i powinni kształtować swoją tożsamość w opozycji do „świętej Rusi"? Problemem był brak idei uzasadniającej suwerenność Ukrainy, idei nośnej społecznie, aby w razie konieczności dotychczasowi Rusini byli gotowi bić się zbrojnie o własne państwo jako Ukraińcy. I tutaj z odsieczą przyszli neobanderowcy ze Lwowa i okolic, gdyż oni taką ideologię posiadali. Mieli historię, symbole, tradycję i całe uzasadnienie dla ukraińskiego separatyzmu. Oczywiście wiele ich idei budziło śmiech, gdy nauczali, że Ukraińcy są najstarszym narodem świata, mieli wynaleźć koło, a Adam i Ewa mówili po ukraińsku. Ale mit polityczny wcale nie

eprasa.pl 488600ea51



Prezydent Wołodymyr Zełenski oraz rabini podczas uroczystości zapalania świec pierwszego dnia święta Chanuka, Kijów, 25 grudnia 2024 r. FOT. UKRAINE PRESIDENCY/ZUMA PRESS/FORUM

musi być racjonalny. Ma docierać do serc i uwodzić masy.

W ten oto sposób powstała dziwaczna konstrukcja: bezideowa ekipa polityczna z Kijowa (z licznymi osobami pochodzenia żydowskiego) zaczerpnęła od zachodniej części kraju szowinistyczną ideologię banderyzmu, a całą operację wsparli oligarchowie z rosyjskojęzycznej Ukrainy Wschodniej, bojący się ukrócenia neofeudalnych stosunków przez Putina. Oczywiście banderyzm ten został starannie oczyszczony z wątków antysemickich, nadano mu kierunek antyrosyjski. W ramach ocieplania wizerunku przedstawiciele Azowa w grudniu 2022 r. odbyli oficjalną wizytę w Izraelu, aby nauczać, że ich antysemityzm to „rosyjska propaganda". Kierunek antypolski jest trzymany pod pierzyną, aby eksplodować nienawiścią od czasu do czasu, gdy polscy politycy wspomną coś o Wołyniu lub nie chcą oddać darmo polskiej broni.

Z PERSPEKTYWY TEL AWIWU

Pomimo znaczących wpływów polityków i biznesmenów żydowskiego pochodzenia Ukraina nie cieszy się sympatią w Izraelu. Pamiętać trzeba, że przez 4 tys. lat pojęcie „żyd" kojarzono z religią (dlatego piszę małą literą). Żydzi w znaczeniu narodu to produkt nowy, stworzony ex nihilo przez syjonistów, a jego siłą nośną są pamięć o Holokauście i wyostrzona czujność na rzeczywisty i urojony antysemityzm. Gdy zatem Ukraina oblepiona jest emblematami banderowskimi i jako żywo przypominającymi grupy rekonstrukcyjne Wehrmachtu, Tel Awiw nie może milczeć. Ambasada izraelska w Kijowie pisała protesty i mocne oświadczenia w tej sprawie. MSZ Izraela wielokrotnie zabierał głos, podobnie jak Yad Vashem. W odwecie szef tego ostatniego znalazł się nawet na prestiżowej liście wrogów Ukrainy – Myrotworec.

Co więcej, Beniamin Netanjahu odmówił sprzedaży do Kijowa izraelskiego systemu przeciwlotniczego i antyrakietowanego zwanego popularnie Żelazną Kopułą. Wynikało to nie tyle z niechęci do ukraińskiego banderyzmu, gdyż Izrael kieruje się racją stanu i mentalnością ekonomicznego zysku, ile z tradycyjnych dobrych relacji na linii Tel Awiw – Moskwa. Obydwa państwa łączy kult bohaterów walczących z III Rzeszą – gdy dla jednych była to wojna z autorami Holokaustu, a dla drugich Wielka Wojna Ojczyźniana. W dodatku 12,6 proc. obywateli Izraela przyjechało z Rosji lub jest ich potomkami i deklaruje rosyjski jako język „ojczysty" (trzeci język ojczysty w tym państwie, po hebrajskim i arabskim). Żaden polityk nie może narazić się na konflikt z jedną ósmą elektoratu z powodu jakiejś geograficznie odległej Ukrainy, pełnej przerażającej nazistowskiej symboliki. W dodatku Tel Awiw i Waszyngton nie mają wpływu na politykę wielu państw muzułmańskich, gdy wpływy te posiada Moskwa, często będąc jedynym pośrednikiem dyplomatycznym. W tej sytuacji wsparcie dla Kijowa byłoby w przypadku „Bibiego" błędem w polityce wewnętrznej i zagranicznej, mimo że obiektywnie Izrael politycznie znajduje się w obozie proukraińskim, na którego czele przez kilka lat stali Amerykanie, aż do dojścia do władzy Trumpa. Prawdę mówiąc, przypuszczam, że ze względu na układ sojuszy międzynarodowych elity izraelskie kibicują prywatnie Ukrainie, ale z powodu racji stanu nie mają zamiaru kiwnąć dla niej palcem.

Ze względu na układ sojuszy międzynarodowych elity izraelskie kibicują prywatnie Ukrainie, ale z powodu racji stanu nie mają zamiaru kiwnąć dla niej palcem

Inaczej wygląda sytuacja w przypadku żydowskiego lobby na świecie. W Internecie można znaleźć Zełenskiego ściskającego się z zapowiadającym konwersję na judaizm argentyńskim filosemitą Javierem Mileiem. Obydwaj politycy dawali sobie prezenty w postaci chanukii i menory w czasie wizyty ukraińskiego przywódcy w Buenos Aires w grudniu 2023 r. To nie przypadek. Ukrainę popierają najbardziej wpływowe organizacje żydowskie w USA. Można tutaj wymienić American Jewish Committee (AJC), Jewish Federations of North America (JFNA) i bardzo znaną na świecie Anti-Defamation League (ADL), latami walczącą z „rosyjską dezinformacją" w postaci zarzucania Ukrainie tolerowania ideologii nazistowskiej (co dziś brzmi już dość komicznie).

Pamiętajmy, że środowiska żydowskie w Stanach Zjednoczonych cechuje głęboka niechęć do Rosji, gdyż ta, jeszcze od czasów carskich, zawsze postrzegana była tutaj jako głęboko antysemicka. Stąd poparcie lobby żydowskiego dla polityki światowej amerykańskich neokonserwatystów, którzy najpierw stanowili pierwszą linię antysowietyzmu, a potem ogłosili Rosję jednym z „państw zbójeckich". Pośród neokonserwatystów żydowskiego pochodzenia wymienić można takie nazwiska jak Irving Kristol, Norman Podhoretz, William Kristol, Paul Wolfowitz, Richard Perle i Robert Kagan (mąż Victorii Nuland, która przygotowała rewolucję na Majdanie).

Z przytoczonych przeze mnie faktów wynika, że stosunki Żydów z rozmaitych środowisk z Ukrainą są bardzo niejednoznaczne i skomplikowane. Nie istnieje jedna zwarta „polityka żydowska" wobec wojny ukraińsko-rosyjskiej. Nie wspominam już o Żydach rosyjskich. Gdy jedni stoją po stronie Ukrainy (Garri Kasparow), inni są na czele propagandowej walki z Ukrainą. Wspomnijmy tutaj znanego i w Polsce Władimira Sołowjowa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 488600ea51

Marzenia o trzeciej partii



Michał Krupa

Jeśli Donald Trump spróbuje oddać republikanów komukolwiek, kogo Tucker Carlson krytykuje, „frakcja z Maine" ruszy do boju. Celem będzie oderwanie tylu rozczarowanych wyborców MAGA, by ukarać ugrupowanie, które ich zdradziło

Tucker Carlson pokładał w drugiej kadencji Donalda Trumpa wielkie nadzieje. To już jednak przeszłość

FOT. CHENEY ORR/REUTERS/FORUM

Przez większość ostatniej dekady Tucker Carlson był jednym z najbardziej znanych politycznych apologetów Donalda Trumpa. Jeszcze w styczniu 2016 r., gdy większość politycznego establishmentu w Waszyngtonie przeżywała szok z powodu widma nominacji Trumpa na republikańskiego kandydata na prezydenta, Carlson zerwał ze swoim dziennikarskim środowiskiem i na portalu Politico opublikował artykuł pod znamiennym tytułem „Donald Trump jest szokujący, wulgarny – i ma rację". Carlson był jednym z niewielu konserwatywnych komentatorów, którzy uważali, że Trump jest w stanie pokonać Hillary Clinton w wyborach prezydenckich, gdyż miał zdolność zbudowania nowej republikańskiej koalicji, podobnej do tych, które dały zwycięstwo Richardowi Nixonowi w 1972 r. i Ronaldowi Reaganowi w 1984 r.

Przeprowadzał z Trumpem wywiady, namawiał go do wyboru J.D. Vance'a na wiceprezydenta w 2024 r., przemawiał na konwencji republikanów i przez lata przekładał instynkty Trumpa na język telewizji, a potem własnego podcastu, który miliony konserwatywnych wyborców traktowały jako wyraz zdrowego rozsądku.

Ta relacja jest dziś kompletnie zerwana. Głośny polityczny rozwód zrodził się z przeświadczenia, które Carlson powtarza niemal w każdym dłuższym wystąpieniu, a mianowicie, że Partia Republikańska pod drugą prezydenturą Trumpa postawiła priorytety Izraela ponad interes narodowy Amerykanów, a sam system dwupartyjny stał się „jednopartyjnym państwem udającym demokrację".

Ta diagnoza wywołała najpoważniejszą od czasów Partii Reform Rossa Perota debatę o trzeciej sile po prawej stronie amerykańskiej polityki. Wywołała też mniejsze, bardziej palące pytanie, na które sam Carlson wciąż odpowiada przecząco: Czy wystartuje na prezydenta w 2028 r.? Jego najbliżsi polityczni sojusznicy mówią, że nie ma zamiaru startować. Spekulacje jednak nie ustaną, bo postać, która zogniskowała wokół siebie spory segment elektoratu, który postawił na Donalda Trumpa w 2024 r. jako kandydata pokoju i wewnętrznej odnowy, coraz głośniej daje wyraz temu niezadowoleniu.

ZŁAMANIE OBIETNICY WYBORCZEJ

Wszystko zaczęło się od polityki zagranicznej. Carlson poparł Trumpa w 2024 r. przy wyraźnej obietnicy, że druga kadencja będzie oznaczała brak nowych wojen, a już na pewno na Bliskim Wschodzie. Trump w swoim drugim przemówieniu inauguracyjnym dał temu wyraz, gdy stwierdził: „Sukces będziemy mierzyć nie tylko bitwami, które wygramy, lecz także wojnami, które zakończymy – a być może przede wszystkim tymi, w które nigdy nie damy się wciągnąć. Nasza potęga położy kres wszystkim wojnom i wniesie nowego ducha jedności do świata pełnego gniewu, przemocy i całkowitej nieprzewidywalności".

Gdy pod koniec lutego br. Stany Zjednoczone dołączyły do izraelskiej kampanii przeciw Iranowi, Carlson uznał tę decyzję za bezczelne złamanie kluczowej obietnicy wyborczej. Mówił, że osobiście ostrzegał Trumpa w Białym Domu przed atakami, że powiedział mu, iż skutkiem będzie „ropiejąca rana", że Irańczycy zamkną cieśninę Ormuz. W kwietniu mówił już swoim gościom, że czuje się „zdradzony" i „dręczony" własnym wcześniejszym poparciem dla prezydenta. W czerwcu skończył z samą Partią Republikańską. „Jak ja albo jakikolwiek amerykański wyborca moglibyśmy popierać partię, która nie jest lojalna wobec Stanów Zjednoczonych, która stawia interesy obcego kraju ponad interesy własnych obywateli?" – pytał w podcaście „Can't Be Censored". „Nie da się głosować na takich ludzi i ja nie zamierzam tego robić".

W innym wywiadzie z „Columbia Journalism Review" wyznał, że nie rozmawia z Trumpem od wybuchu wojny i „nie jest zainteresowany rozmową z nim". Opisał prezydenta jako człowieka, który „nie kieruje już własnym życiem", jako

eprasa.pl 488600ea51

postać „wyjątkowo słabą" i „bardziej zakładnika obcych interesów". W innych wywiadach był jeszcze dosadniejszy. Trump – mówił – stał się „niewolnikiem" Beniamina Netanjahu. To nie są zwykłe pretensje rozczarowanego konserwatywnego komentatora. To repertuar człowieka, który próbuje na nowo zdefiniować MAGA jako ruch, który został de facto porzucony przez Trumpa.

Na początku lipca Carlson oświadczył w „CJR", że zamierza „pomóc zbudować trzecią partię". Przedstawił ten projekt jako odpowiedź na system, który nie daje już prawdziwego wyboru w sprawach „wojny i finansów". Jednocześnie zaprzeczał jakiemukolwiek zainteresowaniu ubieganiem się o Biały Dom. „Oczywiście nie planuję startować na prezydenta" – powiedział Alexowi Jonesowi pod koniec czerwca. „Nigdy nie powiedziałem ani nie zrobiłem niczego, co sugerowałoby, że interesuje mnie urząd polityczny, bo mnie nie interesuje". To zaprzeczenie pozostaje jego oficjalną linią.

Jednak pewna fotografia, opublikowana 1 sierpnia br. przez byłą kongresmenkę Marjorie Taylor Greene, na nowo wzbudziła spekulacje co do planów Carlsona. Pokazywała Greene, Carlsona, kongresmena Thomasa Massiego z Kentucky i Joe Kenta, byłego dyrektora Narodowego Centrum do spraw Zwalczania Terroryzmu, zebranych przy drewnianym stole w posiadłości Carlsona w Maine, z małżonkami i ze współpracownikami w kadrze. Podpis Greene brzmiał: „Mówiliśmy: dość wojen zagranicznych, i poważnie to traktowaliśmy, i poparliśmy Donalda Trumpa, bo złożył tę obietnicę. Ale zdradził nas wszystkich. Naszym zobowiązaniem jest America First dla wszystkich Amerykanów – z prawej, z lewej i ze środka. Ruch się zaczął". Carlson podbił wpis dwa dni później: „MAGA została zdradzona. Wszyscy zostaliśmy. Czas na nową drogę".

Lista gości nie była przypadkowa. Greene zdążyła już odejść z Kongresu po brutalnym rozstaniu z Trumpem spowodowanym aferą z „teczkami Epsteina" i wojną z Iranem; Trump zaczął nazywać ją „Marjorie Traitor (Zdrajczyni) Greene". Massie, republikanin o libertariańskich inklinacjach, który nigdy nie wpasował się w kult osobowości Trumpa, przegrał prawybory w Kentucky po publicznej wojnie na słowa z prezydentem oraz dosłownym tsunami finansowym ze strony lobby izraelskiego na rzecz jego kontrkandydata w wyścigu. Kent w marcu zrezygnował ze stanowiska przy biurze dyrektora wywiadu narodowego na znak protestu przeciw wojnie irańskiej. Każdy z nich został wypchnięty przez Trumpa poza oficjalne ramy obozu MAGA, które prezydent obecnie definiuje dosłownie jako ruch wykonujący jego rozkazy. Jak oświadczył pompatycznie w wywiadzie ze stycznia: „MAGA to ja. MAGA kocha wszystko, co robię".

Wkrótce po spotkaniu w Maine Joe Kent uczynił prezydencki podtekst jawnym. W programie „The Young Turks" powiedział, że grupa spędziła weekend na burzy mózgów dotyczącej tego, jak budować koalicje wyborcze, oraz że „wszyscy w pewnym momencie powiedzieliśmy Tuckerowi, że musi startować". Carlson – dodał Kent – „dość publicznie mówi, że nie zamierza". Jak dodał jednak: „Oby pewnego dnia się obudził i powiedział, że startuje. W pełni bym to poparł".

ODPOWIEDŹ NA DYSYDENCKIE RUCHY

Greene później próbowała zamknąć drzwi, które przyjaciele Carlsona wciąż uchylają. „Tucker nie startuje na prezydenta" – powiedziała portalowi Politico. „Powiedział to publicznie. Powiedział to prywatnie". Dodała, że jest „w stu procentach, całkowicie i kompletnie obrzydzona obiema partiami". Coraz bardziej mamy więc do czynienia z retoryką ruchu, który wciąż szuka instrumentu przełożenia swojej frustracji na spójny, zdeterminowany podmiot polityczny. Anonimowe źródła bliskie Carlsonowi oferowały bardziej taktyczną wersję tej samej dwuznaczności: nie wystartuje przeciw J.D. Vance'owi, z którym Carlson zna się od lat (jego syn do niedawna był wicerzecznikiem Vance'a), lecz „z dużym prawdopodobieństwem wystartuje, jeśli Trump poprze Rubio". To jeszcze co prawda nie jest plan kampanii prezydenckiej, ale coraz bardziej wygląda na groźbę przebraną za warunek postawiony Trumpowi.

Sam Trump poczekał trzy tygodnie, by dać odpowiedź na dysydenckie ruchy. 21 sierpnia opublikował na Truth Social długi atak, w którym odniósł się do spotkania w Maine. „Tucker Carlson właśnie spotkał się z »byłym« kongresmenem Thomasem



Wpis Tuckera Carlsona na X, repostujący zdjęcie z konta Marjorie Taylor Greene przedstawiające spotkanie „frakcji z Maine"

Massiem i Marjorie »Zdrajczynią« Greene, PRZEGRYWY WSZYSCY!" – napisał. Jego zdaniem „oglądalność" Carlsona „runęła na podłogę". Stał się „całkowicie nieistotny", „osobnikiem o bardzo niskim IQ", który „ledwo skończył college". Jeśli Carlson myśli o prezydenturze, to „powinien być zobowiązany do testu poznawczego". Greene zaś – kontynuował Trump – była „wysoce neurotyczną młodą kobietą", która przeszła „od ultrakonserwatystki do liberalnej »głupczyni«". Massie był „nieudanym politykiem i prawdziwym KRETYNEM". W tym samym jednak wpisie pełnym jadu wobec jego krytyków, niemal wbrew sobie, Trump przyznał, że Carlson „prawdopodobnie mógłby odebrać parę punktów" poparcia kandydatowi republikanów w 2028 r.

Przyznanie, że republikanie mogą odczuć odpływ wyborców na rzecz „frakcji z Maine", zaprząta głowę wielu byłym wyborcom Trumpa, których prezydent już nie jest w stanie kontrolować. Greene odpowiedziała nazajutrz, nazywając Trumpa „koniem trojańskim" i „neokonserwatywną marionetką Izraela… oraz jego drogich przyjaciół z klasy Epsteina". Powiedziała, że żałuje, iż kiedykolwiek go poparła. Carlson – dodała – jest „kochany przez wielu Amerykanów".

Wojna domowa na prawicy stała się faktem. Od czasu odejścia z Fox News w 2023 r. Carlson zbudował niezależną publiczność na tyle dużą, by ustalać ramy sporu w tej części prawicy, która nie ufa już przekazowi Fox News ani aparatowi Partii Republikańskiej. W ostatnich miesiącach ten program stał się wyraźnie bardziej konfrontacyjny wobec lobby izraelskiego w USA.

eprasa.pl 488600ea51

Według Carlsona Izrael wepchnął Stany Zjednoczone w wojnę z Iranem „przekupstwem albo groźbą, albo jednym i drugim". Twierdził, że „syjonistyczne lobby ma w Waszyngtonie większy wpływ niż naród amerykański". Na swoim podcaście gości krytyków lobby, marynarzy, którzy przeżyli izraelski atak na okręt USS „Liberty" w 1967 r., oraz badaczy i komentatorów, którzy nie boją się mówić o mroczniejszych aspektach izraelskich wpływów w historii USA, chociażby w takich tragediach jak zamachy terrorystyczne z 11 września 2001 r. Porażkę Massiego w prawyborach w Kentucky traktował jako dowód, że lobby izraelskie wciąż potrafi karać dysydentów, nawet w czasach, gdy amerykańska opinia publiczna odwraca się stopniowo od bezwarunkowej pomocy dla „jedynej demokracji na Bliskim Wschodzie". Krytycy, w tym Victor Davis Hanson, określili wyłaniającą się „frakcję z Maine" jako „napędzaną antysemickim gniewem". Obrońcy Carlsona jednak nazywają to wielce spóźnioną szczerością w obliczu państwa, którego wpływy w USA zawsze były uważane przez establishment i media głównego nurtu za temat tabu.

6 sierpnia, cztery dni po zamieszczeniu fotografii z Maine, Carlson opublikował 90-minutowy monolog o tym, „jaka Ameryka powinna być". Ameryka – mówił – powinna być sprawiedliwa, suwerenna, produktywna, piękna, zdrowa, uczciwa, optymistyczna, mądra, przyzwoita i zjednoczona. W jego narracji sprawiedliwość oznaczała to samo prawo dla prezydentów, federalnych agentów i „klasy Epsteina". Suwerenność oznaczała wolność od zagranicznych lobby i od wojny z Iranem, którą zrzucił na izraelską presję. Przyzwoitość oznaczała koniec wsparcia dla sojuszników oskarżanych przez niego o zbrodnie, w tym Izraela. Jedność, „może najważniejsza rzecz", zaczynała się od zatrzymania masowej imigracji, legalnej oraz nielegalnej. Wielu interpretowało, nie bez racji, słowa Carlsona jako ramowy program potencjalnego „spoilera" w 2028 r.

Jednak warto zaznaczyć w tym miejscu, że amerykańska polityka jest usiana marzeniami o trzeciej partii. Dwa porównania, które wciąż wracają, to George Wallace w 1968 r. oraz Ross Perot w latach 1992 i 1996. Wallace, były gubernator segregacjonista Alabamy, zrobił to, czego niemal żaden współczesny niezależny kandydat nie potrafi. Startując z ramienia American Independent Party, zdobył 13,5 proc. poparcia i 46 głosów elektorskich, wygrywając w Alabamie, Arkansas, Georgii, Luizjanie i Missisipi. Liczył, że zdoła przenieść wybory do Izby Reprezentantów, i stamtąd miał się targować. Nie udało mu się. Richard Nixon i tak wygrał z wyraźną przewagą w Kolegium Elektorów. Ale Wallace udowodnił, że regionalnie osadzona, kulturowo spójna koalicja potrafi zdobywać całe stany, a nie tylko głosy protestu, jeśli ma przekaz, którego główne partie nie wchłoną, bo nie są wiarygodne. Carlson co prawda nie ma starego Południa Wallace'a, ma jednak ogólnokrajową publiczność medialną i postulaty odnoszące się do rzeczy jak najbardziej namacalnych – wojna, suwerenność, bezkarność elit. A to są sprawy, które nie ograniczają się do jednego regionu kraju. To jednocześnie zaleta i problem dla Carlsona. Łatwiej zbudować koalicję medialną niż machinę partyjną. Łatwiej ją też zniszczyć.

RUCH BARDZIEJ TAKTYCZNY

Historia Perota stanowi jeszcze większe ostrzeżenie. W 1992 r. teksański miliarder zdobył poparcie na poziomie 18,9 proc., najlepszy wynik kandydata spoza dwóch głównych partii od Theodore'a Roosevelta w 1912 r., acz zero głosów elektorskich. Wydał fortunę, zdominował rozmowę o deficycie i handlu – i mimo to nie złamał Kolegium Elektorów. Późniejsze analizy exit poll pokazały, że jego wyborcy dzielili się między Billem Clintonem a George'em H.W. Bushem. W 1996 r., już jako kandydat Partii Reform, Perot spadł do 8,4 proc. poparcia. Wniosek jest brutalny i zdaje się, że wyznacza stały trend: celebrycki outsider na platformie poza duopolem partyjnym potrafi zgromadzić ogromny głos protestu i mimo to stracić każdy stan. Druga kampania jest niemal zawsze słabsza od pierwszej. Dostęp do debat, progi poparcia i psychologiczny ciąg dwupartyjnego wyboru przeważnie „mielą" outsidera w amerykańskim systemie.

Carlson napotkałby wszystkie te przeszkody plus jedną, której Perot nie miał: startowałby przeciwko republikańskiej koalicji, którą sam pomagał budować, w środowisku medialnym, które traktuje go jak heretyka. Trump już zapowiedział atak.

Jaka więc jest naprawdę perspektywa dla Carlsona? Na pewno nie zwycięstwo w wyścigu o Biały Dom. Żaden poważny obserwator nie uważa, że Carlson jako niezależny kandydat zbierze w 2028 r. 270 głosów elektorskich. Perspektywa jest węższa i bardziej destabilizująca. Jeśli nominację republikańską otrzyma Vance, to ten drugi pozostanie poza wyścigiem – tak mówi otoczenie Carlsona. Jeśli jednak Trump spróbuje oddać partię Marcowi Rubio albo jeśli kandydatem zostanie ktokolwiek, kogo Carlson zdoła przedstawić jako kontynuatora destrukcyjnej polityki, której ukoronowaniem obecnie są wojna z wyboru z Iranem oraz uśmiechnięte oblicze Miriam Adelson, to „frakcja z Maine" ruszy do boju. Celem będzie oderwanie akurat tylu rozczarowanych wyborców MAGA, by ukarać partię, która ich zdradziła. Trump już powiedział, że te „parę punktów" jest możliwe. W wyrównanych wyborach parę punktów to całe wybory.

Dlatego zaprzeczenia Carlsona w tym momencie wyglądają na ruch bardziej taktyczny. Carlson może dalej mówić, że nie myśli o urzędzie prezydenta. Greene może dalej zapewniać, że on nie startuje. Kent może dalej żywić nadzieję, że Carlson się obudzi. Jednak ustalenia z Maine nie wymagają, by Carlson jutro złożył papiery kandydackie. Wystarczy, by pozostał najsłynniejszym heroldem autentycznego ruchu „America First", punktującym obie partie za wrogie przejęcie przez obce lobby i podkreślającym, że jest to centralny i niezaprzeczalny fakt amerykańskiego systemu władzy Anno Domini 2026.

Tak więc Tucker Carlson nie jest kandydatem na 2028 r. Jest kandydatem utajonym: człowiekiem z manifestem, frakcją i ogromną publicznością. Amerykańska historia podpowiada, że to jeszcze za mało, by ktoś został prezydentem. „Frakcja z Maine" wie o tym doskonale. Mimo to patrzy do przodu, ku 2028 r., wychodząc z założenia, że system albo zrobi miejsce dla nich i ich słusznych aspiracji, albo będzie musiał zapłacić w jedynej walucie, którą polityka prezydencka ostatecznie uznaje: w głosach zabranych komuś innemu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 488600ea51

Sojusz „tronu i ołtarza”



FOT. ADOBE STOCK, ZDJĘCIE WYGENEROWANE ZA POMOCĄ SZTUCZNEJ INTELIGENCJI



Paweł Chmielewski

Państwo polskie powinno nawiązać strategiczny sojusz z Kościołem celem poprawy polskiej demografii. Kościół ma wszelkie środki, by współkształtować nową mentalność, ale ktoś musi go do tego popchnąć

Kiedy mówimy o katastrofie demograficznej, zwykle skupiamy się na Polsce. Słusznie, w końcu to nasz kraj, a poza tym jest w czołówce niechlubnego peletonu wymierania. Trzeba jednak pamiętać, że wymierają nie tylko Polacy. Mówiąc szczerze, wymiera cały świat. Na przykład Niemcy. W najludniejszym kraju Europy urodziło się w 2025 r. 654 tys. dzieci, czyli o ponad 20 tys. mniej niż rok wcześniej. Spadł też wskaźnik dzietności – i to czwarty rok z rzędu. Obecnie wynosi 1,32 (w Polsce niespełna 1,1; dla zastępowalności pokoleń potrzeba ponad 2). Co ważne, imigranci pomagają tylko w ograniczonym zakresie. Podczas gdy u obywatelek RFN wskaźnik wynosi 1,2, to u imigrantek 1,78. Znacznie lepiej, ale według statystyk także wśród nich dzietność spada, a poza tym już nie pozwala na rozwój – to tylko powolniejsze wymieranie. Za pozytywny przykład relatywnie wysokiej dzietności długo uchodziła Francja. Jednak obecnie wskaźnik dzietności wynosi w tym kraju tylko 1,56 – pomimo tak dużego nasycenia imigrantami. To najniższy wynik od 1918 r.!

Wyjdźmy jednak z Europy. Chiny? Wskaźnik na poziomie 1; Tajlandia – 1,2. Na granicy zastępowalności pokoleń jest Indonezja (2,1), poniżej Wietnam i Indie (1,9). Ameryka Południowa zwija się niemal w całości, podobnie jak Ameryka Północna. W krajach islamskich na Bliskim Wschodzie i w Afryce Północnej dzietność bywa jeszcze powyżej progu zastępowalności pokoleń, ale systematycznie spada. Trzyma się tylko Afryka, ale i to jest kwestią czasu. Nigeria tradycyjnie miała wskaźnik dzietności powyżej 6, dziś to poniżej 5; podobny wzorzec widać w innych państwach.

CO TAKIEGO SIĘ DZIEJE?

Dlaczego wyludniają się zarówno kraje bogate, jak i biedne, wysoko i nisko rozwinięte? Kilka tygodni temu odbyła się w Warszawie konferencja „Poland Future Summit” poświęcona demografii i gospodarce, pod patronatem prezydenta Karola Nawrockiego. Jeden z zaproszonych ekspertów z USA, Nicholas Eberstadt, mówił jasno: spadek dzietności jest ściśle związany z szeroką dostępnością skutecznej antykoncepcji.

Przykład: biedna i fatalnie rozwinięta Birma odnotowała spadek wskaźnika dzietności z 6 do 2. Jak to możliwe, skoro wiążemy zawsze dzieci z biedą? To proste: ponad 50 proc. kobiet używa tam antykoncepcji. Nepal – to samo, spadek z 6 do poniżej 2. Stosowanie antykoncepcji – powszechne. Widać to też w Afryce: w krajach, w których antykoncepcja jest upowszechniona, dzietność jest niższa. Bieda czy bogactwo nie mają tu znaczenia. Albo mają, ale przewrotne: w krajach bogatszych zwykle po prostu łatwiej o antykoncepcję. To jednak nie pieniądze warunkują niską dzietność; to dostępność antykoncepcji. Lukę finansową da się „przeskoczyć” przy odpowiedniej „pomocy z zewnątrz”, jak w Birmie albo Nepalu.

Czy to oznacza, że świat jest skazany na depopulację? Wszystko wskazuje na to, że tak. Jest jednak pewien wyjątek. To… Izrael. Państwo żydowskie jest jedynym krajem członkowskim OECD, czyli organizacji skupiającej wysoko rozwinięte pań-

eprasa.pl 488600ea51

stwa demokratyczne, które ma dzietność na relatywnie wysokim poziomie – niemal 3. W dodatku ten stan rzeczy utrzymuje się od lat! W roku 1986 wskaźnik dzietności wynosił w Izraelu 3,10, a obecnie to 2,89. Co więcej, po drodze okresy lekkich spadków przeplatały się z okresami wzrostu. Dlaczego? Nicholas Eberstadt stwierdził, że chodzi o… motywację. Żydzi po prostu bardzo chcą, żeby ich państwo trwało dalej. Religijni Izraelczycy uważają, że wysoka dzietność jest ich religijnym obowiązkiem. Niereligijni – że jest ich obowiązkiem patriotycznym. Tak czy inaczej, wszyscy rozumieją, że jeżeli Izrael ma przetrwać, to musi cały czas się rozwijać – również populacyjnie.

CHODZI O MOTYWACJĘ

Co z Polską? Czy da się w jakiś sposób poprawić naszą dzietność? W świetle światowego trendu jest oczywiste: zasiłki, przedszkola, tanie mieszkania – to nic nie da. Państwa, które opływają w bogactwo, są bezdzietne. Państwa biedne – też. Ludzie po prostu mogą nie mieć dzieci (antykoncepcja) – i wolą ich nie mieć, bo tak jest im wygodniej! Dlatego musimy postawić na coś innego – na to, co mają Żydzi. Chodzi o motywację.

Skąd ją wziąć? Teoretycznie moglibyśmy spróbować sięgnąć po motywację patriotyczną. Przecież kiedy wszyscy słabną, to ci, którzy w punkcie wyjścia mieli większą siłę, zaczynają być relatywnie mocniejsi. Dlatego dwukrotnie od nas ludniejsze Niemcy będą stawać się stosunkowo potężniejsze od Polski, a to oznacza, że wzrośnie ich możliwość politycznego i gospodarczego oddziaływania na nasz kraj. Tak samo z Federacją Rosyjską. Niezależnie od tego, co sądzimy o militarnych możliwościach Rosji, to wielkie państwo, które w miarę przestrzeni dąży do dominacji nad sąsiadami. Jeżeli będziemy słabnąć – to staniemy się łatwiejszym łupem dla Berlina i Moskwy, choćby w sferze wpływów. To oznacza, że zwiększenie liczby ludności leży w rzeczywistym polskim interesie narodowym – może nawet bardziej niż w przypadku takich krajów jak Hiszpania, Włochy czy choćby Anglia, które nie są tak samo zagrożone przez potężnych sąsiadów.

Motywacja patriotyczna jednak nie zadziała. Zagrożenie dominacji niemieckiej czy rosyjskiej jest zbyt odległe. Co kluczowe, Polska jest też strukturalnie przeżarta przez demokrację liberalną i ani elity, ani społeczeństwo nie myślą już w kategoriach suwerenistycznych. Żydzi działają zupełnie inaczej, dla nich naród naprawdę ma znaczenie. Polacy mogą deklarować przywiązanie do historii, tradycji i flagi, ale prawda jest przecież prosta: weszliśmy do Unii Europejskiej, a to oznacza stopniową anihilację tożsamości narodowej. Większość popiera bytność w UE. Nie, tu motywacji nie będzie.

PROMOWANIE WIELODZIETNOŚCI

Jest jeszcze jeden czynnik, którego większość narodów zachodnich już nie ma. To relatywnie wysoki poziom religijności. Tak, Polska szybko się laicyzuje, a postawa praktycznego ateizmu staje się dziś klasycznym wyborem życiowym naszych rodaków. Niemniej jednak Kościół katolicki wciąż dysponuje z niczym nieporównywalną możliwością docierania do umysłów i sumień milionów Polaków – w tym młodych Polaków. Innymi słowy, Kościół ma możliwość kreowania motywacji, której Polska tak bardzo potrzebuje. Tymczasem zgodnie z własnym nauczaniem Kościoła dzietność rodzin – jak u Żydów – jest obowiązkiem religijnym! Narzekamy często, że brakuje nam mediów, filmów, seriali… To prawda, ale mamy Kościół.

Problem tylko w tym, że Kościół w ogóle – podkreślam: w ogóle – nie korzysta ze swojego potencjału. Kwestia dzietności została w praktyce sprowadzona do ars vitae, w której może królować różnorodność wyboru. Ktoś ma jedno dziecko, a ktoś dziesięcioro – co za różnica! Kościół nie mówi o wielodzietności na naukach przedmałżeńskich; nie mówi w katechezie dla dorosłych; nie mówi w homiliach. Nie mówi w sumie wcale, bo duchowieństwo jest zainfekowane dokładnie tym samym myśleniem, co lwia część świeckich (wierzący i niewierzący): przekonaniem, że wysoka dzietność jest niewygodna i przestarzała.

To trzeba zmienić, ale nie można czekać na inicjatywę kościelnej hierarchii. Hierarchia jest zbyt inercyjna. Do gry musi wejść polityka. Proszę się nie gorszyć: to w pełni zgodne z pryncypiami katolicyzmu. Świeccy poprzez narzędzia polityczne mają prawo wpływać na działania hierarchii kościelnej, które służą dobru wspólnemu. Dlatego trzeba skutecznie zachęcić Kościół do tego, by stał się najważniejszym partnerem państwa w obszarze promowania wielodzietności.

Użyję nieco kontrowersyjnego przykładu. W czasie nieszczęsnego sanitaryzmu COVID-19 odbyła się w Watykanie konferencja dotycząca współpracy sektora rządowego z Kościołem. Pan Anthony Fauci, wówczas główny doradca prezydenta USA do spraw medycznych, apelował do księży, by włączyli się aktywnie w propagandę szczepionkową. Jak mówił Fauci, duchowni mają przecież szczególny autorytet, niedostępny ekspertom medycznym. Sanitaryści doskonale rozumieli potencjał, który jest w Kościele. Wtedy się udało. Wielu biskupów i księży włączyło się w pandemiczną akcję, promując nawet najdziksze „środki bezpieczeństwa”…

Analogicznie trzeba postąpić w przypadku dzietności. Należy zawiązać ścisłą współpracę państwa i Kościoła o jasno określonym celu – tym razem bardzo szlachetnym. Biskupi i księża nie mają przecież wzywać do zakładania masek, ale do zakładania rodzin; nie do przyjmowania szczepionek, ale do przyjmowania dzieci. Reprezentanci kościelnej hierarchii muszą być obecni na każdej konferencji poświęconej demografii; trzeba stworzyć też odpowiednie komisje albo rady złożone z polityków i duchownych. Kościół katolicki w Polsce jest w pełni władny, by stworzyć rozpisany na lata program, który zakładałby specjalne katechezy oraz nabożeństwa, modlitwy, posty i pokutę w tej intencji. Potrzebuje tylko odpowiedniej zachęty ze strony świeckich – ze strony polityków; zwłaszcza takich, jak prezydent Karol Nawrocki.

Wykorzystajmy ten wyjątkowy potencjał. Silne zaangażowanie Kościoła nie spowoduje oczywiście, że Polska stanie się nagle globalnym liderem dzietności. Może jednak doprowadzić do statystycznie uchwytnej zmiany. Wzmocnienia demograficznego potrzebuje nie tylko państwo. Kościelna hierarchia też na tym skorzysta: bez dzieci nie ma przecież powołań – ani kapłańskich, ani zakonnych…

Sojusz „tronu i ołtarza” byłby w tej kwestii dobry dla każdej ze stron, a co najważniejsze – miałby szansę spodobać się Bogu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 488600ea51



Filip Memches

Myśl polityczna przywódcy Narodowej Demokracji pozostaje w XXI w. aktualna. Ale pod warunkiem, że będzie oczyszczona z mitów – zarówno prawicowych, jak i lewicowych – które ją fałszują



Protest podczas uroczystości nadania Dworcowi Warszawa Wschodnia imienia Romana Dmowskiego, 10 listopada 2020 r. FOT. MATEUSZ MAREK/PAP

Wygrać nowoczesność

W dziejach Polski nie brak postaci mocno zmitologizowanych. Z pewnością w tym gronie jest Roman Dmowski. W III Rzeczypospolitej dorobek jednego z ojców polskiej niepodległości stanowi przedmiot gorących sporów. Tyle że więcej one mówią o ich uczestnikach niż o samym Dmowskim. A to dlatego, że na spory te nakładają się również konflikty dotyczące bieżącej polskiej polityki, które nabierają cech wręcz rytualnych.

I tak prawicowi apologeci dziedzictwa Dmowskiego próbują wprząc jego nacjonalizm w swoje argumenty za odrzuceniem modelu państwa wielokulturowego, czyli – w obecnych warunkach – przeciwko masowej imigracji z Ukrainy i krajów muzułmańskich. Z kolei lewicowi antagoniści tego, co zostawił po sobie współzałożyciel i lider Narodowej Demokracji, portretują go jako głównego teoretyka ksenofobicznych ciągot do prawicowego ujednolicania społeczeństwa polskiego kosztem praw mniejszości etnicznych, religijnych, seksualnych (przywołują, niczym zaklęcie, późnoendecką koncepcję „katolickiego państwa narodu polskiego").

PRZECIW POLSKIEMU „FASZYZMOWI"

Odpryskiem tych bojów o bądź co bądź zasłużonego męża stanu i myśliciela politycznego są losy książki prof. Krzysztofa Kosińskiego, historyka z Polskiej Akademii Nauk, zatytułowanej „Bunt duszy polskiej. O twórczości politycznej i literackiej Romana Dmowskiego (z lat 1893–1934)". Po raz pierwszy ukazała się ona w 2023 r. Wydał ją państwowy Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego J. Paderewskiego. Tyle że działo się to w określonych okolicznościach politycznych: po wyborach parlamentarnych został utworzony rząd „demokracji walczącej", który dokonał zwrotu w polityce historycznej. W rezultacie w 2024 r. IDMN przekształcono w Instytut Myśli Politycznej im. Gabriela Narutowicza. Kierowanie placówką powierzono lewicowym aktywistom – ludziom wychowanym przez „Gazetę Wyborczą" i sprawdzonym w bojach z polskim prawicowym „faszyzmem", w tym z dziedzictwem Dmowskiego. Natomiast wymowne jest to, że na patrona instytucji wybrano pierwszego prezydenta Polski, tyle że zarazem człowieka, który żadną myślą polityczną się nie skalał. Wystarczyło jednak, że w 1922 r. został zamordowany z rąk zwolennika endecji, Eligiusza Niewiadomskiego (była to indywidualna inicjatywa politycznego outsidera), co sprawiło, że już w okresie międzywojennym wokół Narutowicza narosła aura ofiary prawicowej przemocy.

W wyniku instytucjonalnej zmiany przeprowadzonej przez rząd „demokracji walczącej" w IDMN dystrybucja książki prof. Kosińskiego czy jej dodruk stały się niemożliwe. Niemniej dzieło zostało docenione. W 2024 r. jury Konkursu Literackiego im. Józefa Mackiewicza uhonorowało je nagrodą główną. Natomiast niedawno, nakładem Wydawnictwa Dębogóra, ukazało się wydanie drugie tej pozycji (lekko poprawione i uzupełnione). Można powiedzieć, że w ten sposób owoce tytanicznego trudu prof. Kosińskiego – opasły, ok. 750-stronicowy tom – nie przepadły. I świetnie.

„Bunt duszy polskiej" to bardzo ważna książka. Stanowi ona coś w rodzaju przewodnika po pismach Dmowskiego (w tym po jego utworach literackich, bo i takie pisał). Z pewnością zaś demitologizuje tego polityka. W tym sensie jest ona wyzwaniem dla obu stron obecnych sporów o przywódcy endecji.

RUSOFIL I ANTYSEMITA?

Dziś lewica – ale też znajdujący z nią wspólną płaszczyznę światopoglądową

eprasa.pl 488600ea51



KRZYSZTOF KOSIŃSKI „BUNT DUSZY POLSKIEJ. O TWÓRCZOŚCI POLITYCZNEJ I LITERACKIEJ ROMANA DMOWSKIEGO (Z LAT 1893–1934)" WYDAWNICTWO DĘBOGÓRA 2026

liberałowie – zarzuca Dmowskiemu rusofilię, bo próbował dla Polaków coś ugrać z Rosją (m.in. będąc u zmierzchu zaborów deputowanym II i III Dumy Państwowej), oraz antysemityzm, bo wskazywał kolizję interesów polskich i żydowskich, a Żydzi stanowili na ziemiach polskich prężną – a bywało, że też przebiegle agresywną – grupę etniczną. Zarzuty te są dyktowane prezentyzmem i ahistoryzmem, czyli kompletnym ignorowaniem faktu, że bohater „Buntu duszy polskiej" funkcjonował w zupełnie innej rzeczywistości politycznej niż ta, z którą mamy do czynienia teraz.

Według prof. Kosińskiego Dmowski nie żywił żadnych złudzeń wobec Rosji (czego nie można powiedzieć o części osób, które się dziś na jego myśl powołują), za błędne uznawał traktowanie jej jako bastionu konserwatyzmu. Postrzegał ją jako barbarzyński kraj z antyspołecznym systemem rządów – pod względem standardów cywilizacyjnych obcy związanym z Zachodem Polakom. Imperium Romanowów było w jego oczach państwem targanym wewnętrznymi sprzecznościami i chyłącym się ku upadkowi (poniekąd przewidywał, że dojdzie do przewrotu, którym się okazał bolszewicki zamach stanu). Co znamienne, ze zrozumieniem – choć bez entuzjazmu – odnosił się do narodowych aspiracji Ukraińców. Natomiast optował za realistycznym podejściem do państwa rosyjskiego – zarówno bez „moskalofilii", jak i bez „moskalofobii". Próbował się taktycznie układać z caratem, bo za większe zagrożenie dla Polaków niż słabnąca Rosja uważał rosnące w siłę Prusy.

Jeśli zaś chodzi o stosunek Dmowskiego do Żydów – zdaniem prof. Kosińskiego – to do pewnego stopnia stanowił on wyraz epoki, w jakiej przyszło żyć politykowi. Problem wyobcowania niezasymilowanej ludności żydowskiej w modernizujących się społeczeństwach europejskich podnosiła nie tylko endecja – robiono to również w środowiskach lewicowych. Z kolei odbierane obecnie jako wyraz pogardy czy wręcz nienawiści słowo „żydostwo", którego używał bohater „Buntu duszy polskiej", nie miało za jego życia wydźwięku pejoratywnego. Jednocześnie prof. Kosiński zwraca uwagę na to, że w pismach Dmowskiego próżno szukać postulatów fizycznej eksterminacji Żydów, o które lider endecji bywa oskarżany. Jeśli zaś opowiadał się on za emigracją z Polski ludności żydowskiej, to dobrowolną – zgodną zresztą z agendą ruchu syjonistycznego, dążącego do budowy państwa żydowskiego w Palestynie – czemu jednak w praktyce miało towarzyszyć wywieranie na tę mniejszość etniczną nacisków ekonomicznych ze strony Polaków. Profesor Kosiński zarazem zauważa, że Dmowski z respektem odnosił się do duchowego i kulturowego wkładu Żydów w historię świata.

Trzeba tu też podkreślić, że relacje polsko-żydowskie z początku XX w. nie znajdują analogii w Polsce XXI stulecia. Mimo masowego napływu imigrantów z Ukrainy i innych krajów III RP pozostaje państwem jednoetnicznym, któremu daleko do napięć społecznych z okresu II Rzeczypospolitej, będących pokłosiem jej wieloetniczności. Tymczasem część dzisiejszej prawicy, biorąc nacjonalizm Dmowskiego na sztandary, zachowuje się tak, jakby tej różnicy nie było. Tu też warto poruszyć sprawę odwoływania się po prawej stronie polskiej debaty publicznej do opinii wygłaszanych przez przywódcę endecji w kontekście obecnych wydarzeń na Bliskim Wschodzie. Można odnieść wrażenie, że nie brak ludzi, którzy krytykując politykę Izraela, inspirują się tym, co Dmowski miał do powiedzenia o Żydach. Tymczasem z perspektywy endeckiej utworzenie tego państwa w jakimś stopniu rozwiązało „kwestię żydowską". A Dmowski mógłby temu tylko przyklasnąć. Zresztą Izraelczycy jako naród z własnym państwem różnią się od Żydów żyjących w diasporze.

Z PUNKTU WIDZENIA BIOLOGA

Najciekawszym jednak wątkiem książki prof. Kosińskiego jest sprawa umieszczenia Dmowskiego na osi „prawica – lewica". W lewicowych przekazach, które przyczyniły się do tego, że wokół lidera endecji narosła czarna legenda, był on wrogiem nowoczesności i postępu. Pozycjonował się zatem w opozycji do lewicowych świętości, które z kolei w prawicowej wyobraźni kojarzą się z ekscesami najgorszych rewolucji wymierzonych w Kościół katolicki i tradycyjny ład moralno-społeczny.

Tymczasem prof. Kosiński wyjaśnia, że Dmowski właściwie wymykał się dychotomii „prawica – lewica", za jego czasów będącej odzwierciedleniem podziałów klasowych. A to wynikało z diagnozy, którą stawiał: stary feudalny świat się rozpadał. Kształtowały się nowoczesne społeczeństwa. Przechodziły one demokratyzację i unarodowienie, co nadawało podmiotowość polityczną warstwom wcześniej wyłączonym z polityki: mieszczaństwu, robotnikom, chłopstwu. Nowe wyzwania światu niósł kapitalizm. To skutkowało u znacznej części polskiej szlachty przyjmowaniem postawy konserwatywnej, a więc obroną swoich dawnych przywilejów, polegającą na opieraniu się procesom, które dla Polaków były trudne, ale w gruncie rzeczy rozwojowe. W tej sytuacji Dmowski jednak – inaczej niż socjaliści – nie podburzał przeciw tej warstwie stanu trzeciego. Priorytetem dla przywódcy endecji był – wbrew tendencjom liberalno-kosmopolitycznym – interes narodowy, więc chciał włączenia szlachty w realizację programu „wszechpolskiego", czyli w oparte na solidaryzmie społecznym dzieło konsolidacji Polaków jako nowoczesnego narodu.

Jednocześnie Dmowski żywił przekonanie, że nowoczesność nie jest przeciwieństwem tradycji. Jako biolog z wykształcenia patrzył na naród jako na byt organiczny, a nie konstrukt ideologiczny („wspólnotę wyobrażoną"). Zdawał sobie sprawę z kluczowej roli katolicyzmu w historii Polski, a jednocześnie wysoko cenił romantyzm jako istotny dla Polaków zasób kulturowy, choć dostrzegał w nim też pułapkę: egzaltowany poetycki eskapizm popychający do szaleńczych zrywów (jak wzniecane przez szlachtę powstania) i tym samym wypierający uprawianie polityki na trzeźwo.

Książka prof. Krzysztofa Kosińskiego nasuwa wniosek, że myśl polityczna Romana Dmowskiego pozostaje w XXI w. aktualna. Ale pod warunkiem, że będzie oczyszczona z mitów – zarówno prawicowych, jak i lewicowych – które ją fałszują. Jeśli zaś lapidarnie ująć przesłanie lidera Narodowej Demokracji, to można je zawrzeć w słowach: wygrać nowoczesność dla Polski i Polaków.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 488600ea51



August Agboola Browne (1895–1976) FOT. IPN

Między perkusją a barykadą



Łukasz Czarnecki

Po sierpniowym zrywie 1944 r. przez całe dekady kolejne pokolenia były zdumione opowieściami jego weteranów o bijącym się u ich boku przybyszu z Afryki

Przyznać należy, że historia ta rzeczywiście zdaje się mieć pozór legendy miejskiej, zwłaszcza że większość świadków znała tylko noszony przez egzotycznego bojownika o wolną Polskę pseudonim Ali lub kojarzyła go wyłącznie jako „Murzyna". Tymczasem czarnoskóry powstaniec był postacią jak najbardziej z krwi i kości, o czym świadczy choćby fakt, że w roku 1954 władze PRL uhonorowały go tzw. Medalem za Warszawę 1939–1945 oraz Odznaką Grunwaldzką. Co więcej, pozostały dokumenty wystawione przez Urząd do spraw Kombatantów, legitymacja ZBOWiD, archiwalia Urzędu do spraw Cudzoziemców, a nawet… dwie córki: jedna w Warszawie, druga zaś w Londynie. Ba… „Ali" stał się muzą piewcy dawnej stolicy Stefana Wiecheckiego, który oparł na nim postać Jumbo, jednego z bohaterów powieści „Cafe pod Minogą". I koniec końców to właśnie na upamiętniającym pisarza Pasażu Wiecha miasto oddało sprawiedliwość czarnoskóremu AK-owcowi, stawiając poświęcony mu monument, na którym przechodzień przeczytać może w końcu jego prawdziwe personalia – August Agboola Browne.

TAŃCZĘ, ŚPIEWAM, PEŁNY SERWIS!

Człowiek, który po latach jako „Ali" miał obrzucać butelkami z benzyną niemieckie czołgi, na świat przyszedł 22 lipca 1895 r. w portowym Lagos w Nigerii, podówczas kolonii brytyjskiej. Wywodził się z „samego dna", jego ojciec pracował jako robotnik w dokach, matka orała ziemię, oboje zarabiali na tym nędzny grosz, który ledwie wystarczał na strawę dla małego Augusta i siedmiorga (sic!) jego rodzeństwa. Rodzina Agboolów Browne'ów choć tubylcza, była już mocno zeuropeizowana, jej członkowie posługiwali się językiem angielskim i co niedzielę chodzili na Mszę do katolickiego kościoła. Losy samego „Alego" potoczyły się tak dziwacznie, że ochrzczony w obrządku rzymskim w Lagos większość życia spędził w Warszawie, żyjąc (że zacytuję określenie ukute przez Casanovę) „jak filozof", a pochowany został w Londynie na cmentarzu prawosławnym.

O edukacji odebranej przez Augusta wiemy niewiele, tyle tylko, co sam opowiadał po latach różnego rodzaju polskim urzędnikom, przy czym raz twierdził, że zakończył naukę na trzeciej klasie podstawówki, innym razem wpisywał w formularz osobowy wykształcenie średnie, a niekiedy znów deklarował ukończenie szkoły muzycznej! Zdaje się, że Browne całkiem nieźle się bawił, kreując sam siebie w oczach naiwnych białych, w zależności od humoru, inwencji i wymagań sytuacji, opowiadając o sobie, że był synem afrykańskiego księcia (sic!), lub płacząc nad panującą w rodzinnej chacie nędzą, która wypędziła go z ojczyzny i rozłączyła z rodziną. Przy czym ani za tą pierwszą, ani za drugą chyba specjalnie nie tęsknił, bo opuściwszy Lagos, nie tylko nigdy już do Afryki nie wrócił, lecz także nie wysłał choćby kartki do pozostawionych w Nigerii bliskich!

Po zakończeniu edukacji szkolnej August tyrał w polu, by zarobić na chleb, lecz w końcu mając dość parobczego znoju, rzucił motykę i zaciągnął się na jeden ze statków handlowych, których w Lagos nie brakowało. Gdy miał ok. 19 lat, odbił od ojczystych brzegów. Ciężki

eprasa.pl 488600ea51

żywot marynarski również szybko zbrzydł młodzieńcowi, więc koniec końców w Londynie zrezygnował z dalszej służby i zaczął szukać nowych możliwości. Tu właśnie datują się początki jego kariery w branży rozrywkowej. Młody Nigeryjczyk dołączył do wędrownej trupy teatralnej, a że miał i ucho wprawne, i niezłe wyczucie rytmu, szybko wyuczył się gry na perkusji. Ze wspomnień jego córki, Tatiany, wynika, że August sprawnie radził sobie też z pianinem. Wbrew jednak bałamutnym informacjom, które w XXI w. pojawiły się w niektórych artykułach, Browne nigdy wielkiej kariery jako muzyk nie zrobił, grywając raczej do kotleta. Co więcej, słuchacze dawanych przezeń występów, do których dotarł Krzysztof Karpiński, pisząc książkę „Czarnoskóry fordanser w Warszawie", po latach pamiętali, że perkusistą był raczej średnim… Za to fenomenalnie radził sobie August na parkiecie tanecznym, co całkowicie usprawiedliwia tytuł, który Karpiński nadał swojej biografii naszego bohatera.

W lutym 1921 r. zespół Browne'a dawał występy w Gdańsku. O tym, że brytyjska trupa grała w trzeciej lidze branży rozrywkowej, najlepiej świadczy fakt, że na jej temat milczały wszystkie gazety Wolnego Miasta. Wiemy tylko, że wcześniejszym miejscem pobytu artystów był Berlin i chyba bawili tam dłużej, bo August wyniósł z tej przygody znajomość niemieckiego. Jednak to nie germańskie, lecz słowiańskie klimaty miały dla niego nieodparty urok i w roku 1922 zdecydował się na krok szaleńczy – porzucił swój zespół i nie znając ani słowa po polsku… przyjechał nad Wisłę. I został tu na kolejne 34 lata. Bariera językowa szybko przestała być problemem, bo Nigeryjczyk po kilku latach nie dość, że mówił już biegle w naszym języku, to jeszcze… gwarą warszawską!

Początkowo August grał w zespole umilającym czas gościom Hotelu Bristol i pracował jako fordanser w Cafe Negresco. Potem związał się z wędrowną kapelą, z którą dawał koncerty w miastach II Rzeczypospolitej od Krakowa po Wilno. W czasie jednej z tras zakochał się z wzajemnością w Krakowiance Zofii Pyk i by być blisko swej lubej, przeniósł się

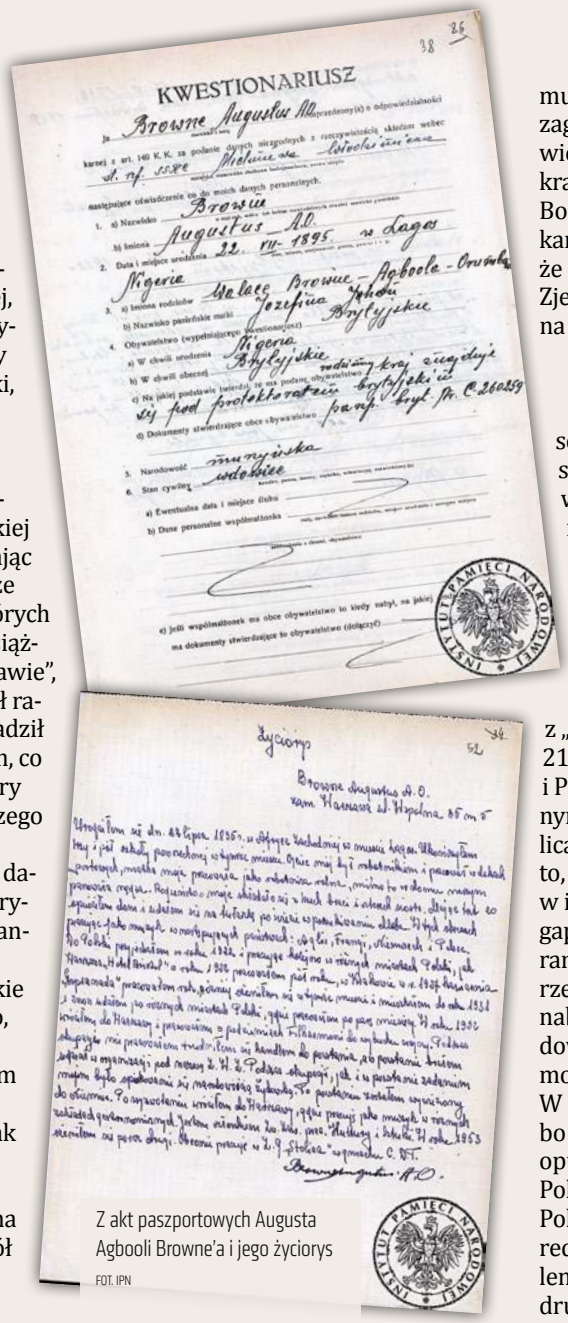
KWESTIONARIUSZ

Browne Augustus A.O.

Życiorys

Z akt paszportowych Augusta Agbooli Browne'a i jego życiorys

FOT. IPN

pod Wawel, gdzie w szeregach zespołu Amerykański Jazz Band przez dwa lata walił w talerze i bębny w popularnym lokalu Esplanada. Co ciekawe, do naszych czasów zachowała się wydana w drugiej połowie lat 20. przez wytwórnię Melodja Record płyta zatytułowana „Oryginalny Amerykański Jazz Band", mogąca być nagraniem występu tej właśnie kapeli. Sprawę komplikuje niestety fakt, że w tym samym czasie funkcjonowała druga grupa o tej samej nazwie. Personalia muzyków występujących w Esplanadzie zaginęły zresztą w mrokach historii, więc zagadką pozostaje też, dlaczego krakowski Jazz Band był „Amerykański". Bo skoro perkusista rzekomych „Amerykanów" pochodził z Nigerii, to możliwe, że reszta jego kolegów z zespołu Stany Zjednoczone także widziała co najwyżej na pocztówkach…

LIST GOŃCZY ZA MĘŻEM

August Agboola Browne żył więc sobie spokojnie, nie przyciągając uwagi szerszej opinii publicznej, aż nagle, w roku 1927, stał się sensacją numeru nie tylko prasy polskiej, lecz także… argentyńskiej.

Pod koniec sierpnia 1927 r. krakowski tygodnik ilustrowany „Światowid" opublikował opatrzony stosowną fotografią reportaż o zaślubinach „autentycznego Murzyna" z „autentyczną Polką", do których doszło 21 tegoż miesiąca w Kościele śś. Piotra i Pawła. O tym, jak bardzo prowincjonalnym miastem była wówczas dawna stolica polskich królów, najlepiej świadczy to, że uroczystość zamieniła się de facto w imprezę publiczną, gromadząc tłumy gapiów i koniec końców urastając do rangi jednego z najważniejszych wydarzeń roku. Co więcej, ślub Augusta i Zofii nabrał charakteru newsa międzynarodowego, bo już w listopadzie przeczytać mogli o nim mieszkańcy… Buenos Aires. W każdym razie ci mówiący po polsku, bo artykuł o krakowskich wydarzeniach opublikował wydawany przez Związek Polaków w Argentynie magazyn „Głos Polski". Zastanawiać może tylko, dlaczego redakcja uznała zawarcie pod Wawelem międzyrasowego związku za godną druku sensację, skoro jej czytelnicy na co dzień żyli po sąsiedzku nie tylko z Afroamerykanami, lecz także z Latynosami i Indianami…

Młoda para zamieszkała przy ulicy Zwierzynieckiej i doczekała się dwóch synów – Ryszarda oraz Aleksandra. Niestety, pożycie państwa Browne'ów nie układało się kolorowo, a kiedy właściciel Esplanady zmienił charakter lokalu, rezygnując z usług Amerykańskiego Jazz Bandu, zaczęły się prawdziwe kłopoty. August, by utrzymać rodzinę, coraz częściej wyjeżdżał na występy poza Kraków, m.in. do Zakopanego, i przypuszczać

eprasa.pl 488600ea51

można, że w trakcie owych wypadów nie prowadził raczej żywota ascetycznego (wysoki, przystojny, kulturalny i zawsze nienagannie ubrany działał na kobiety jak magnes). Możliwe, że po każdorazowym powrocie przy Zwierzynieckiej latały talerze i koniec końców pewnego dnia nasz bohater… nie wrócił.

Powiedzmy sobie szczerze, porzucenie żony i dzieci Augustowi chluby raczej nie przynosi. Jeśli jednak liczył, że na tym sprawa nieudanego małżeństwa się skończy, to nie docenił Zofii. Tak jak ślubem państwa Browne'ów żyły Kraków i Buenos Aires, tak rozpad ich pożycia urósł do rangi problemu ogólnonarodowego! Oto bowiem porzucona żona wysłała za wiarołomnym mężem list gończy do najpoczytniejszego międzywojennego brukowca – „Tajnego Detektywa", wzywając ludzi dobrej woli do wskazania miejsca pobytu zbiega! Anons trafił na łamy numeru 29 z roku 1932, przy czym redakcja opatrzyła go komentarzem: „[…] zalała Europę fala czarnych tancerzy. Nie brakło ich także w Polsce. […] czarna ich skóra kryła niewiele jaśniejsze charaktery". Przyznajmy, że trochę poniosła autora tych słów fantazja, i nie mówimy tu tylko o rasizmie. Z tego, co wiadomo, w tamtym momencie w samej tylko Warszawie owa złowroga „czarna fala" składała się z… dwóch Afrykanów! A jednym z nich był nie kto inny, jak August, który w chwili, gdy czytelnicy „Tajnego Detektywa" ruszali na jego poszukiwania, już od roku pracował jako fordanser w stołecznej Winiarni Ziemiańskiej Caveau Caucasien.

Jeśli nasz bohater był zapalonym czytelnikiem prasy, to musiał bardzo się zdziwić, gdy w popularnym brukowcu znalazł list Zofii, swoje zdjęcie i komentarz na temat korelacji między kolorem skóry a charakterem. Zareagował szybko i już w następnym numerze na łamach „Tajnego Detektywa" ukazał się z kolei list jego autorstwa, w którym stwierdzał, że żona dała mu powody do odejścia, a dzieci wkrótce weźmie do siebie. Śledzony z zapartym tchem przez miliony ludzi małżeński konflikt redakcja opatrzyła komentarzem: „Na tym kończymy sprawę małżeństwa państwa Browne'ów, małżonkom radząc, aby swary swoje załatwiali wyłącznie między sobą, nie zaprzątając opinii wzajemnymi żalami".



Biało-czarne małżeństwo. Ściśle nie biało-czarne, lecz biało-czekoladowe małżeństwo zostało zawarte w Krakowie, gdzie autentyczny murzyn p. August Braoun ożenił się z autentyczną Polką, p. Zofją Pykówną. Egzotyczny ślub zgromadził w kościele tłumy ludzi. Na fotografji naszej widzimy parę młodożeńców i orszak ślubny.
Ag. fot. „Światowida", zdj. na pł. krajowych „Alfa".

Pod koniec sierpnia 1927 r. tygodnik „Światowid" opublikował reportaż o zaślubinach „autentycznego Murzyna" z „autentyczną Polką"
FOT. DOMENA PUBLICZNA

W czasach stalinowskich, będąc już dobrze po pięćdziesiątce, August Agboola Browne wciąż grał na perkusji w stołecznych lokalach, choć zapewne ciężko było mu na sercu, gdy porównywał nędzę tych pijalni wódki i chamstwo czerwonej elity z nocnym życiem przedwojennej Warszawy

Synów August jednak wbrew deklaracjom nie wziął do siebie, a z tego, co nam wiadomo, nawet ich nie odwiedzał, nie przekazywał też Zofii żadnych pieniędzy na ich wychowanie. Aleksander i Ryszard ojca spotkać mieli dopiero… wiele lat po wojnie, w Londynie! Co jeszcze dziwniejsze, nasz bohater nigdy nie wziął rozwodu z Zofią, a gdy w latach 50. przyszła mu ochota na ponowną żeniaczkę, złożył do odpowiedniego urzędu podanie o uznanie żony za poległą w czasie wojny, przyprowadzając nawet świadków, którzy zeznali, że pani Browne została aresztowana na warszawskiej ulicy w trakcie łapanki i wywieziona przez okupanta do obozu koncentracyjnego! Tymczasem nie dość, że nigdy nie mieszkała ona w stolicy, to jeszcze na samym początku wojny uciekła z dziećmi do Londynu, gdzie osiedli na stałe. Kiedy zatem w połowie lat 50. „Ali" wyemigrował do brytyjskiej stolicy ze swą drugą żoną, Olgą, resztę życia spędził nad Tamizą jako bigamista.

Drugi raz August Browne na łamy prasy trafił w roku 1933, kiedy zeznawał jako świadek w procesie o zabójstwo dokonane w Winiarni Ziemiańskiej nocą 22 marca przez mjr. Jerzego Stawińskiego, który zazdrosny o kochankę wdał się w pyskówkę, a następnie zastrzelił na miejscu adorującego kobietę inżyniera Adama Jankowskiego. Mordercę koniec końców skazano, opierając się głównie na zeznaniach naszego bohatera, który nie dość, że w chwili zajścia znajdował się tuż obok kłócących się mężczyzn, to jeszcze w opinii Wojskowego Sądu Okręgowego jako czarnoskóry, a więc (wybaczcie, dosłownie cytuję uzasadnienie wyroku) „natura prymitywna", nie byłby w stanie wymyślić podanych przez siebie szczegółów! Z racji odegranej w procesie roli gazety rozpisywały się znów o Auguście, tyle tylko, że przekręcając jego nazwisko

eprasa.pl 488600ea51

na wszelkie możliwe sposoby i nazywając go… „Murzynem senegalskim" (sic!).

HEJ KTO POLAK/NIGERYJCZYK NA BAGNETY…

Szalone dwudziestolecie skończyło się 1 września 1939 r. W trakcie kampanii wrześniowej August jako obywatel brytyjski nie został powołany do wojska, ale brał udział w obronie Warszawy jako jeden z ochotników. Wraz z nadejściem okupacji zaprzestał pracy w branży rozrywkowej. Co prawda, dostał propozycję dobrze płatnej posady muzyka w luksusowym lokalu dla niemieckich oficerów, jednak ją odrzucił. Czuł się Polakiem, co więcej – polskim patriotą.

Utrzymując się z handlu obnośnego, Nigeryjczyk równocześnie od samego początku działał w konspiracji – najpierw w Związku Walki Zbrojnej, później w Armii Krajowej. Z czasem na rozkaz przełożonych zaczął występować w kawiarniach i klubach, gdzie bawiła się „rasa panów", by dzięki doskonałej znajomości niemieckiego zbierać informacje wywiadowcze. Była to idealna rola, równocześnie zaś trudno dociec, co tkwiło w głowach kierownictwa podziemia, gdy podjęto decyzję o zaangażowaniu Augusta w… kolportowanie konspiracyjnej prasy i materiałów propagandowych! W efekcie po ulicach okupowanej przez nazistów głoszących supremację białych nordyków Warszawy wędrował sobie w najlepsze czarnoskóry mężczyzna słusznej postury, w jasnym garniturze, kolorowym krawacie i modnym kapeluszu, dźwigając walizkę pełną wydawnictw, których pojedynczy egzemplarz mógł posłać do obozu śmierci! A najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że Niemcom mordującym masowo Żydów i Polaków o karnacji równie jasnej, co ich własna, nigdy nie przyszło do głowy zatrzymać i przeszukać Afrykańczyka! Najlepiej chyba ten paradoks podsumował świadek epoki, muzyk Andrzej Zborski, stwierdzając: „Murzyn to nie jest problem okupacyjny".

Co ciekawe, tak bardzo rzucający się w oczy August skutecznie pomagał w ukrywaniu się uciekinierom z getta! Potwierdzają to słowa Bogdana Duszewskiego, wówczas nastolatka, mieszkającego wspólnie wraz z ukrywającymi się żydowskim chłopcem Stefanem


KTO GO WIDZIAŁ?

Razem z muzyką jazzbandową zalała Europę fala czarnych tancerzy. Nie brakło ich także w Polsce. Naogół okazało się, że czarna ich skóra kryła niewiele jaśniejsze charaktery. Wstrzymując się od komentarzy, zamieszczamy niżej list białej kobiety porzuconej przez jednego z nich, gorąco popierając jej prośbę.

„Proszę o umieszczenie wezwania do Szanownych Czytelników o łaskawe podanie adresu męża mego Augusta Browne (murzyna), tancerza, który od kilku miesięcy pozostawił mię zupełnie bez środków do życia wraz z dwojgiem małych dzieci i żadnej wiadomości o sobie nie daje".

Zofja Browne
Kraków, Zwierzyniecka 34. m. 12.

August Browne.

List gończy za mężem w „Tajnym Detektywie" (nr 29/1932)
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Zabłockim i jego ojcem, który dobrze zapamiętał, jak odwiedził ich „Murzyn", „żołnierz Armii Krajowej", i w tajemnicy omawiał jakieś ważne sprawy z dorosłym.

W chwili wybuchu powstania warszawskiego August młodzieniaszkiem już nie był. Liczył sobie 49 lat. Mimo to zgłosił się na ochotnika do Batalionu „Iwo", przybierając pseudonim Ali. Skierowany został do łączności. Weterani oddziału, którzy po latach wracali do owych traumatycznych wydarzeń, doskonale zapamiętali nietypowego towarzysza broni. Widok czarnego mężczyzny walczącego na barykadzie był tak zaskakujący, że zostawał w pamięci świadków już na zawsze. W bitewnej zawierusze brakło czasu na wymianę wizytówek, więc dla większości spolonizowany Nigeryjczyk bijący się o wolność przybranej ojczyzny był po prostu „Murzynem" i nigdy nie poznano jego personaliów, ale ślad pozostawiony przez Brow-

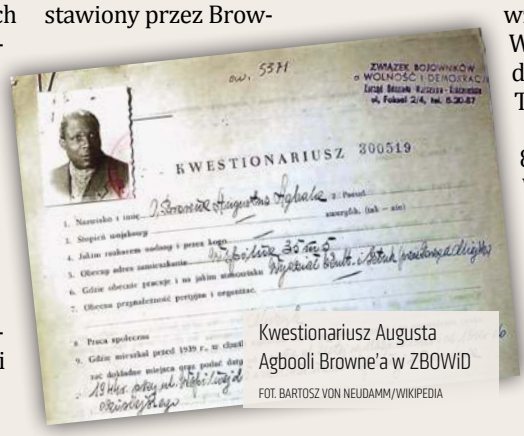
ZWIĄZEK BOJOWNIKÓW O WOLNOŚĆ I DEMOKRACJĘ

KWESTIONARIUSZ 300519

Kwestionariusz Augusta Agbooli Browne'a w ZBOWiD
FOT. BARTOSZ VON NEUDAMM/WIKIPEDIA

W roku 2009 prezydent Lech Kaczyński zainicjował prace nad pośmiertnym uhonorowaniem „Alego" odpowiednim orderem w uznaniu wojennego bohaterstwa. Planom tym przeszkodziła katastrofa smoleńska

ne'a był na tyle wyraźny, że całą dekadę później podążyli za nim badacze nie tylko polscy, lecz także zagraniczni, w tym amerykański historyk Nicholas Boston czy reporterka BBC Clare Mulley.

Naszemu bohaterowi udało się przeżyć powstanie. Jego losy przez resztę okupacji pozostają niejasne, później wrócił do zrujnowanej Warszawy. W czasach stalinowskich, gdy był już dobrze po pięćdziesiątce, wciąż grał na perkusji w stołecznych lokalach, choć zapewne ciężko było mu na sercu, gdy porównywał nędzę tych pijalni wódki i chamstwo czerwonej elity z nocnym życiem przedwojennej Warszawy. Z przynależnością do AK się nie krył, a wśród muzyków warszawskich powszechnie mówiono, że „przyszedł z powstania". Długo czekał na Andersa, ale po ucieczce Mikołajczyka pogodził się z rzeczywistością i widywano go w pochodach pierwszomajowych. Choć siwy, to nadal miał w sobie to coś, z łatwością zdobywał serca kobiet młodszych o całe pokolenia – z romansu z 20-letnią studentką doczekał się córki Beaty, a gdy związek ten się rozpadł, wziął ślub z 35-letnią Olgą Miechowicz. W roku 1956 razem opuścili PRL i uciekli do Londynu. Tam wychowywali córkę Tatianę.

August Agboola Browne zmarł 8 września 1976 r. w wieku 81 lat. W roku 2009 prezydent Lech Kaczyński nakazał Biuru Kadr i Odznaczeń Kancelarii Prezydenta RP rozpocząć prace nad pośmiertnym uhonorowaniem „Alego" odpowiednim orderem w uznaniu wojennego bohaterstwa. Planom tym przeszkodziła katastrofa smoleńska.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 488600ea51



KOMUCHOŻERCA

Pseudo-partyzant

LESZEK ŻEBROWSKI

Bolesław Szwejgiert przed wojną był dziennikarzem i należał do Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej, kierowanego przez KPP. Po klęsce Polski w 1939 r. – jak podał w ankiecie personalnej – udał się „na emigrację polityczną" do Związku Sowieckiego, gdzie uzyskał sowieckie obywatelstwo. Miał możliwość wykazania się w Batalionie istriebitielnym przy Rejonowym Oddziale NKWD na Białorusi. W 1943 r. zgłosił się do wojska Berlinga, następnie trafił do Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego (czyli ubeckiego „wojska") na stanowisku oficera śledczego. W KBW szybko został szefem Wydziału Informacji KBW (to był odpowiednik sowieckiego kontrwywiadu!). Podlegał Państwowej Komisji Bezpieczeństwa, powołanej do koordynacji akcji aparatu bezpieczeństwa przeciwko tzw. reakcyjnemu podziemiu, czyli Żołnierzom Wyklętym.

„Inteligentny, godny zaufania oficer. Położył niemało zasług w rozpracowaniu bandy Ognia na Podhalu, osobiście prowadził akcje w Dolinie Chochołowskiej, w wyniku której został zlikwidowany pododdział Ognia" – pisał o nim w notatce służbowej z 6 marca 1947 r. ppłk Mieczysław Hański, szef sztabu KBW.

Opisana akcja została przeprowadzona 6 grudnia 1946 r. – w ciężkich walkach zginęło wówczas siedmiu partyzantów „Ognia". Skierowany na Podhale Bolesław Szwejgiert był oddelegowany do kontaktów z czechosłowacką bezpieką, co świadczy o ogromnym zaufaniu, którym darzyli go jego przełożeni. 21 lutego 1947 r. był jednym z głównodowodzących akcją likwidacji mjr. Józefa Kurasia „Ognia", który – otoczony przez bezpiekę – strzelił sobie w skroń. Przewieziony do szpitala w Nowym Targu zmarł następnego dnia.

W 1951 r. Bolesław Szwejgiert napisał wniosek o zwolnienie go ze stanowiska szefa Wydziału Informacji I Brygady KBW i przekazanie do dyspozycji kadr MBP. Prośbę uwzględniono i trafił do departamentu, który prowadził walkę z podziemiem niepodległościowym. Szwejgiert, podczas służby w KBW, wpadł na pomysł stworzenia oddziału pseudopartyzanckiego, złożonego z funkcjonariuszy UB, podszywających się pod żołnierzy polskiego podziemia. Grupa ta miała ustalić, kto pomaga partyzantom, oraz likwidować zbrojny opór. Plan się jednak nie udał – miejscowa ludność zorientowała się, że są to prowokatorzy.

„Płk Bolesław Szwejgiert jest cennym pracownikiem o dużej znajomości spraw interesujących nasze organy, szczególnie w odniesieniu do reakcyjnych środowisk w kraju i za granicą. W pracy jest zdyscyplinowany i wykazuje wiele inicjatywy" – chwaliła go w latach 50. pułkownik UB Julia Brystiger. Kim byli, komu służyli ci ludzie? Przecież wiemy. ©℗



HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Pierwszy pakt wileński

SŁAWOMIR KOPER

W połowie XVI w. państwo Zakonu Kawalerów Mieczowych na Inflantach stało się anachronizmem i było jasne, że jego terytoria zostaną wchłonięte przez jedno z pobliskich mocarstw. Idea przyłączenia ziem zakonnych okazała się atrakcyjna dla Rzeczypospolitej, gdyż oznaczałoby to zdobycie portów dla litewskiego handlu i osłonę północnej granicy przed zakusami Moskwy. Do tego miasta inflanckie uchodziły za bardzo zamożne, co znacznie wzmocniłoby gospodarkę Wielkiego Księstwa. Chętnych do podboju jednak nie brakowało, a najgroźniejszym przeciwnikiem wydawał się Iwan Groźny, który w 1554 r. zmusił zakonników do płacenia trybutu.

Mistrz Zakonu Kawalerów Mieczowych, Johann Wilhelm von Fürstenberg, próbował jednak zachować niezależność, ale poniósł klęskę w walce z Rosjanami i dostał się do niewoli, z której już nie powrócił. Natomiast nowy zwierzchnik zgromadzenia, Gothard Kettler, był politycznym realistą. Doskonale rozumiał, że państwo zbrojnych mnichów nie ma szans na przetrwanie i jedyną szansą było oparcie się na Rzeczypospolitej. Kettler miał też osobiste ambicje i chciał zostać założycielem nowej dynastii.

31 sierpnia 1559 r. zawarto układ w Wilnie, na którego mocy Kettler oddał się pod opiekę Zygmuntowi Augustowi jako wielkiemu księciu Litwy. Gwarancją ze strony zakonników miały być zamki w południowo-wschodniej części Inflant, które przekazano stronie litewskiej z prawem ich wykupu za kwotę 100 tys. zł. Nie przeszkodziło to jednak w ataku moskiewskim i okupacji części ziem zakonnych przez Rosjan. W tej sytuacji dwa lata później doszło do kolejnego układu w Wilnie, rozszerzonego tym razem o Koronę.

W marcu 1562 r. Kettler złożył w Rydze hołd lenny królowi polskiemu. Wprawdzie Zygmunt August był wówczas nieobecny nad Bałtykiem, ale zastępował go Mikołaj Radziwiłł zwany Czarnym. Kettler przeszedł już wówczas na luteranizm, a cztery lata później ożenił się z księżniczką meklemburską. Spełnił też swoje osobiste ambicje, gdyż założona przez niego dynastia miała panować w Kurlandii przez blisko dwa stulecia. I zawsze była lojalna wobec Rzeczypospolitej.

W rzeczywistości hołd Kettlera niczego nie rozstrzygał, gdyż Inflanty trzeba było nie tylko zdobyć, lecz także utrzymać. W efekcie doszło do pierwszej wojny północnej, w której brały udział Rzeczpospolita, Rosja, Dania i Szwecja. Sojusze zmieniały się kilka razy, a rozstrzygnięcie zapadło już w czasach panowania Stefana Batorego. Ale to już historia na inny felieton. ©℗

eprasa.pl 488600ea51

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 488600ea51

„Baćka” w sprawie Polski. Za, a nawet przeciw





Maciej Pieczyński

Mińsk niezmiennie traktuje Warszawę jako wroga. Łukaszenka konsekwentnie zwalcza polskie dziedzictwo kulturalne na Białorusi. A jednak uchyla furtkę do taktycznych układów z Polakami

Alaksandr Łukaszenka postanowił zniszczyć wszelkie przejawy polskości na Białorusi. Tak przynajmniej twierdzi dziennikarz o pseudonimie F. Raubicz na opozycyjnym portalu Nasza Niwa. Według jego doniesień władze w Mińsku planują wykreślić sporą liczbę obiektów z Państwowego Spisu Zabytków. Opublikowane przez Naszą Niwę dokumenty świadczą o tym, że mocno ucierpi na tym polska kultura.

WALKA Z POLSKOŚCIĄ

Ze spisu mogą zniknąć tysiące zabytków. To zaś oznacza, że zostaną najpewniej wyburzone. „Na przykładzie tylko jednego rejonu [jednostka administracyjna na Białorusi, w przybliżeniu odpowiednik powiatu – przyp. red.] widać, że pod nóż idą prawie wyłącznie dworki szlacheckie” – pisze F. „Raubicz”. Kanał „Spadczyna” (biał. dziedzictwo) na Telegramie opublikował zdjęcie dokumentu podpisanego przez wiceprzewodniczącego Mińskiego Obwodowego Komitetu Wykonawczego Alaksandra Iljasiewicza, skierowanego do przewodniczących rejonowych i miejskich komitetów wykonawczych. Iljasiewicz zleca urzędnikom szczebla lokalnego, aby – zgodnie z rozporządzeniem Rady Ministrów – od strony formalnej przygotowali grunt pod „wyłączenie niektórych nieruchomych materialnych obiektów historyczno-kulturowych”. De facto oznacza to rozbiórkę wybranych zabytków.

Do Internetu wyciekła też lista przeznaczonych do likwidacji obiektów z samego tylko rejonu kleckiego. Znalazły się na niej: pałac Radziwiłłów z XVIII w.,

eprasa.pl 488600ea51



FOT. ALEXANDER SHCHERBAK/ZUMA PRESS/FORUM

ruiny dworu Wojniłłowiczów, drewniany wiatrak w Szajkach oraz majątki polskich rodzin szlacheckich: Jeleńskich w Tuczy, Wendorffów w Hołynce, Czarnockich w Lecieszynie oraz Łobockich w Cieśniówce. Spośród 30 obiektów z rejonu figurujących do niedawna w Państwowym Spisie Zabytków zniknie siedem. Wszystkie związane z polskością. Po ich wyburzeniu w rejonie kleckim pozostaną jeszcze trzy polskie dworki szlacheckie. Dwie trzecie polskiej spuścizny znikną.

Dla porównania: na tym samym terenie znajduje się osiem upamiętnień żołnierzy sowieckich. Żadne z nich nie zostało wykreślone z listy zabytków. „F. Raubicz" zwraca uwagę, że w rejonie kleckim znajdowały się trzy zabytki klasy drugiej – o znaczeniu republikańskim, czyli prezentujące wartość historyczno-kulturalną dla całego kraju. Dwa z nich, zgodnie z decyzją centrali, mają zostać zlikwidowane. Mińsk zasadniczo nieszczególnie troszczy się o spuściznę. Oficjalnie ochroną jest objętych w całym kraju ok. 5,6 tys. zabytków, podczas gdy w niewielkiej Litwie – ponad 26 tys.

Aby zgodnie z prawem wyburzyć dany obiekt, objęty wcześniej ochroną, urzędnik musi udowodnić, że albo utracił on wartość historyczną, albo został zniszczony w sposób uniemożliwiający jego wierną rekonstrukcję. Zniszczenie często wynika z zaniedbań władz. Przykładem jest wiatrak we wsi Szajki. Na listę zabytków trafił w 1987 r. Lokalni urzędnicy nie robili nic, aby zachować obiekt. W 2025 r. budynek się zawalił. Podobnie rzecz się miała z dworkiem rodu Łobockich w Cieśniówce. Pretekstem do rozbiórki jest to, że w 2017 r. dosłownie rozsypał się klasycystyczny portyk na fasadzie budynku. Jak zauważa „F. Raubicz", polskie zabytki na Białorusi nie zawsze „rozwalały się same". Czasem pomagają w tym łukaszenkowskie władze. W 2021 r. w zabytkowym parku w Radziwiłłmontach wyburzono kilka XIX-wiecznych budynków.

W OBJĘCIACH PUTINA

Likwidacja dworków szlacheckich wpisuje się w walkę z polskością, prowadzoną przez Łukaszenkę od dawna, ale ze szczególnym natężeniem po tym, jak w 2020 r. Warszawa poparła opozycję na czele ze Swiatłaną Cichanouską. Depolonizacja przyspieszyła jeszcze bardziej w 2021 r., wraz z wybuchem kryzysu migracyjnego, sztucznie wywołanego przez służby specjalne Mińska. Oba te kryzysy polityczne doprowadziły do zbliżenia Białorusi z Rosją. Skonfliktowany z Zachodem Łukaszenka wpadł głębiej niż dotychczas w objęcia Władimira Putina. Faktem jednak jest to, że pod względem mentalnym czy ideowym już wcześniej zdecydowanie bliżej mu było do Moskwy niż do Warszawy i szerzej: Zachodu.

Antypolonizm Łukaszenki objawia się najpełniej w sferze polityki historycznej. Białoruski dyktator od początku swoich rządów konsekwentnie stawia na dziedzictwo rosyjsko-sowieckie, dla którego polska spuścizna jest konkurencją. Łukaszenka, owszem, prowadził – i do pewnego stopnia prowadzi do dziś – sprytną politykę wielowektorową, za cenę drobnych ustępstw starając się uzyskać możliwie największe korzyści, od kogo tylko się da. W taktyczne sojusze jest skłonny wchodzić w sprzyjających okolicznościach. Zasadniczo jednak prorosyjskość i prosowieckość, a zarazem antypolonizm stanowią nieodłączne (choć nie zawsze decydujące) elementy jego myślenia o świecie. Wystarczy zwrócić uwagę na politykę symboliczną. Dzień Niepodległości został ustanowiony 3 lipca – w rocznicę wyzwolenia Mińska przez Armię Czerwoną podczas drugiej wojny światowej. Analogiczny Dzień Rosji przypada 12 czerwca, na pamiątkę… ogłoszenia Deklaracji Suwerenności od Związku Sowieckiego. 7 listopada Białorusini wciąż oficjalnie celebrują Święto Rewolucji Październikowej, przez Moskwę już dawno zniesione. W porównaniu z Łukaszenką Putin jest wojującym antykomunistą. „Baćka" tępi ideę białoruskiej tożsamości. Co prawda, w kraju obowiązują dwa języki urzędowe, ale faktyczna dominacja rosyjskiego jest oczywista. Łukaszenka powiedział kiedyś, że Białorusin to Rosjanin ze znakiem jakości. Warto przypomnieć, że pod koniec lat 90., gdy na Kremlu zasiadał coraz słabszy Borys Jelcyn, „Baćka" planował zająć jego miejsce – jako przywódca białorusko-rosyjskiego państwa. Tylko – albo aż – polityczne ambicje powstrzymują go przed totalnym podporządkowaniem się Moskwie. Woli być prezydentem kraju niż gubernatorem obwodu.

DEPOLONIZACJA BIAŁORUSI

Łukaszenkowska Białoruś jest sowiecko-rosyjskim skansenem. Dlatego jej władze tępią wszystko, co wiąże się z nierosyjską i niesowiecką – a zatem polską lub białoruską – tożsamością. Na cenzurowanym od dawna jest spuścizna I Rzeczypospolitej i Wielkiego Księstwa Litewskiego, które – jak wiemy – pod względem etniczno-kulturowym było tak naprawdę państwem ruskim i prawosławnym. Albo – jak twierdzą nacjonalistycznie nastawieni przeciwnicy Łukaszenki – państwem białoruskim. Wreszcie od 2021 r. Dniem Jedności Narodowej oficjalnie jest 17 września. Z perspektywy polityki historycznej Mińska inwazja Armii Czerwonej na Polskę przysłużyła się powstaniu państwa białoruskiego.

eprasa.pl 488600ea51

Oprócz przedrozbiorowej Polski i dawnej Litwy „Baćka" na śmietnik historii wyrzuca również polskie podziemie niepodległościowe z czasów drugiej wojny światowej i powojennych. Armia Krajowa i Żołnierze Wyklęci są traktowani przez oficjalną narrację Mińska jako faszyści oraz okupanci. W końcu to uroczystości ku ich czci swego czasu stały się jednym z pretekstów do wsadzenia za kraty najbardziej wpływowych działaczy mniejszości polskiej. Pod tym względem białoruska polityka historyczna niczym się nie różni od swojej rosyjskiej odpowiedniczki. Jeśli zaś chodzi o stosowane praktyki, to Łukaszenka posuwa się dalej niż Putin. Moskwa coraz bardziej relatywizuje zbrodnię katyńską. Na cmentarzu polskich oficerów wybudowała w tym celu zakłamane muzeum relacji polsko-rosyjskich. A jednak samych grobów nie rusza. Tymczasem na Białorusi od 2022 r. systematycznie są niszczone polskie miejsca pamięci. Cmentarze wojenne żołnierzy Armii Krajowej w Surkontach i Mikuliszkach zostały zaorane buldożerami. Władze białoruskie dewastację polskich grobów nazwały „pracami porządkowymi". Zlikwidowano kilkanaście pomników, mogił i tablic upamiętniających polskich żołnierzy oraz ofiary terroru sowieckiego.

Depolonizacja Białorusi nie ogranicza się do barbarzyńskich aktów wandalizmu dokonywanych na rozkaz władz. Szykowane są zmiany w podręcznikach do historii mające na celu jeszcze większe zbliżenie z Rosją. W przededniu zbliżającego się roku szkolnego białoruskie Ministerstwo Edukacji wysłało do szkół specjalny list instruktażowy. Zawiera on wytyczne dla nauczycieli historii zgodne z oficjalną polityką historyczną państwa. W wielkim skrócie: to, co związane z Polską, jest złe, to, co kojarzone z Rosją – dobre. Jednym z czarnych charakterów jest powstaniec styczniowy Konstanty Kalinowski, w Polsce i wśród białoruskich opozycjonistów traktowany jako nasz wspólny bohater narodowy. Według zaleceń ma być przedstawiany jako zdrajca Białorusi dążący do podporządkowania jej Warszawie. Zadaniem nauczycieli będzie też podkreślanie pozytywnej roli rozbiorów Polski. Rzeczpospolita Obojga Narodów z tej perspektywy jawi się jako państwo

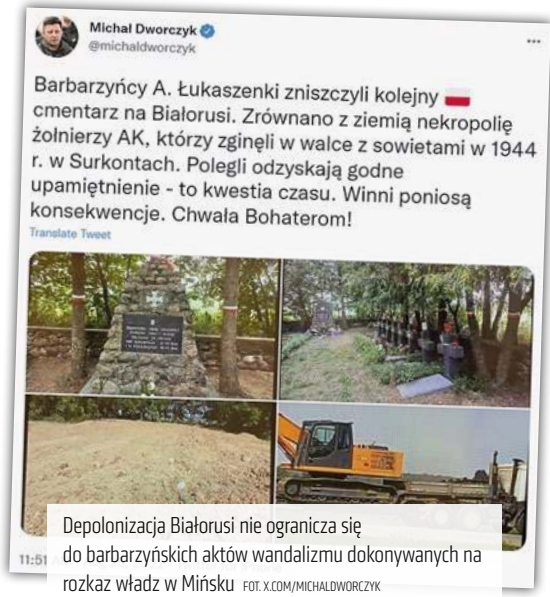

Depolonizacja Białorusi nie ogranicza się do barbarzyńskich aktów wandalizmu dokonywanych na rozkaz władz w Mińsku FOT. X.COM/MICHALDWORCZYK

imperialne, kolonizujące i eksploatujące ziemie białoruskie. „Okres funkcjonowania Białorusi w granicach Imperium Rosyjskiego odegrał kluczową rolę w kształtowaniu się białoruskiej państwowości. Włączenie ziem białoruskich (do Rosji) było decydującym czynnikiem, który pozwolił zahamować polonizację Białorusinów i przyczynił się do rozwoju tradycji narodowych i duchowych" – czytamy w wytycznych. Antyrosyjskie powstania: kościuszkowskie, listopadowe i styczniowe mają być opisywane jako próby ponownego skolonizowania ziem białoruskich przez „polskich panów". Zbrodnie stalinowskie w nowych zaleceniach zyskują eufemistyczny wydźwięk jako „tymczasowe wypaczenie zasad sprawiedliwości społecznej". Zgodnie z wytycznymi uczniowie na lekcjach historii powinni usłyszeć, że „budowa ustroju socjalistycznego otworzyła perspektywy dla szerokich mas ludowych". Wojna na Ukrainie ma być przedstawiana zgodnie z rosyjską wersją o denazyfikacji i demilitaryzacji.

W STREFIE ZGNIOTU

Z jednej strony nie należy mieć złudzeń: strategicznie Łukaszenka uważa Polskę za swojego wroga. Z drugiej strony, Mińsk często sugeruje, że taktycznie może się z Warszawą dogadywać. Tę dwoistość widać też w stosunku Łukaszenki do wojny na Ukrainie. Propaganda Mińska z jednej strony przyznaje rację Rosji, z drugiej strony zapewnia, że Białoruś do wojny nie wejdzie. W połowie sierpnia dowódca Sił Powietrznych i Obrony Powietrznej Białorusi gen. Andriej Łukjanowicz publicznie przyznał, że białoruska służba operacyjna wymienia się z Polską ostrzeżeniami o lotach w pasie granicznym. Wcześniej, jak wiadomo, Mińsk był w kontakcie z Warszawą w sprawie rosyjskich dronów wlatujących w polską przestrzeń powietrzną. Paradoksalnie, choć Białoruś i Polska są po przeciwnych stronach barykady w globalnym konflikcie geopolitycznym, to do pewnego stopnia bezpieczeństwo jest naszym wspólnym interesem. Ani Warszawa, ani Mińsk nie chcą, by doszło do pełnoskalowej wojny między Rosją a NATO. Oba nasze kraje znalazłyby się wtedy w strefie zgniotu. Łukaszenka może brutalnie prześladować polską tożsamość w swoim kraju (również w obawie przed społeczeństwem obywatelskim jako takim), ale zarazem taktycznie dogadywać się z Polską we wspólnym interesie deeskalacji napięcia.

Wreszcie również w sferze owej tożsamości jest pewne pole do ograniczonego, ale jednak kompromisu. Dowodem na to jest działalność Andżeliki Borys. Dawniej nieuznawana przez Łukaszenkę szefowa Związku Polaków na Białorusi stała się lojalistką. I teraz może sobie pozwolić na pracę u podstaw polegającą na nauczaniu języka polskiego w swojej własnej szkole. Przy okazji rocznicy Bitwy Warszawskiej Andżelika Borys i Jerzy Czupreta jako prezes i wiceprezes Związku Polaków na Białorusi objeżdżali polskie miejsca pamięci na Grodzieńszczyźnie, zapalając znicze na mogiłach żołnierzy Wojska Polskiego z 1920 r. Obszerną fotorelację z tego wydarzenia Borys zamieściła na swoim koncie na X. Nie trzeba dodawać, że nie zrobiła tego wbrew woli białoruskich władz.

Łukaszenka uchyla więc furtkę do taktycznych porozumień z Warszawą. „Wielkiej miłości nigdy nie będzie, ale sąsiedztwo siłą rzeczy wymuszać będzie poszukiwanie dróg do odmrożenia relacji. Trzeba rozumieć, że dziś nawet załatwianie lokalnych drobnych spraw, które czasem ma miejsce, sprzyja przezwyciężeniu nieufności" – powiedział niedawno w rozmowie z WP.pl Andrzej Poczobut. Wieloletni wróg i więzień Łukaszenki, który jednak nie wyszedłby na wolność, gdyby Zachód nie rozmawiał z Mińskiem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 488600ea51



FOT. PORTLAND FIRE & RESCUE

ODSZKODOWANIA

Po dwóch latach zapadł wyrok w sprawie awarii, która się wydarzyła dwa lata temu w parku rozrywki w Portland. Na karuzeli utknęło wtedy 28 pasażerów. Wisieli oni do góry nogami, trzymając się pasów i siedzeń na wysokości ok. 30 metrów przez prawie pół godziny. W parku nie działał żaden plan awaryjny na taki wypadek. Teraz ława przysięgłych zdecydowała o przyznaniu dwóm osobom wysokich odszkodowań – po 275 tys. dol. każdej. Pozwy złożyło w sumie dziewięć osób, siedmioro z nich jednak wcześniej zawarło ugody.

KŁAMSTWO

Trzydziestosiedmioletnia Brazylijka podawała się za kogoś innego, niż jest. Na 14 miesięcy zamieszkała z rodziną zastępczą, udając 12-latkę, która uciekła przed przemocą. Starała się mówić dziecięcym głosem, jednocześnie twierdząc, że wcześniej zmuszano ją do przyjmowania hormonów, aby wyglądać starzej. Gdy kłamstwo wyszło na jaw, kobieta stanęła przed sądem. Została skazana na ok. półtora roku więzienia. Przyznała się do winy, ale zapewniała, że nie chciała nikogo skrzywdzić, gdyż po prostu szukała miłości.

SPOTKANIE

Pewna para świętująca siódmą rocznicę małżeństwa udała się do sklepu sprzedającego herbaty w Gatlinburgu (stan Tennessee). Tam zaś doszło do szczególnego spotkania, które jej ubarwiło całe wydarzenie. Do sklepu wszedł bowiem młody niedźwiedź. Zwierzę rozerwało mieszankę herbaty i oglądało dyfuzory, potem zaś wskoczyło na ladę. Krzywdy nikomu jednak nie zrobiło.

ODZYSKANE DZIEŁO

Właściciel nieruchomości w Milwaukee podczas sprzątania mieszkania po eksmisji natrafił na grafikę „Torero" autorstwa Pabla Picassa. Pochodzące z 1949 r. dzieło musiało tam być od dawna, ponieważ pokrywała je gruba warstwa kurzu. Znalazca przekazał pracę policji. Ta zaś ustaliła, że grafika została skradziona z galerii sztuki w tym samym mieście w 2018 r. Tym samym właściciel dzieła po ośmiu latach je odzyskał.

INTERWENCJA AI

To już kolejny taki przypadek (o jednym z nich pisaliśmy w ubiegłym tygodniu): sztuczna inteligencja pomogła zapobiec zbrodni. Tym razem stało się to w Lake Worth Beach na Florydzie. ChatGPT zgłosił FBI makabryczny plan morderstwa. Oto 25-letni analityk w banku inwestycyjnym Goldman Sachs szczegółowo opisał chatbotowi, jak zamierza porwać, zgwałcić i zabić kobietę, która z nim zerwała. Na niebezpieczne treści zareagowały systemy bezpieczeństwa OpenAI – firmy zarządzającej ChatGPT. ©℗

Filip Memches



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Tajemnicza wizyta szefa CIA

Dyrektor CIA John Ratcliffe przybył do stolicy Rosji we wtorek. Tego typu spotkania są stosunkowo rzadkie. Jeszcze rzadziej zwiastują zaś coś dobrego. Najczęściej dochodzi do nich bowiem wówczas, gdy trzeba przekazać adwersarzom coś na tyle pilnego i ważnego, że nie ma czasu na tradycyjną drogę dyplomatyczną.

Co Amerykanie przekazali Rosjanom? Nie wiadomo. John Foreman, brytyjski attaché wojskowy w Moskwie w latach 2019–2022, sugerował na antenie BBC, że wizyta mogła mieć związek ze spekulacjami, że za niedawną aktywnością dronów z ładunkami wybuchowymi na lotniskach w Niemczech stoi Rosja. Cytowana przez „Wall Street Journal" Beth Sanner, była wiceszefowa Wywiadu Narodowego USA, oznajmiła, że Ratcliffe poleciał do Moskwy z prostym przekazem: „Znamy wasze plany i ostrzegamy: lepiej tego nie róbcie". Może chodzić o zamiary Rosji na Ukrainie, wielką mobilizację, plany militarnego przetestowania NATO lub o wsparcie Moskwy dla Teheranu. Z kolei dziennikarz Michael Weiss sugerował, że Ratcliffe mógł ostrzec Rosję przed eskalacją działań przeciw Polsce, krajom bałtyckim i skandynawskim.

Ostatnio szef CIA był w Rosji pięć lat temu. W listopadzie 2021 r. William Burns rozmawiał z sekretarzem Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej Nikołajem Patruszewem i Władimirem Putinem. Szczegółów spotkania wówczas również nie podano, ale dziś już wiemy, że CIA przestrzegała Rosjan przed planowanym atakiem na Ukrainę. Trzy miesiące później Rosja rozpoczęła inwazję na wielką skalę. W ubiegły wtorek rozmów szefa CIA z Putinem nawet nie było w planie... ©℗

eprasa.pl 488600ea51



Sąd w Monachium skazał Dietera S. na sześć lat więzienia za planowanie aktów sabotażu w Niemczech

FOT. ANGELIKA WARMUTH / REUTERS / FORUM

Szpiedzy z krainy białych niedźwiedzi



Jan Bogatko z Berlina

Były szef Federalnego Urzędu Ochrony Konstytucji, Thomas Haldenwang, stwierdził niedawno, że Władimir Putin uważa rosyjskich Niemców za swoich ludzi. Może to i przesada, ale z pewnością prezydent Rosji ma z czego wybierać. Odstraszających przykładów nie brak

To żadna nowość. Od dawna wiadomo, że Niemcy znajdują się na celowniku rosyjskich tajnych służb. Na domiar złego nie bez winy Berlina. Polityka od lat realizowała bowiem plan sprowadzenia „do domu" (dawniej mówiono „Heim ins Reich") Niemców nadwołżańskich. Bogata Republika Federalna Niemiec potrzebowała rąk do pracy. To, że rodacy z głębi Rosji nie znali „ojczystego" języka, nie stanowiło żadnej przeszkody. Wszystkim „wypędzonym" zapewniano za darmo w razie konieczności długie i zazwyczaj drogie kursy językowe. Oferowały je najlepsze szkoły językowe, z Instytutem Goethego na czele. Tak rodziły się talenty, którymi w końcu zainteresowała się Moskwa.

Nagle – ni stąd, ni z owąd – pojawiły się tu i tam, głównie w wielkich miastach, ale nie tylko – także w ważnych strategicznie punktach – kamery, przekazujące nakręcony film przez telefon komórkowy do centrali obcego wywiadu. Najciekawsze dla zleceniodawcy filmy powstają niedaleko fabryk zbrojeniowych lub zakładów o znaczeniu dla tej branży. FSB, GRU czy SWR pracują w Niemczech bardzo intensywnie, jak w najlepszych czasach zimnej wojny. Po wybuchu wojny rosyjsko-ukraińskiej nawet bardziej. Może to jednak coś więcej niż zimna wojna?

A jak reagują Niemcy na to ewidentne zagrożenie? Jak papierowy tygrys? Szef niemieckiego wywiadu, BND, Martin Jäger, zapewnia, że to się raz na zawsze zmieni. Na łamach prasy przekonuje, że Niemcy są przecież w stanie uderzyć mocniej, niż to sobie Kreml wyobraża. Rosyjskie operacje w zakresie szpiegostwa, sabotażu i dezinformacji, uderzające w akcje pomocy Berlina dla Ukrainy, infrastrukturę wojskową i elity polityczne, coraz bardziej są odczuwalne, mimo że o wielu z takich akcji media milczą. Czasami jednak do niemieckiej prasy dochodzą informacje o zatrzymaniu moskiewskich agentów, jak np. pewnego Ukraińca, aresztowanego w Hiszpanii i deportowanego do Niemiec, czy Rumunki, która w Bawarii obserwowała pewną firmę eksportującą drony. Ale to raczej wyjątki, bo zdaniem ekspertów od spraw bezpieczeństwa zagrożenie kryje się gdzie indziej.

ZAPROSZENI PRZEZ CARYCĘ KATARZYNĘ

W Niemczech mieszka – skromnie licząc – 2,5 mln tzw. wypędzonych Niemców rosyjskich. Wielu z nich przyjechało ze Związku Sowieckiego w ramach szeroko zakrojonej akcji przesiedleńczej bez znajomości języka ojczystego. Jedna czwarta z nich to Niemcy nadwołżańscy, potomkowie zaproszonych przez Katarzynę II chłopów z Bawarii, Badenii, Hesji, Palatynatu i Nadrenii do osiedlenia się w Rosji. Caryca, która jako panna nazywała się Zofia Augusta Fryderyka von Anhalt-Zerbst, była Niemką ze Szczecina, chętną do pomocy swoim rodakom w potrzebie. W latach 60. XVIII w. emigranci przybyli do Rosji, gdzie na Powołżu założyli 104 wsie. Po rewolucji bolszewickiej Niemcy nadwołżańscy otrzymali autonomię, a w 1924 r. utworzono dla nich odrębną socjalistyczną republikę sowiecką, którą Stalin zlikwidował ze znanego powodu w 1941 r. Mieszkało tam ok. 400 tys. osób o niemieckim pochodzeniu.

eprasa.pl 488600ea51

Skąd się zatem wzięło ponad 2 mln pozostałych „wypędzonych", zakładając, że wszyscy Niemcy nadwołżańscy opuścili Związek Sowiecki i jego następcę? Dobre pytanie. Trzeba być naiwnym, sądząc, że sowieckie czy rosyjskie służby specjalne nie maczały palców w sporządzaniu list repatriantów. Z drugiej strony nie oznacza to, że wszyscy emigranci z Rosji do Niemiec to pracownicy FSB. Były szef Federalnego Urzędu Ochrony Konstytucji, jak nazywa się niemiecki kontrwywiad, Thomas Haldenwang, stwierdził niedawno w mediach, mówiąc o operacjach szpiegowskich Kremla, że Władimir Putin uważa jednak rosyjskich Niemców za swoich ludzi. Może to i przesada, ale z pewnością ma on z czego wybierać. Odstraszających przykładów nie brak.

Dieter S. to jeden z nich. Rosyjski Niemiec, kremlowski patriota. Sąd w Monachium skazał go z końcem ubiegłego roku na sześć lat więzienia za plany sabotażu w Niemczech. Tych zrealizowanych aktów sabotażu w Niemczech (energetyka, telekomunikacja, kolej) jest bardzo dużo, ale lewicowe (bo innych nie ma) media w RFN skrzętnie omijają podawanie takich wiadomości. Podobno nie chcą wywoływać paniki. Ale poczta pantoflowa działa bez zarzutu i ludzie i tak się coraz bardziej boją. Wywoływanie takich nastrojów to też cel rosyjskich ekspertów od wojennej propagandy.

Dietera S. interesowały w związku z wojną na Ukrainie transporty wojskowe z Niemiec. W tym celu planował akcje sabotażowe na kolei (nie są one w Niemczech zdarzeniami wyjątkowymi, ale często tłumaczy się je ze znanych powodów kradzieżą kabli czy szyn na złom). Zależało mu na trasach przejazdu sprzętu wojennego dla Ukrainy, na rafineriach oraz amerykańskim poligonie Grafenwöhr. Asystentami Dietera S. w szpiegowskim rzemiośle byli dwaj inni Niemcy rosyjscy: Alexander J. i Alexander D. Za swe działania w przygotowaniu akcji, która nie doszła do skutku, dostali rok, względnie pół roku w zawieszeniu. Teraz pewnie mogą w spokoju zająć się dalszymi planami. Sędzia Jochen Bösl w zasadzie podzielił wniosek prokuratora, aczkolwiek wymierzył sprawcom łagodniejsze kary (żądał on dla głównego oskarżonego niemal dziewięciu lat więzienia, dla współoskarżonych – roku z zawieszeniem). Obrońcy agenturalnego tria domagali się uniewinnienia, wskazując na brak realizacji przestępczych planów i zapewne na trudne dzieciństwo. Wszyscy trzej oskarżeni przybyli do Niemiec jako dzieci przesiedleńców z Rosji pochodzenia niemieckiego w latach 1998–2001, będąc jeszcze nastolatkami.

POMAGACIE UKRAINIE? MUSICIE ZAPŁACIĆ

Ogłaszając wyrok w sprawie Dietera S., sędzia Bösl wskazał także na istotny epizod z życia terrorysty. Uznał za dowiedzione, że rosyjski Niemiec był powiązany z rosyjskimi służbami. Jako żołnierz w szeregach prorosyjskich separatystów w tzw. Donieckiej Republice Ludowej, kremlowskim tworze na okupowanej wschodniej Ukrainie, miał dobre relacje ze swoim ówczesnym komendantem, Akrą A. Po powrocie do Niemiec Dieter S. przeżywał – jak twierdził – problemy osobiste. Czy tak chciał uzyskać łagodny wyrok? Opowiadał o problemach z rozstaniem, brakiem pieniędzy i trudnościami w uzyskaniu zajęcia. To miało być powodem, dla którego odnalazł on byłego komendanta z Doniecka w 2023 r., oferując swoje usługi jako szpieg i sabotażysta za odpowiednim wynagrodzeniem. Oferta spotkała się z życzliwym przyjęciem ze strony byłego towarzysza walki, który aktualnie dowodzi rosyjską brygadą operującą na wschodniej Ukrainie. Akra A. pracuje także dla rosyjskich tajnych służb. Dieter S., „wypędzony" z Rosji Niemiec, otrzymał od niego agenturalne zlecenia. Zgodnie z otrzymanym zamówieniem przystąpił do pracy. Zdobył niezbędne informacje, zrobił zdjęcia i filmy wideo. W oparciu o zebrany materiał (sąd nie ustalił, kto mu w tym pomagał, ale wielu rosyjskich Niemców pracuje na kolei czy w innych punktach strategicznych w okresie wojny, a taka się przecież toczy w Europie) przystąpił do sporządzania planów aktów sabotażu na szlakach kolejowych prowadzących z Niemiec na Ukrainę.

Cel był oczywisty: operacje te, w wykonaniu Dietera S. i jego komórki, miały na uwadze z jednej strony uderzenie w niemiecką gospodarkę, z drugiej zaś w poczucie bezpieczeństwa Niemców. Przekaz był następujący: pomagacie Ukrainie, a taka jest za to cena, jaką musicie płacić. „Mówiąc wprost: jeśli ktoś dopuszcza się aktów sabotażu przeciwko infrastrukturze wojskowej i cywilnej, to ludzie w Niemczech powinni się zastanowić, czy naprawdę mądre jest militarne wspieranie Ukrainy" – mówi sędzia Bösl o intencji terrorystów. Główny oskarżony Dieter S. oświadczył podczas rozprawy, że… w ogóle nie walczył w Doniecku. Chwalił się jedynie swoim wojennym życiorysem, bo „chciał mieć powodzenie u kobiet". Nie mówił u jakich, ale z jego wypowiedzi wynika, że mieszkał w rosyjskim getcie. Takich jest sporo w wielkich niemieckich miastach – w Berlinie, Hamburgu czy w Bonn. Program telewizyjny „Tagesschau" podawał, że w telewizji niemieckiej ZDF zobaczyć można było liczącego dziś 42 lata Dietera S. w mundurze bojowym rosyjskiej brygady na Ukrainie.

Nie tylko Niemcy rosyjscy dali się zwerbować jako agenci Kremla. Dla zatarcia śladów Rosja posługuje się coraz częściej cudzoziemcami z obcymi paszportami, jak Niemką z Ukrainy, Iloną W. Współczesna Mata Hari z kolei dzięki swym kontaktom w kręgach politycznych Berlina zbierała na zamówienie Moskwy informacje, także dotyczące przemysłu zbrojeniowego. Z kolei w Kolonii i Konstancji zatrzymano trzech Ukraińców. Prokurator zarzuca im, że w przesyłkach towarowych dla Ukrainy umieszczali ładunki zapalające i wybuchowe. Miały one prowadzić do pożarów w pociągach. Centralą koordynującą zamachy jest ambasada Rosji w Berlinie. Mimo wydalenia 40 rosyjskich dyplomatów ze stolicy Niemiec (to ewenement na światową skalę!) nadal, jak za sowieckich czasów, agenci znajdują oparcie w przedstawicielstwie dyplomatycznym. Z badań przeprowadzonych przez CORRECTIV w tym roku (to firma medialna z siedzibą w Essen i w Berlinie zajmująca się researchem) wynika, że wyżsi oficerowie GRU, jak attaché wojskowy Aleksiej Klimow, pod fałszywą tożsamością (w tym jako Aleksander Pawlenko) przemycani są do Berlina.

Niemcy wydaliły kilka lat temu 50 rosyjskich szpiegów. Ministerstwo Spraw Zagranicznych zdementowało te doniesienia w odpowiedzi na pytanie gazety „Berliner Kurier". Wyjaśniło jednak, że wywierało presję na Moskwę, aby wycofała część swoich szpiegów. Pełna kurtuazja. Według doniesień gazety „Frankfurter Allgemeine Zeitung" liczba szpiegów sięgała spokojnie 50. Dziś należałoby ją potroić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 488600ea51

Brazylia na rozdrożu



Prezydent Argentyny (z lewej) pod koniec lipca osobiście brał udział w inauguracji kampanii senatora Flávia Bolsonaro, 45-letniego syna byłego prezydenta Brazylii Jaira Bolsonaro

FOT. JEAN CARNIEL / REUTERS / FORUM



Piotr Włoczyk

W Ameryce Łacińskiej powstaje swego rodzaju prawicowa „międzynarodówka". Pierwsze skrzypce chce w niej grać – z błogosławieństwem Donalda Trumpa – prezydent Argentyny. Czy Brazylia dołączy wkrótce do tego bloku?

Najbliższe wybory w Argentynie odbędą się dopiero jesienią przyszłego roku, ale Javier Milei cały czas jest na kampanijnym szlaku. A właściwie na kampanijnych szlakach. Swojej własnej kampanii Milei jeszcze wprawdzie nie rozpoczął, ale libertariański prezydent Argentyny cały czas mocno angażuje się w kampanie wyborcze w kolejnych krajach Ameryki Południowej. Szczególnie czerwiec był dla niego pod tym względem emocjonujący. W Kolumbii wyścig o prezydenturę wygrał wtedy prawicowiec Abelardo de la Espriella (zapowiada „wypatroszenie" lewicy), zastępując nietolerowanego przez Donalda Trumpa, mocno lewicowego Gustava Petra (Kolumbijczyk ostro krytykował Trumpa i prowadził zbyt liberalną – zdaniem Białego Domu – politykę wobec karteli narkotykowych), natomiast w Peru do władzy w końcu – za czwartym razem – doszła Keiko Fujimori, córka Alberta Fujimoriego, który rządził tym państwem żelazną ręką w latach 1990–2000 (udało mu się zdławić skrajnie lewicowe partyzantki, ale mocno przy tym ograniczył wolności obywatelskie).

WSPARCIE Z BUENOS AIRES

Trump i Milei byli zachwyceni wynikami tych wyborów, a teraz obaj prawicowi prezydenci biorą się do kampanii wyborczej w Brazylii. Na razie nic nie wskazuje na to, żeby przywódca USA miał osobiście brać udział w wiecach kandydata prawicy na stanowisko prezydenta Brazylii; tę rolę chętnie wziął na siebie Milei. Prezydent Argentyny pod koniec lipca osobiście brał udział w inauguracji kampanii senatora Flávia Bolsonaro, 45-letniego syna byłego prezydenta Jaira Bolsonaro. Ojciec kandydata „odsiaduje" w domu 27-letni wyrok za próbę przeprowadzenia zamachu stanu w 2023 r., co miało uniemożliwić przejęcie władzy przez obecnego, lewicowego prezydenta Luiza Inácio Lulę da Silvę (znanego po prostu jako Lula).

Argentyński przywódca pojawił się na scenie w São Paulo, gdzie Partia Liberalna, kierowana przez Bolsonaro juniora, namaściła go na swojego kandydata w wyborach prezydenckich. „Witam wszystkich! To ja, lew!" – krzyczał ze sceny Milei. Wraz z nim do Brazylii wybrała się jego najbliższa współpracowniczka, siostra Karina, która jest szefową jego gabinetu.

eprasa.pl 488600ea51

„W Argentynie widzieliśmy, jak lewackie gówna pogrążyły nas w biedzie – wykrzykiwał w São Paulo Milei. – Droga do socjalizmu jest zawsze drogą do totalitaryzmu. Brazylia nie doświadczyła jeszcze najgorszych konsekwencji tego modelu, ale może ich doświadczyć, jeśli nie zdoła zmienić kursu. Ufamy ci, Flávio, że zdołasz powstrzymać socjalistyczne śmieci! […] Dziś socjalizm jest wykorzeniany w Argentynie, Kolumbii, Chile i Ekwadorze, a mamy nadzieję, że w październiku stanie się tak również w Brazylii".

Milei nie powstrzymał się też przed osobistym atakiem na Lulę, nazywając go „złodziejem", ale dostało się również sędziemu, który uniemożliwił argentyńskiemu prezydentowi odwiedzenie Bolsonaro seniora w jego domu (sędzia został określony jako „łysy śmieć").

Bolsonaro wydaje się zachwycony wsparciem płynącym z Buenos Aires. Kandydat brazylijskiej prawicy przejmuje nawet kampanijną narrację Mileia, ale zamiast piły łańcuchowej Argentyńczyka używa nieco subtelniejszego symbolu – nożyczek. Przekaz do wyborców jest jednak ten sam: trzeba wyciąć niepotrzebne instytucje generujące koszty, a także odciąć od państwowej kasy ludzi, którzy z korupcji uczynili sobie sposób na życie.

PUNKT ODNIESIENIA

Komentatorzy specjalizujący się w sprawach latynoamerykańskich podkreślają, że przez ten wielki region przechodzi istna prawicowa fala i gra toczy się obecnie o to, kto będzie jej liderem, kto będzie nadawał ton w tym środowisku.

„Milei ma nadzieję, że wybory prezydenckie w Brazylii umocnią blok rządów państw latynoamerykańskich, które zaliczają się do sił konserwatywnych, prawicowych i ultraprawicowych – ocenia lewicowy hiszpański dziennik »El País«. – W tym regionalnym bloku Milei chce odgrywać rolę lidera lub głównego punktu odniesienia, wykorzystując do tego swój bezwarunkowy sojusz z administracją Donalda Trumpa w Stanach Zjednoczonych".

Poza ostatnimi nabytkami tej latynoamerykańskiej prawicowej „międzynarodówki" w postaci Kolumbii i Peru prawicowcy w ostatnich latach przejęli rządy w Boliwii (rządzi tam konserwatysta Rodrigo Paz, który ruguje resztki ideologii lewicowca Evo Moralesa), w Chile (José Antonio Kast) i w Ekwadorze (38-letni prezydent Daniel Noboa wspierał w czasie kampanii wyborczej w Kolumbii prawicowca Abelarda de la Espriellę, obiecując w razie jego wygranej obniżenie ceł na produkty północnego sąsiada), Hondurasie (Nasry Asfura), Salwadorze (Nayib Bukele – zasłynął z bezwzględnej walki z gangami, co bardzo poprawiło bezpieczeństwo w tym kraju), Panamie (José Raúl Mulino – poszedł na daleko idące ustępstwa w czasie rozmów z Amerykanami o Kanale Panamskim i ograniczył wpływy Chin), Kostaryce (Laura Fernández Delgado chce zaostrzyć i tak bardzo restrykcyjne prawo antyaborcyjne) czy Paragwaju (Santiago Peña jest bardzo proamerykański i słynie jako wielki przeciwnik rewolucji obyczajowej).

Milei nazwał Lulę „złodziejem", nawiązując najwyraźniej do wyroku z 2017 r., który posłał obecnego prezydenta Brazylii do więzienia za korupcję na ponad dziewięć lat. Jednak w 2021 r. Sąd Najwyższy unieważnił wyroki wydane w sprawie Luli, co otworzyło mu drogę do ubiegania się o trzecią kadencję (pierwsze dwie sprawował w latach 2003–2010).

Milei tym chętniej angażuje się w kampanię głównego przeciwnika Luli, że sam zarzuca liderowi Brazylii wpływanie na wybory w 2023 r. w Argentynie, które ostatecznie i tak wygrał. Gość z Buenos Aires krzyczał też na wiecu Flávia Bolsonaro, że trzeba powstrzymać tych, którzy „rozsiewają komunizm" – miał tu na myśli reżim Castro, a także samego Lulę.

Obalenie reżimu Castro jest na szczycie listy priorytetów nie tylko Trumpa, lecz także prezydenta Argentyny. Ścisła współpraca w tej sprawie w ramach prawicowej latynoamerykańskiej „międzynarodówki" może przybliżyć ten moment.

LULA OBROŃCA?

Trump otwarcie popiera dziś Flávia Bolsonaro, choć jeszcze niedawno wydawało się, że amerykański prezydent znalazł modus vivendi z Lulą. W maju przywódca Brazylii pojechał do Waszyngtonu na ważne spotkanie z Trumpem, by dogadać się w kwestii napięć handlowych i politycznych (Trump nakładał na Brazylię sankcje za stawianie Jaira Bolsonaro przed wymiarem sprawiedliwości z zarzutem próby przeprowadzenia zamachu stanu). Po komunikatach z tego spotkania można było wnosić, że obaj liderzy otwierają nowy rozdział we wzajemnych relacjach.

A jednak dwa miesiące później sytuacja stała się jeszcze bardziej zaognio-na niż przed wizytą Luli. W związku ze wsparciem Trumpa dla Bolsonaro juniora i próbą wysłania przez Waszyngton do Brazylii dwóch dyplomatów na rozmowy o technikaliach tamtejszego procesu wyborczego administracja Luli blokuje uznanie nowego amerykańskiego ambasadora, co z kolei spotkało się z unieważnieniem wizy brazylijskiej ambasador w Waszyngtonie (nie musi jeszcze wyjeżdżać z USA, ale będzie miała problem, gdyby chciała wjechać na terytorium Ameryki). Podobnie wrze w relacjach dyplomatycznych Brazylii i Argentyny. Po występie Mileia na wiecu Bolsonaro juniora i rzuconych przez niego wyzwiskach pod adresem Luli brazylijskie władze zdecydowały się odwołać na konsultacje swojego ambasadora w Buenos Aires.

Odbicie Brazylii z rąk lewicy byłoby wielkim zwycięstwem prawicowej, latynoamerykańskiej „międzynarodówki" pod wodzą Mileia. W końcu ten jeden kraj liczy więcej mieszkańców niż cała prawicowa reszta razem wzięta. Jeżeli doszłoby do realizacji takiego scenariusza, to ostatnim większym bastionem latynoamerykańskiej lewicy zostałby Meksyk.

Sondaże wyglądają coraz bardziej korzystnie dla Bolsonaro juniora – pod koniec sierpnia Lula stracił kilkupunktową przewagę i obecnie można mówić o remisie – więc odbicie Brazylii jest jak najbardziej możliwe. Lula będzie się teraz starał przedstawiać Brazylijczykom jako obrońca suwerenności – człowiek, który powstrzyma ingerencję ze strony obcych stolic. Przykład Kanady, gdzie w zeszłym roku konserwatyści ponieśli zaskakującą klęskę, ponieważ kojarzony z nimi Trump zbyt mocno starał się „docisnąć" swojego północnego sąsiada, pokazuje, że również lewica może zostać uznana przez większość wyborców za gwaranta utrzymania niezależności kraju. Za dwa miesiące przekonamy się, czy ten sam mechanizm zadziała w przypadku największego państwa Ameryki Łacińskiej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 488600ea51



Jacek Przybylski



Ameryka chce zagłodzić ajatollahów

Stany Zjednoczone nie potrafią obecnie militarnie pokonać Iranu. Biały Dom zamierza więc wykończyć reżim ajatollahów gospodarczo, skazując Irańczyków na całkowite odizolowanie od światowej gospodarki i systemu finansowego. – Stany Zjednoczone rozpoczną przeciw Iranowi wojnę gospodarczą na niespotykaną dotąd skalę – grzmiał prezydent Donald Trump. – To ekonomiczny D-Day – przekonywał sekretarz skarbu Scott Bessent. Czy operacja mająca przypominać udany szturm aliantów ma szanse na sukces?

Gdy 28 lutego Izrael i Stany Zjednoczone rozpoczęły bombardowanie Iranu, błyskawicznie zabijając przywódców politycznych oraz całe ówczesne dowództwo wojskowe, optymistycznie nastawieni inwestorzy i analitycy prognozowali, że operacja zakończy się w ciągu maksymalnie kilku tygodni. Równie optymistycznie czas trwania wojny szacował gospodarz Białego Domu. – To zawsze był proces czterotygodniowy. Zakładaliśmy, że to potrwa ok. czterech tygodni. Zawsze chodziło o czterotygodniowy proces, więc – jakkolwiek silnym i dużym krajem jest Iran – zajmie to cztery tygodnie lub mniej – mówił na początku marca w wywiadzie dla brytyjskiego „Daily Mail" prezydent Donald Trump.

Gdy zamykamy ten numer tygodnika, jest 28 sierpnia. Wojna trwa więc już sześć miesięcy (26 tygodni) i nic nie wskazuje na to, aby konflikt z Iranem miał się zbliżać ku końcowi. Wydaje się, że Amerykanom w tej największej operacji od dwóch dekad nadal brakuje wizji i jasnego określenia celu bliskowschodniej wojny. Konflikt w Iranie z regionalnego konfliktu zmienia się zaś w globalny

eprasa.pl 488600ea51



Prezydent Donald Trump (w środku) i sekretarz skarbu Scott Bessent (pierwszy z lewej) próbują odciąć władze w Teheranie od źródeł dochodów

FOT. SERDAR OZSOY/GETTY IMAGES

test militarnej, politycznej i gospodarczej siły. Od jego wyniku zależą nie tylko ceny ropy i gazu czy ceny innych towarów transportowanych przez cieśninę Ormuz, lecz także nowy układ sił na geopolitycznej szachownicy.

OPERACJA „GOSPODARCZY WYRZUTEK"

Na razie wydaje się, że Trump utknął w Iranie niczym Putin na Ukrainie. Tymczasem w Ameryce zbliżają się listopadowe wybory połówkowe do Kongresu. Do tego czasu gospodarz Białego Domu prawdopodobnie będzie więc unikał nowych operacji militarnych, aby nie ryzykować, że doniesienia o śmierci kolejnych amerykańskich żołnierzy lub rosnących cenach paliw na amerykańskich stacjach zupełnie zniweczą szanse Partii Republikańskiej na dobry wynik w głosowaniu.

Najnowsza operacja Stanów Zjednoczonych wymierzona w Iran nosi kryptonim „Economic Outcast", czyli „Gospodarczy Wyrzutek". „Każdy kraj, który pozwoli swoim instytucjom finansowym, przedsiębiorstwom, lotniskom lub podmiotom rządowym zapewnić Iranowi jakąkolwiek formę wsparcia, poniesie OGROMNE konsekwencje gospodarcze" – zagroził Trump w mediach społecznościowych. – Nasza siła finansowa jest niesamowita. Zmierzamy ku wielkiemu zwycięstwu. Wygraliśmy w Wenezueli i tutaj wkrótce również zwyciężymy – zapowiedział w ubiegłym tygodniu prezydent Donald Trump podczas rozmowy z konserwatywnym komentatorem Glennem Beckiem.

Kłopot z nowym planem Trumpa jest taki, że dla Irańczyków ekonomiczna presja nie jest niczym nowym. Iran już od 1979 r. – czyli od rewolucji islamskiej – jest objęty potężnymi sankcjami gospodarczymi. Aby plan miał jakiekolwiek szanse zadziałać, musi być więc wyjątkowo konsekwentnie wprowadzony w życie i obejmować wszystkie kluczowe źródła finansowania władz w Teheranie. Amerykanie zdają sobie z tego sprawę. Operacja obejmuje więc nie tylko handel ropą naftową, lecz także sektor finansowy, żeglugę, lotnictwo, aktywa cyfrowe, złoto etc. – Rozpoczynamy ekonomiczny szturm przeciw każdemu pojedynczemu powiązaniu finansowemu Iranu na tej planecie. Naszym celem jest przerwanie każdej ekonomicznej linii ratunkowej, która podtrzymuje ten reżim dopóty, dopóki Iran nie zostanie całkowicie sam – oznajmił sekretarz skarbu Scott Bessent.

Waszyngton jasno zakomunikował swoim sojusznikom na całym świecie, że muszą zerwać jakiekolwiek stosunki gospodarcze z Teheranem. A jeśli tego nie zrobią, to narażą się na retorsje Stanów Zjednoczonych, czyli sankcje wtórne wymierzone w zagraniczne firmy i instytucje, które wbrew sankcjom nadal prowadzą interesy z Iranem. Jak ogłosił Biały Dom, prezydent Donald Trump telefonicznie zwrócił się do światowych przywódców z konkretnymi prośbami o zaprzestanie współpracy z Iranem. W komunikacie nie wymieniono jednak żadnych nazw państw ani nie ogłoszono żadnego terminu, do którego wszelkie kontakty powinny zostać zerwane.

Na razie Departament Skarbu ogłosił nowe sankcje, które zostały nałożone na ok. 60 firm, osób i statków działających m.in. w Chinach, Zjednoczonych Emiratach Arabskich, Singapurze i Szwajcarii.

CHINY GROŻĄ ODWETEM

Największym i najważniejszym partnerem handlowym Iranu są Chiny. Państwo Środka odpowiada za ponad jedną trzecią całej wymiany handlowej tego kraju i jest głównym odbiorcą irańskiej ropy naftowej (szacuje się, że trafia tu ponad 80 proc. irańskiego eksportu ropy naftowej realizowanego drogą morską). Według danych Światowej Organizacji Handlu (WTO) wartość chińskiego importu z Iranu wyniosła w 2024 r. 18 mld dol. (poza węglowodorami Irańczycy dostarczają też Chińczykom m.in. produkty chemiczne). Z kolei Chiny eksportują do Iranu m.in. samochody, elektronikę oraz maszyny przemysłowe. Wartość eksportu według WTO wyniosła w 2024 r. 14,5 mld dol.

Jak dotąd Chińczycy konsekwentnie ignorowali sankcje ogłaszane przez Amerykanów (sankcje wtórne za import irańskiej ropy mogą uderzać m.in. w pośredników, ubezpieczycieli, instytucje finansowe umożliwiające transakcje czy firmy transportowe) i na razie nic nie wskazuje na to, aby hucznie ogłoszony „ekonomiczny D-Day" mógł w najbliższym czasie istotnie wpłynąć na zmianę ich postawy. 25 sierpnia rzecznik chińskiego MSZ Lin Jian wprost ogłosił, że Chiny będą kontynuować współpracę z Iranem mimo nowej kampanii sankcji ze strony Stanów Zjednoczonych. Władze w Pekinie podkreśliły, że współpraca z Iranem jest zgodna z prawem międzynarodowym i nie powinna być zakłócana przez nakładanie „bezprawnych i jednostronnych sankcji". I zapowiedziały podjęcie wszelkich niezbędnych kroków w celu ochrony swoich praw i interesów gospodarczych. – Wojna gospodarcza i maksymalna presja nie są żadnym rozwiązaniem. Przeciwnie, jedynie podsycają napięcia i skutkują rozprzestrzenianiem się ryzyka, co zakłóci globalny porządek gospodarczy i finansowy oraz uderzy w uzasadnione prawa i interesy innych państw – zaznaczył rzecznik chińskiego MSZ Lin Jian.

eprasa.pl 488600ea51

W maju br. chińskie Ministerstwo Handlu (MOFCOM) wydało historyczny nakaz blokujący amerykańskie sankcje wobec pięciu chińskich rafinerii typu teapot za handel ropą z Iranu, uznając je za naruszenie prawa międzynarodowego i podstawowych norm regulujących stosunki międzynarodowe. Tym samym władze w Pekinie zabroniły jakimkolwiek podmiotom w Chinach uznawania, wdrażania lub przestrzegania amerykańskich sankcji. Jak zauważył wówczas dziennik „Renmin Ribao", decyzja chińskich władz sprawiła, że globalne firmy znalazły się w bezprecedensowej pułapce: za respektowanie amerykańskich sankcji grozi im odwet ze strony Chin, a za ich ignorowanie – restrykcje nakładane przez USA.

Najnowsza odpowiedź Państwa Środka – wydawałoby się, że stosunkowo łatwa do przewidzenia przez światłych strategów w Białym Domu – podważa sens „największej ofensywy finansowej, jaką Stany Zjednoczone kiedykolwiek przeprowadziły przeciwko Iranowi". Próba użycia sankcji karnych przez USA wobec Chin mogłaby z kolei doprowadzić do zerwania kruchego rozejmu, który panuje od kilkunastu miesięcy w chińsko-amerykańskiej wojnie handlowej. Na wszelki wypadek Pekin konsekwentnie zmniejsza inwestycje w amerykańskie obligacje skarbowe i zastępuje rozliczenia w dolarach juanami. Dzięki temu Chiny są w stanie sprostać presji USA. Jeśli zaś Amerykanie spróbują nagle zbyt mocno gospodarczo zaatakować Chińczyków, to ci mogą ograniczyć im dostęp do pierwiastków ziem rzadkich niezbędnych do produkcji elektroniki, turbin wiatrowych, pojazdów elektrycznych czy nowoczesnego uzbrojenia. Świadomość tej zależności sprawi, że urzędnicy w Waszyngtonie będą zapewne bardzo ostrożnie egzekwować nałożone przez siebie sankcje. „Wielka ofensywa" ekipy Trumpa może się okazać kolejnym spektakularnym niewypałem również dlatego, że realizowana przez amerykańską marynarkę wojenną blokada morska irańskich portów i statków wydaje się o wiele skuteczniejsza. W przypadku Chin doprowadziła ona do spadku wielkości dostaw z 1,57 mln baryłek ropy dziennie w lutym br. do 534 tys. w sierpniu. Prezes Banku Centralnego Abdolnaser Hemmati mówił zaś w ubiegłym tygodniu na spotkaniu z przedstawicielami irańskiego biznesu, że eksport ropy naftowej, główne źródło dotychczasowych dochodów Iranu w walucie obcej, został niemal całkowicie wstrzymany.

Waszyngton musi też znaleźć sposób na przekonanie do swojego planu nie tylko największego rywala na globalnej scenie, lecz także regionalnych sojuszników, takich jak Turcja czy Pakistan. Turcy znajdują się zarówno w czołówce największych importerów produktów z Iranu (rurociągiem Tebriz-Ankara płynie do nich gaz, kupują też produkty petrochemiczne, żywność i materiały budowlane), jak i największych eksporterów (sprzedają maszyny, produkty chemiczne, samochody czy towary przemysłowe). Co prawda, wymiana handlowa między dwoma krajami zmniejszyła się po izraelsko-amerykańskiej inwazji na Iran, ale Ankara może niechętnie reagować na żądania Waszyngtonu, zważywszy na to, że gospodarka turecka i tak ponosi znaczące koszty wojny, której Turcja nigdy nie chciała. Wymiana handlowa między Iranem a Turcją w pierwszej połowie obecnego roku była szacowana na 3,1 mld dol. Amerykanom może jednak sprzyjać kalendarz polityczny: kolejne wybory w Turcji zaplanowano na 2028 r., a wśród najważniejszych kandydatów wymienia się syna prezydenta Bilala Erdoğana lub jego zięcia Selçuka Bayraktara. W tej sytuacji jest wielce prawdopodobne, że przywódca Turcji nie będzie chciał ryzykować pogorszenia relacji z Trumpem.

Zwłaszcza że inny sojusznik USA – Zjednoczone Emiraty Arabskie (ZEA) – ogłosił już wstrzymanie wszelkiej wymiany handlowej i transakcji finansowych z Teheranem. To ważna decyzja, ponieważ przed obecną wojną ZEA utrzymywała z Iranem wymianę handlową wartą ponad 20 mld dol.

A co z Polską? Jeszcze w ubiegłej dekadzie Orlen i Lotos chwaliły się kontraktami na dostawę ropy z Iranu, które miały uniezależnić nasz kraj od dostaw z Rosji. Obecnie wartość polskich obrotów handlowych z Iranem szacuje się na zaledwie ok. 60 mln euro.

„KULAWA KACZKA"?

Problemy z egzekwowaniem sankcji nie oznaczają jednak, że odtrąbiona z wielkim hukiem ofensywa gospodarcza Stanów Zjednoczonych skończy się taką klapą, jak gdyby żołnierze próbujący pobić Niemców w czasie drugiej wojny światowej zamiast ostrej amunicji wzięli ze sobą do Normandii jedynie kapiszony. Nowe sankcje w połączeniu z blokadą morską mogą bowiem jeszcze bardziej utrudnić życie mieszkańców Iranu i doprowadzić do wybuchu protestów. Jak podała telewizja Al-Dżazira, władze w Teheranie ostrzegły już Irańczyków, że nadchodzi ciężki rok, ale nie tracą wiary w zwycięstwo. – Mamy własne narzędzia i znamy zasady tej gry – powiedział minister gospodarki Ali Madanizadeh, nawiązując do wieloletniego doświadczenia Iranu w obchodzeniu sankcji. Irańczycy od lat robią, co mogą, aby być niemal samowystarczalni. Na przykład niemal 85 proc. produktów rolnych potrzebnych do wyżywienia 90 mln mieszkańców pochodzi z Iranu.

Madanizadeh wyraził też przekonanie, że Chiny i Rosja nie ulegną amerykańskiej presji. Mimo to bardzo prawdopodobne wydają się dalszy wzrost inflacji (która i tak jest już dwucyfrowa), recesja gospodarcza (eksperci Międzynarodowego Funduszu Walutowego szacują, że w tym roku PKB Iranu zmniejszy się o ponad 5 proc. w porównaniu z 2025 r.) i szybki spadek siły nabywczej większości mieszkańców kraju. Jak zauważyła agencja AP, przez ostatnie pół roku ceny ryżu wzrosły o ok. 60 proc., a wołowiny o ponad 150 proc. Z kolei za amerykańskiego dolara na irańskim wolnym rynku trzeba już zapłacić ponad 2,05 mln riali (to historyczny rekord), choć oficjalny kurs wynosi ok. 1,5 mln riali.

Jeśli Biały Dom nie skłoni szybko ajatollahów do kapitulacji, to Partia Republikańska może ponieść dotkliwą porażkę w wyborach połówkowych. Wywołany wojną na Bliskim Wschodzie wzrost kosztów życia sprawił bowiem, że zdecydowana większość amerykańskiego społeczeństwa negatywnie ocenia prezydenturę Donalda Trumpa. Niezależnie od wyniku listopadowych wyborów w USA warto jednak pamiętać, że Trump – nawet jeśli stanie się wkrótce „kulawą kaczką" – pozostanie naczelnym dowódcą amerykańskich sił do 20 stycznia 2029 r. do godz. 12. Aby uratować twarz wybitnego stratega, może więc spróbować zacząć kolejną wojnę z nadzieją, że nowy konflikt przyniesie mu wreszcie spektakularne zwycięstwo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 488600ea51



PROSTO ZYGZAKIEM

Obniżyć składkę zdrowotną!

PIOTR GABRYEL

Jak „nie zmarnować" afery Warszawskiego Szpitala Południowego, która zaczęła się nibyniewinnie, bo od afery jednego z jej lekarzy? Tego od 1,6 mln zł zainkasowanych w ciągu tylko jednego roku tylko w tym jednym szpitalu (bo były podobno jeszcze trzy inne). A która to afera rozrastać się zaczyna do rozmiarów ośmiornicy oplatającej wiele (wszystkie?) szpitali w Polsce, bo co rusz dowiadujemy się, iluż to lekarzy milionerów, zarabiających po ponad milion albo i po ponad dwa miliony złotych co roku, wysysa te pieniądze a to z tego, a to z tamtego szpitala. Przy okazji psując opinię tysiącom lekarzy oddanych swej pracy bez oglądania się na bajońskie zarobki.

Otóż „niezmarnowanie" tej afery polegałoby na systemowym uporaniu się z owym wychodzącym na jaw, porażającym marnotrawstwem, sprzyjającym niesłychanemu kombinatorstwu, a zapewne także zwykłemu złodziejstwu pieniędzy podatników i pacjentów. A, niestety, „marnowanie" afer jest specjalnością polskich polityków. „Marnowanie" afer, czyli ograniczanie się w przypadku ich pojawienia się wyłącznie do prostych działań „pod publiczkę", obliczonych na szybki poklask zamiast na systemową naprawę danej instytucji lub dziedziny życia.

I, niestety, zanosi się na to, że tak będzie także tym razem, czyli w przypadku afery Szpitala Południowego, a tak naprawdę całego polskiego państwowego lecznictwa, ze wszystkimi jego obnażanymi patologiami – z wypłacanymi sobie i kolegom gigantycznymi pensjami, z patologicznym podsyłaniem sobie pacjentów z własnych gabinetów prywatnych do państwowych szpitali, z salonikami VIP dla udzielnych władców politycznych, ludzi zamożnych i znajomków itp., itd.

Albowiem znowu, zamiast sięgnąć po dobrze znane rozwiązanie systemowe, słyszymy niemal jedynie o spektakularnych trickach, które mają odwrócić uwagę opinii publicznej od istoty problemu i zająć ją „igrzyskami". Bo przecież żadne urzędowe kontrole wysokości pensji i liczby godzin pracy lekarzy niczego tu nie załatwią.

A skuteczne rozwiązanie tego problemu leży gotowe na stole. Wystarczy, żeby rząd wniósł pod obrady Sejmu, po wprowadzeniu niezbędnych zmian, ustawę o kasach chorych, która już obowiązywała w Polsce (w latach 1999–2003), i doprowadził do jej ponownego wejścia w życie. A konkurujące ze sobą o nasze składki kasy chorych zrobią swoje – będą pilnowały odpowiedniej jakości oraz ilości usług medycznych i wymuszą oszczędności na szpitalach; w tym na płacach lekarzy.

A symbolem powrotu kas chorych powinno być jednoczesne obniżenie, choćby niewielkie – np. z 9 proc. do 8 proc. – wysokości składki zdrowotnej. ©℗



NOTATNIK MALKONTENTA

Ukraińska piąta kolumna

ŁUKASZ WARZECHA

Głośny materiał, opublikowany przez Sławomira Mentzena na jego kanale w cyklu „Sprawa dla Mentzena", opowiadający o pobiciu polskiego nastolatka przez ukraińskiego rówieśnika w Suwałkach, pokazał problem, z którego mało kto zdaje sobie sprawę. W filmie wypowiada się Anna Samoilenko, szefowa suwalskiego Związku Ukraińców. Wypowiada się w tonie skandalicznym. Jej zdaniem zalew rzekomej antyukraińskiej ksenofobii wynika z tego, że przedstawiciele polskich nizin społecznych zazdroszczą Ukraińcom dobrego statusu, co wykorzystuje rosyjska propaganda, a wzmacnia prezydent Nawrocki. Charakterystyczne, że pani Samoilenko wypowiada te brednie wprost do kamery, najwyraźniej bez żadnej refleksji na temat tego, jaki efekt u znacznej części odbiorców to wywoła.

Słuchając Ukrainki z Suwałk, można mieć poczucie, że jest to przedstawicielka piątej kolumny

Szefowa związku Ukraińców, która ewidentnie utożsamia się z narodem ukraińskim, a nie polskim, chwali się zarazem, że mieszka w naszym kraju od dekady i ma już polskie obywatelstwo oraz głosuje w wyborach. Uzyskała je dzięki Karcie Polaka. To luka, której nie dostrzegł, jak się zdaje, nawet Karol Nawrocki, proponując jakiś czas temu wydłużenie czasu oczekiwania na uznanie za obywatela polskiego (obecnie trzy lata zezwolenia na pobyt stały).

Pani Samoilenko wykorzystała zbieg trzech ustaw: o Karcie Polaka, o cudzoziemcach i o obywatelstwie polskim. Aby uzyskać kartę, wystarczy wykazać, że miało się polskiego przodka (określonego w ustawie) oraz podpisać przed konsulem lub wojewodą deklarację o przynależności do narodu polskiego. Nikt tu niczego nie weryfikuje, deklaracja jest świstkiem papieru, który kombinator podpisze bez wahania. Na podstawie Karty Polaka bez problemu uzyskuje się prawo stałego pobytu w Polsce, a już po roku można zostać uznanym za obywatela polskiego.

Pytanie brzmi: ile osób w typie pani Samoilenko, faktycznie lojalnych wobec innego państwa i innego narodu, posłużyło się tą ścieżką, aby dostać obywatelstwo wraz z prawem głosowania w wyborach? Jest to pytanie bardzo poważne, bo – słuchając Ukrainki z Suwałk – można mieć poczucie, że jest to przedstawicielka piątej kolumny. Jak owa piąta kolumna jest liczna? ©℗

eprasa.pl 488600ea51



Tomasz Cukiernik



Koncepcja Mitteleuropy wciąż żywa

Polska stała się integralną częścią niemieckiej strefy gospodarczej, w której zdecydowanie dominuje silniejszy partner. Ostatni okres to nie tyle wzrost zależności, ile jej utrwalenie. Choć oczywiście relacja stała się dwustronna, to jednak jest asymetryczna z niekorzyścią po stronie polskiej

Członkostwo Polski w Unii Europejskiej prowadziło do coraz silniejszego powiązania polskiej gospodarki z niemiecką – największą gospodarką Europy. Już przed wejściem do UE Niemcy były najważniejszym partnerem handlowym Polski, jednak po 2004 r. znaczenie tego kierunku wyraźnie wzrosło. Zniesienie części barier handlowych i ujednolicenie regulacji na wspólnym rynku oraz rozwój infrastruktury transportowej sprawiły, że wzajemne powiązania gospodarcze można było rozwijać znacznie łatwiej i taniej.

HANDEL

Polska jest dziś dla Niemiec ważniejszym klientem niż Chiny, Japonia, Indie, większość krajów Europy. Jeszcze w 2020 r. eksport z Niemiec do Chin był o niemal połowę wyższy niż do Polski, w 2023 r. Chiny były wyraźnie ważniejszym odbiorcą niemieckich towarów. Natomiast w 2024 r. nastąpił punkt zwrotny – Niemcy sprzedały więcej do Polski niż do Chin. Wcześniej do takiej sytuacji doszło już w 2008 r., kiedy to Polska stała się czwartym największym rynkiem zbytu dla niemieckich towarów (po USA, Francji i Holandii). Ośrodek Studiów Wschodnich podał, że w 2024 r. niemiecki eksport do Polski osiągnął 94 mld euro i był o 3,8 mld euro większy niż eksport do Chin. Głównie z powodu spadku niemieckiego eksportu do Chin, które coraz mniej chętnie kupują niemieckie towary. W 2025 r. eksport z Niemiec do Polski był rekordowy – według danych Niemieckiego Urzędu Statystycznego Destatis wyniósł 99,9 mld euro i przewaga Polski nad Chinami w imporcie z Niemiec jeszcze wzrosła – różnica sięgnęła 20 proc. Na marginesie – dane polskiego i niemieckiego urzędu statystycznego nie zgadzają się ze sobą. Według GUS przez cały okres członkostwa w UE Polska miała nadwyżkę w handlu z Niemcami, a według Destatis – było dokładnie odwrotnie.

Od okresu tzw. transformacji ustrojowej dla Polski Niemcy są pierwszym partnerem, zarówno jeśli chodzi o eksport, jak i import. Jednocześnie w okresie członkostwa w UE wymiana handlowa pomiędzy Polską a Niemcami bardzo mocno się zwiększyła. Według Destatis w latach 2003–2025 eksport z Polski do Niemiec wzrósł pięciokrotnie, a handel w drugim kierunku – aż sześciokrotnie. Z kolei polskie statystyki podają, że w 2004 r., czyli w roku wejścia Polski do UE, Niemcy odbierały ok. 30 proc. polskiego eksportu. Dwie dekady później udział ten nadal wynosi ok. 27–28 proc., mimo znacznego wzrostu liczby kierunków eksportowych. Oznacza to, że ponad co czwarta złotówka uzyskana przez eksporterów z Polski pochodziła ze sprzedaży na rynek niemiecki. Niemcy

eprasa.pl 488600ea51



FOT. ADOBE STOCK

są dla Polski największym rynkiem zbytu i kluczowym elementem łańcuchów dostaw. Natomiast bardziej wymowna jest nie sama wielkość eksportu, a dysproporcja wobec kolejnych partnerów: Czechy – ok. 6 proc., Francja – ok. 6 proc., Wielka Brytania – ok. 5 proc. Innymi słowy, Niemcy kupują od Polski tyle, ile cztery–pięć kolejnych największych rynków razem wziętych.

Jak podaje GUS-owski Rocznik Statystyczny Handlu Zagranicznego 2025, w 2024 r. udział Niemiec w polskim imporcie wynosił 19,2 proc., a w polskim eksporcie – 27,2 proc. Ale działa to tylko w jedną stronę. Uzależnienie Niemiec od Polski jest zdecydowanie mniejsze. Według Ministerstwa Rozwoju i Technologii w 2025 r. Polska była na czwartej pozycji, jeśli chodzi zarówno o eksport, jak i import Niemiec, ale udział Polski w niemieckim eksporcie wynosił 6,4 proc., a w imporcie – tylko 5,9 proc.

Jednym z najważniejszych skutków integracji europejskiej było włączenie Polski do międzynarodowych łańcuchów produkcyjnych, których centrum znajdowało się w Niemczech. Polskie zakłady produkowały komponenty, półprodukty i części wykorzystywane następnie w niemieckich fabrykach. W opracowaniu Ministerstwa Rozwoju i Technologii czytamy: „Mocną pozycję w eksporcie na rynek niemiecki zawdzięczamy głównie poddostawom dla niemieckiego przemysłu samochodowego. Na uwagę zasługuje szybki wzrost eksportu: maszyn i urządzeń elektrycznych oraz ich części i akcesoriów, kotłów, maszyn i urządzeń mechanicznych oraz ich części, a także tworzyw sztucznych i wyrobów z nich". W rezultacie polska gospodarka coraz częściej odgrywała rolę znacznie gorzej opłacanego podwykonawcy w systemie produkcyjnym zdominowanym przez niemiecki przemysł. Znam konkretny przykład polskiego producenta czapek i szalików, który eksportował te towary do Niemiec z marżą 20–25 proc., ale niemiecki odbiorca, sprzedając dalej te czapki pod swoją marką, miał przebitkę 700–800 proc.! Na dodatek płacenie faktur nigdy nie było realizowane na czas. W ten sposób mała polska firma długimi miesiącami kredytowała niemiecki biznes odzieżowy.

INWESTYCJE

Wiele zachodnich koncernów przenosiło część produkcji do Polski, korzystając z niższych kosztów pracy przy jednoczesnym zachowaniu bliskości geograficznej i dostępu do wspólnego rynku. Jak podaje raport Narodowego Banku Polskiego pt. „Zagraniczne inwestycje bezpośrednie w Polsce i polskie inwestycje bezpośrednie za granicą w 2024 roku", na koniec 2024 r. wartość inwestycji bezpośrednich dokonanych przez podmioty zagraniczne w Polsce wyniosła 1,4 bln zł. Największymi inwestorami bezpośrednimi w Polsce były firmy holenderskie (251,6 mld zł), niemieckie (235,2 mld zł) oraz luksemburskie (180,5 mld zł). Jednak biorąc pod uwagę kraj, z którego pochodzi podmiot dominujący w grupie kapitałowej, na koniec 2024 r. do najważniejszych państw, z których pochodzili ci inwestorzy, należały Niemcy (265,4 mld zł), USA (121 mld zł) i Francja (114,1 mld zł). W Polsce działa ok. 5,2 tys. przedsiębiorstw z udziałem kapitału niemieckiego, które zatrudniają nawet ok. 430 tys. osób. Według Ministerstwa Rozwoju i Technologii największe niemieckie projekty inwestycyjne w Polsce „ulokowały się w przemyśle samochodowym (Volkswagen, Opel), bankowości (Commerzbank) i ubezpieczeniach (Allianz), przemyśle maszynowym, chemicznym (Beiersdorf, Bayer), w energetyce (E.ON), usługach, handlu (Grupa Metro – sieci Real, Makro Cash and Carry, Saturn, MediaMarkt), budownictwie (Hochtief)".

Co istotne, znaczna część polskiego eksportu realizowana jest przez zagranicznych inwestorów ulokowanych w naszym kraju. Według „Raportu o stanie sektora małych i średnich przedsiębiorstw w Polsce", przygotowanego w 2024 r. przez PARP, przedsiębiorstwa z udziałem kapitału zagranicznego odpowiadają za aż 63,6 proc. wartości polskiego eksportu. Istotny w tym jest udział firm niemieckich. Firmy z kapitałem niemieckim to największa grupa wśród firm zagranicznych pod względem liczby podmiotów (ponad 20 proc. wszystkich firm z kapitałem zagranicznym). Generują one ok. 20 proc. przychodów i podobną wartość dodaną całej populacji firm z kapitałem zagranicznym. Niemieckie inwestycje mają istotny udział w polskim eksporcie, szczególnie w branżach motoryzacyjnej, maszynowej i elektrotechnicznej. Ich realny wkład jest większy niż sam procent kapitału, bo firmy te są silnie zorientowane eksportowo.

W ten sposób możliwy jest gospodarczy drenaż Polski. Więcej niż jedno na cztery euro eksportu Polski trafia do Niemiec. Ministerstwo Finansów podaje, że dochody (zwolnione z opodatkowania i podlegające opodatkowaniu), uzyskane w Polsce przez podatników posiadających siedzibę lub zarząd na terytorium innego niż Polska państwa

eprasa.pl 488600ea51

członkowskiego Unii Europejskiej oraz Wielkiej Brytanii, z tytułu: dywidend i innych przychodów (dochodów) z tytułu udziału w zyskach osób prawnych, odsetek, opłat licencyjnych, przychodów z tytułu świadczeń: doradczych, księgowych, badania rynku, usług prawnych, usług reklamowych itd. w latach 2005–2024 wyniosły łącznie 1,42 bln zł. Z tego aż 257,28 mld zł (ponad 18 proc.) przypadło na Niemcy. Jeszcze w 2005 r. z Polski do Niemiec wypłynęło z tego tytułu 7 mld zł, podczas gdy w 2024 r. – prawie 26 mld zł, czyli niemal cztery razy więcej.

Ponadto kapitał zainwestowany w Niemczech przez polskie firmy jest stosunkowo niewielki. Jak podaje NBP, skumulowana wartość polskich bezpośrednich inwestycji zagranicznych w Niemczech na koniec 2024 r. wyniosła 2,37 mld euro (to 100 razy mniej niż odwrotnie). Ogółem dochody podmiotów z polskim kapitałem w Niemczech wyniosły zaledwie 120,4 mln euro. Niemcy uplasowały się dopiero na czwartym miejscu wśród największych odbiorców polskich inwestycji bezpośrednich. Według danych GUS za 2021 r. w Niemczech funkcjonowały jedynie 603 jednostki zagraniczne polskich spółek (dziewięć razy mniej niż w drugą stronę), które zatrudniały 26 415 pracowników (16 razy mniej niż w drugą stronę). Do największych inwestorów należą: PKN Orlen, Ciech, Azoty. Na niemieckim rynku działają też spółki: Boryszew, Kopex, Comarch, Asseco, LPP, CCC, Nowy Styl czy Komandor. Znacznie mniejsze inwestycje polskich firm w Niemczech niż niemieckich w Polsce to rezultat nie tylko mniejszych możliwości finansowych polskich przedsiębiorców, lecz także – mimo frazesów o wspólnym unijnym rynku – efekt blokowania ich rozwoju poprzez różnego rodzaju niemieckie federalne, lokalne i branżowe bariery, jak zezwolenia i certyfikaty, które polskim firmom wydawane są niezwykle niechętnie i z piętrzącymi się trudnościami.

RYNEK ZBYTU

Członkostwo Polski w Unii Europejskiej przyczyniło się do głębokiej integracji gospodarczej z Niemcami. Proces ten był naturalnym skutkiem bliskości geograficznej, skali niemieckiej gospodarki oraz funkcjonowania wspólnego rynku. Polska odniosła z tej współpracy znaczące korzyści w postaci wzrostu eksportu, napływu inwestycji i modernizacji przemysłu. Stała się atrakcyjnym miejscem dla inwestorów zagranicznych. Wśród nich szczególnie aktywne były właśnie przedsiębiorstwa niemieckie, które w Polsce m.in. przejęły znaczną część handlu detalicznego, cukrownictwa, usług finansowych czy logistyki. W efekcie wzrastała zależność polskiej gospodarki od decyzji podejmowanych przez centrale zagranicznych korporacji.

Niestety, koncentracja eksportu i inwestycji na jednym partnerze stwarza pewne ryzyko. Wraz z postępującą integracją gospodarczą coraz bardziej widoczna stawała się synchronizacja cykli koniunkturalnych Polski i Niemiec. Gdy niemiecka gospodarka rozwijała się dynamicznie, rosło zapotrzebowanie na polskie towary i usługi. Natomiast ograniczenie inwestycji lub spadek aktywności gospodarczej w Niemczech mogły bezpośrednio wpływać na sytuację ekonomiczną w Polsce. Przykładem mogą być okresy osłabienia niemieckiego przemysłu po 2018 r. oraz problemy gospodarcze związane z pandemią COVID-19 i późniejszym kryzysem energetycznym. W takich sytuacjach spadek zamówień z Niemiec przekładał się na niższą aktywność wielu polskich przedsiębiorstw. Z tego względu silna jest potrzeba dywersyfikacji kierunków eksportu i wzmacniania relacji gospodarczych z innymi państwami, co Niemcom niekoniecznie będzie się podobało.

Niemcy korzystają z taniej siły roboczej zarówno u nas – inwestycje niemieckich koncernów w Polsce, jak i u siebie – zachęty do przyjazdu Polaków „na szparagi”

Niemcy korzystają z taniej siły roboczej zarówno u nas – inwestycje niemieckich koncernów w Polsce, jak i u siebie – zachęty do przyjazdu Polaków „na szparagi”, zamawiają tańsze, a wysokiej jakości produkty w polskich firmach i w ramach tej współpracy uzyskują znacznie wyższe marże od polskich firm, budują u nas swoje fabryki oraz wykorzystują Polskę jako rynek zbytu dla swoich produktów przemysłowych. W efekcie na całym procederze najwięcej zarabia niemiecka gospodarka: najwyższa wartość dodana pozostaje w Niemczech, działalność badawczo-rozwojowa koncentruje się głównie w Niemczech, a Europa Środkowa wraz z Polską znalazła się w pozycji półperyferii wobec niemieckiego rdzenia gospodarczego i odgrywa rolę zaplecza produkcyjnego. Integracja nie stworzyła równorzędnego partnerstwa, lecz system, w którym rozwój regionu pozostaje silnie uzależniony od decyzji podejmowanych w Niemczech.

WYELIMINOWAĆ POLSKĄ KONKURENCJĘ

Współczesna struktura gospodarcza wskazuje, że Niemcy w Europie Środkowej realizują starą koncepcję Mitteleuropy. Zakłada ona stworzenie surowcowo-rolniczego i podwykonawczego obszaru, którego zdominowana przez Berlin gospodarka jest uzupełnieniem gospodarki niemieckiej i silnie związana ekonomicznie z niemieckim centrum nie jest w stanie wybić się na niezależność, a nawet realne konkurowanie z gospodarką niemiecką. Celem tej polityki jest gospodarcza eksploatacja regionu. W tym modelu Niemcy miały pełnić funkcję centrum technologicznego i finansowego, głównego rynku zbytu, organizatora produkcji przemysłowej i lidera politycznego regionu.

Na dodatek Niemcy wszelkimi sposobami próbują ograniczać potencjał rozwojowy Polski, aby utrzymać własną przewagę. Projekty o strategicznym znaczeniu infrastrukturalnym i energetycznym, które mogłyby wzmocnić gospodarczo pozycję Polski i tym samym zagrozić niemieckiej hegemonii, są blokowane przez niemieckich polityków, organizacje ekologiczne, lobbing w Unii Europejskiej czy presję polityczną. Wystarczy wymienić kilka przykładów z ostatnich lat. Niemiecka organizacja ekologiczna Lebensraum Vorpommern wielokrotnie zaskarżała decyzje środowiskowe w sprawie budowy głębokowodnego

eprasa.pl 488600ea51

terminala kontenerowego w Świnoujściu o wartości ok. 10 mld zł, który stałby się konkurencją dla niemieckich portów w Hamburgu czy Bremerhaven. W 2025 r. Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie wstrzymał decyzję środowiskową na wniosek tej organizacji. Niemieckie władze lokalne i ekolodzy sprzeciwiali się projektowi żeglowności Odry, co umożliwiłoby realizowanie transportu rzecznego, znacznie tańszego od drogowego. Poprzez lobbing dyplomatyczny i ekologiczny Niemcy sprzeciwiają się także budowie w Polsce energetyki jądrowej, która widziana jest jako konkurencja dla ich polityki energetycznej, w ramach której pozbyto się elektrowni atomowych. Niemcy krytykują też budowę Centralnego Portu Komunikacyjnego, który stałby się konkurencją dla lotnisk w Berlinie i Frankfurcie nad Menem. Sprzeciwiają się również rozbudowie kolejowego centrum logistycznego w Małaszewiczach przy granicy z Białorusią, które w ramach importu ze wschodu stałoby się konkurencją dla portów w Hamburgu i Rotterdamie. Wcześniej istniał niemiecki opór wobec budowy gazociągu Baltic Pipe, choć ostatecznie projekt udało się zrealizować. Wymienione projekty uderzają w niemiecką konkurencyjność logistyczną i energetyczną. Niemcy bronią swoich interesów gospodarczych, ale metody budzą kontrowersje i oskarżenia o sabotowanie rozwoju naszego kraju.

Choć już w okresie przedakcesyjnym udział Niemiec w polskim eksporcie był wysoki, to dominował handel finalnymi towarami. W pierwszych latach członkostwa Polski w UE udział Niemiec w polskim eksporcie ustabilizował się na wysokim poziomie, a doszedł szybki wzrost niemieckich inwestycji bezpośrednich, które stworzyły trwałą strukturę produkcyjną, oraz doszło do integracji logistycznej i just-in-time. Polska głęboko weszła w niemieckie łańcuchy dostaw. W kolejnych latach stała się de facto zapleczem przemysłowym Niemiec, w szczególności jeśli chodzi o branże automotive, maszynową i elektroniczną. W ten sposób doszło do uzależnienia strukturalnego. W rezultacie – zgodnie z planami twórców Mitteleuropy – Polska stała się integralną częścią niemieckiej strefy gospodarczej, w której zdecydowanie dominuje silniejszy partner. Ostatni okres to nie tyle wzrost zależności, ile jej utrwalenie. Choć oczywiście relacja stała się dwustronna, to jednak jest asymetryczna z niekorzyścią po stronie polskiej. To skutek dysproporcji – gospodarka naszego zachodniego sąsiada jest pięć razy większa od naszej, więc wpływ Niemiec na Polskę jest wyraźnie większy niż odwrotnie.

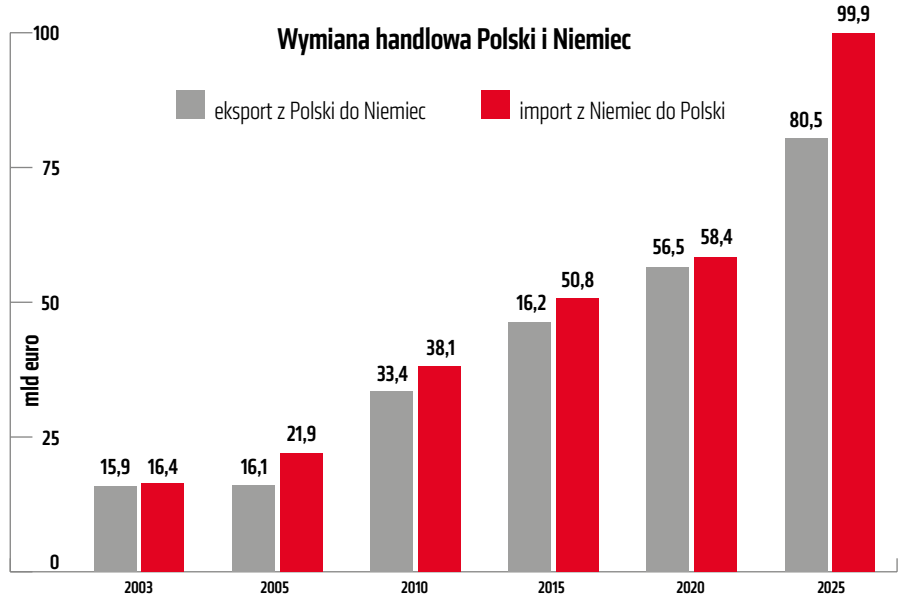

Wymiana handlowa Polski i Niemiec w latach 2003–2025 w mld euro. Opracowanie własne na podstawie danych Niemieckiego Urzędu Statystycznego Destatis

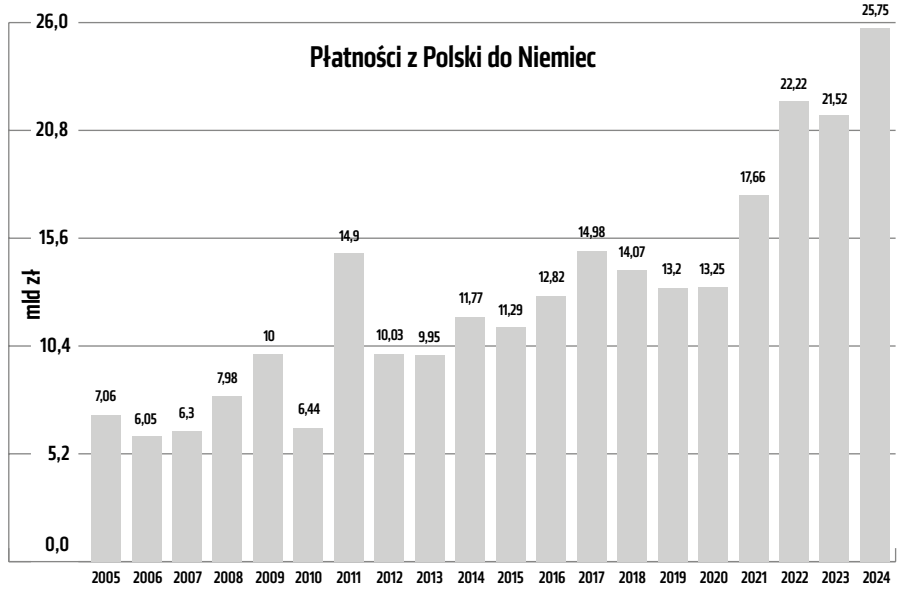

Dochody uzyskane w Polsce przez podatników posiadających siedzibę lub zarząd w Niemczech z tytułu: dywidend i innych przychodów z tytułu udziału w zyskach osób prawnych, odsetek, opłat licencyjnych, przychodów z tytułu świadczeń: doradczych, księgowych, badania rynku, usług prawnych, usług reklamowych itd. w latach 2005–2024 w mld zł. Opracowanie własne na podstawie danych Ministerstwa Finansów

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 488600ea51



Latem Syberia odsłania łagodniejsze oblicze. W bezkresnym krajobrazie człowiek wyraźniej dostrzega potęgę natury i piękno prostoty

FOT. JACEK PAŁKIEWICZ

Druga twarz bieguna zimna



Jacek Pałkiewicz

Syberyjskie lato jest krótkie, gwałtowne i niecierpliwe. Przychodzi jak wybuch. Po miesiącach śniegu, po milczeniu tajgi, po skamieniałym od mrozu świecie nagle wszystko zaczyna żyć naraz

Kiedy myślę o Syberii, najpierw wraca do mnie tamten luty 1989 r. Nie lato, nie zieleń tajgi, nie połysk rzeki pod niskim słońcem, ale biały bezkres między Górami Wierchojańskimi i Górami Czerskiego, skrzypienie płóz, ciężki oddech reniferów, dzwonki przy ich szyjach i mróz, który nie był temperaturą, lecz żywiołem. Wyruszyliśmy wtedy z Jakucka w stronę Ojmiakonu, światowego bieguna zimna, w kawalkadzie sań, przez krainę, gdzie człowiek natychmiast traci pewność siebie. W Europie mówi się: minus dwadzieścia, minus trzydzieści. Tam takie liczby przestają robić wrażenie. Tam mróz ma własną osobowość. Wchodzi pod futro, szuka szczeliny przy karku, zaciska się na policzkach, odbiera czucie palcom i przypomina, że natura nie musi być wroga, aby być bezlitosna.

LODOWA PUŁAPKA

W tamtej wyprawie nie było nic z turystycznej dekoracji. Jechaliśmy przez lodową pustkę, w której wszystko sprowadzało się do prostych pytań: czy nie odmroziłeś nosa, czy masz suche stopy, czy potrafisz rozpalić ogień, czy starczy sił, aby wieczorem rozbić namiot, narąbać drzewa, przygotować reniferom kałatuszki, zagotować herbatę i nie zasnąć, zanim zrobisz to, co trzeba. W takich warunkach człowiek szybko pozbywa się fałszywych potrzeb. Nie myśli o prestiżu, wygodzie, planach zawodowych, gazetach, rachunkach, drobiazgach, które w normalnym życiu urastają do rangi dramatów. Myśli o cieple. O łyku gorącej herbaty. O tym, żeby nie popełnić błędu.

Pamiętam lodową pułapkę naledzi. Pękający lód, sanie wpadające w wodę, renifery szarpiące się w uprzęży, tę nagłą grozę, która przychodzi szybciej niż myśl. Woda przy 40-stopniowym mrozie nie jest wodą, lecz wyrokiem, jeśli człowiek straci głowę. Wszystko trzeba było robić natychmiast: odcinać rzemienie, wyciągać zwierzęta, ratować sprzęt, walczyć z lodem twardniejącym jak cement. W takich chwilach nie ma miejsca na literaturę, na piękne słowa, na pozowanie do roli zdobywcy. Są tylko instynkt, dyscyplina i zespół. Dopiero później, kiedy człowiek siedzi przy ogniu i trzyma w dłoniach kubek gorącej czekolady, dociera do niego, jak cienka była granica.

Ojmiakon nauczył mnie pokory wobec Północy. Ale byłoby niesprawiedliwością sprowadzać Syberię wyłącznie do mrozu, śmierci, łagrów i zesłań. Polak ma do tego skłonność, zrozumiałą, bo Syberia przez pokolenia zapisała się w naszej pamięci jako miejsce cierpienia. Wystarczy wypowiedzieć to słowo, a natychmiast pojawiają się kibitki, kajdany, katorga, powstania, rozłąka, cmentarze bez krzyży, Kołyma, Workuta, Archipelag GUŁag. Tej pamięci nie wolno unieważniać. Sam stałem pośród resztek obozu, patrząc na butwiejące baraki i wieżyczki strażnicze. Milczeliśmy wtedy, jak w kościele. Czułem, że ziemia pod śniegiem nie jest zwykłą ziemią, ale ogromnym, bezimiennym grobem.

A jednak Syberia jest większa niż nasz ból. Większa niż historia carskich zsyłek i sowieckiego terroru. Większa niż polityczne rachunki krzywd. Widziałem ją zimą jako krainę białej grozy, ale widziałem także inną Syberię – letnią, otwartą, niemal zmysłową, pełną zapachów,

eprasa.pl 488600ea51

wilgoci, rzek, owadów, blasku i zieleni tak natarczywej, że aż trudno uwierzyć, iż to ta sama ziemia.

TU PIĘKNO MA PAZURY

Syberyjskie lato jest krótkie, gwałtowne i niecierpliwe. Przychodzi jak wybuch. Po miesiącach śniegu, po milczeniu tajgi, po skamieniałym od mrozu świecie nagle wszystko zaczyna żyć naraz. Rzeki ruszają z hukiem, lód pęka, ziemia mięknie, bagna wciągają drogi, modrzewie nabierają barwy, a powietrze wypełnia się zapachem żywicy, wilgotnego mchu i odmarzającej ziemi. Jest w tym coś pierwotnego, niemal brutalnego. Natura wie, że ma mało czasu. Musi zdążyć zakwitnąć, wykarmić, rozmnożyć się, dojrzeć i przygotować do kolejnej długiej zimy. Syberia latem nie rozkwita powoli. Ona wybucha.

To właśnie wtedy najłatwiej zrozumieć, dlaczego ta ziemia, tak nieludzka zimą, potrafi przywiązać człowieka na całe życie. Nie brakuje ludzi, którzy przyjechali tu na kontrakt, na kilka lat, z przymusu albo za obietnicą lepszego zarobku, a potem zostali. Nie wszyscy dlatego, że odnieśli sukces. Czasem zostali, bo Syberia zabrała im możliwość powrotu do dawnej miary świata. Po tych przestrzeniach Europa wydaje się ciasna. Po tych rzekach nasze rzeki przypominają kanały. Po tej ciszy hałas cywilizacji staje się nieznośny.

Latem Syberia ma w sobie olśniewającą atrakcyjność, ale nie należy mylić jej z łatwym pięknem. To nie jest uroda alpejskiego kurortu, przygotowana do fotografii, przewidywalna, wygodna, oswojona. Tutaj piękno ma pazury. Nad rzeką może zachwycić zachód słońca, który długo nie gaśnie, rozlewając po wodzie miedź i złoto, ale za chwilę człowieka obsiądą chmary komarów i muszek tak zajadłych, że doprowadzają do rozpaczy nawet renifery. Miejscowi mówią, że zimno i komary to dwa syberyjskie nieszczęścia, które na szczęście nigdy nie chodzą razem. Zimą marznie się do kości, latem człowiek bywa żywcem zjadany przez owady.

Pamiętam letnie komary, które kąsają przez ubranie, wchodzą do uszu, nosa, ust, pod powieki. Pamiętam syberyjski repelent o odrażającym zapachu rybiego tłuszczu, tak mocny, że zdawał się rozpuszczać nie tylko owady, lecz także farbę drukarską. W Amazonii znałem moskity, w Papui pijawki, na pustyni skorpiony i żar, ale syberyjskie lato ma własne narzędzie tortury. Komar nie jest tam dodatkiem do krajobrazu. Jest zjawiskiem atmosferycznym. Chmurą, która myśli tylko o krwi.

A mimo to, gdybym miał opisać Syberię latem jednym słowem, powiedziałbym: przestrzeń. Nie piękno, nie egzotyka, nie przygoda, lecz właśnie przestrzeń. Ona jest najważniejsza. Nie taka, którą można objąć wzrokiem z punktu widokowego, lecz taka, która unieważnia człowieka. Tajga ciągnie się bez końca. Rzeki płyną jak osobne światy. Lena, Jenisej, Ob, Kołyma, Indygirka – to nie są tylko nazwy geograficzne, ale potężne arterie kontynentu. W Europie przyzwyczailiśmy się do krajobrazu podzielonego: pola, wioski, drogi, miasteczka, kościoły, stacje benzynowe, znaki drogowe. Na Syberii ziemia nie została jeszcze do końca pokrojona przez człowieka. To ona narzuca rytm.

Latem łatwiej zobaczyć, że Syberia nie jest pustką. Jest pełna życia, tylko nie takiego, które natychmiast rzuca się w oczy przybyszowi. Trzeba nauczyć się patrzeć. Na ślady łosia przy błotnistym brzegu rzeki, na cień ptaka przesuwający się nad wodą, na dym unoszący się z samotnej izby, na porzuconą łódź, na starego rybaka, który nie mówi wiele, bo tutaj słowa muszą mieć wagę. Mieszkańcy tych ziem nie przypominają ludzi Południa. Syberia nie sprzyja pustej gadatliwości. Uczy oszczędności gestu, ostrożności, twardości, a także gościnności, która nie jest konwenansem, lecz odruchem przetrwania. W takim kraju nie pyta się długo, czy pomóc człowiekowi w drodze. Pomaga się, bo jutro samemu można potrzebować pomocy.

CZŁOWIEKOWI POTRZEBA NIEWIELE

Zawsze podziwiałem Sybiraków. Ich prostotę, cierpliwość, wytrzymałość, ten szczególny rodzaj pogody ducha, który nie ma nic wspólnego z naiwnością. Oni wiedzą, że życie jest ciężkie, ale nie robią z tego filozofii. Widziałem ludzi, którzy w najtrudniejszych warunkach zachowywali godność. Widziałem kobiety troszczące się o kwiaty w miejscach, gdzie przez większą część roku za oknem panuje mróz. Widziałem mieszkańców odległych osad, którzy z dumą pokazywali szkołę, ambulatorium, antenę satelitarną, skromny sklepik, jakby prezentowali cuda cywilizacji. I w pewnym sensie były to cuda, bo na Syberii każdy element normalności wymaga większego wysiłku niż gdzie indziej.

Dlatego moja fascynacja letnią Syberią nie jest zachwytem turysty, który szuka atrakcyjnej scenerii. To raczej fascynacja człowieka, który zna jej cenę. Podoba mi się jej dzikość, ale jej nie idealizuję. Wiem, że za romantycznym obrazem tajgi kryją się samotność, bieda, alkoholizm, rozpad kultur rdzennych ludów, ciężar historii i brutalność klimatu. Widziałem Ewenków, których tradycyjny świat został złamany przez sowiecką kolonizację, szkoły z internatem, przymus osiedlenia, upaństwowienie stad, walkę z szamanami. Widziałem młodych, którzy nie znali już języka dziadków, nie umieli tropić zwierzyny, rzucać arkanem, żyć w tundrze. To także jest Syberia latem – nie tylko piękny las i rzeka, lecz także smutek kultur, którym odebrano ciągłość.

Letni obraz Syberii bywa atrakcyjny także dlatego, że przeciwstawia się naszemu światu nadmiaru. W Europie, zwłaszcza dziś, człowiek tonie w hałasie, pośpiechu, reklamie, konsumpcji, nieustannym przymusie bycia osiągalnym. Telefon stał się smyczą. Media codziennie karmią nas strachem, plotką, politycznym brudem i głupstwem. Żyjemy coraz wygodniej, ale niekoniecznie mądrzej. Na Syberii, kiedy stoi się nad rzeką w letni wieczór i słyszy tylko wodę, owady, trzask ognia i odległe szczekanie psa, nagle widać, jak bardzo świat zachodni skomplikował sobie życie. Tam nadal można zrozumieć, że człowiekowi potrzeba niewiele: ognia, jedzenia, suchego miejsca, drugiego człowieka, któremu można zaufać, i horyzontu.

Dla mnie jej atrakcyjność latem polega właśnie na tej dwoistości. Jest piękna, ale niegrzeczna. Gościnna, ale groźna. Rozległa, ale pełna pułapek. Pozwala oddychać, ale nie pozwala zapomnieć, że człowiek jest tylko gościem. Zimowa wyprawa do Ojmiakonu dała mi doświadczenie graniczne. Pokazała Syberię jako białą próbę charakteru. Letnia Syberia pokazała mi coś innego: że ta sama ziemia, która potrafi zabijać mrozem, potrafi również uwodzić zapachem tajgi, światłem nad rzeką i poczuciem wolności tak wielkim, że aż niebezpiecznym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest odkrywcą źródeł Amazonki, survivalowym guru. Uczył kosmonautów i jednostki antyterrorystyczne strategii przetrwania w nieprzyjaznych środowiskach.

eprasa.pl 488600ea51

POCZET POLSKICH WODZÓW

Buzdyganem w Kazanowskiego!



JACEK KOMUDA

Jednym z pułkowników Stanisława Żółkiewskiego w wielkiej bitwie pod Kłuszynem, która otworzyła drogę na Moskwę, był sławny i niepokorny Marcin Kazanowski. Urodzony ok. 1563 r. zaczął karierę wojskową w wieku 37 lat, w czasie wyprawy Jana Zamoyskiego na Wołoszczyznę w 1600 r. Pięć lat później uczestniczył w sławnej bitwie pod Kircholmem, później popierał Dymitra Samozwańca i przebywał w Moskwie, gdzie został zaskoczony przez bunt Szujskich w maju 1606 r. Uwolniony z niewoli wrócił do Rzeczypospolitej, gdzie w trakcie rokoszu Zebrzydowskiego walczył za króla pod Guzowem. Później jako rotmistrz udał się pod Smoleńsk i we wspomnianej bitwie pod Kłuszynem 4 lipca 1610 r. dowodził pułkiem na prawym skrzydle. Wziął udział w zajęciu Moskwy, ale nie został w niej oblężony, ponieważ w 1611 r. wyjechał, kiedy żołnierze wybrali go na posła od nieopłaconego wojska do króla i hetmanów.

Ambicje Kazanowskiego sięgały wyżej niż godność rotmistrza i pułkownika. Kiedy w 1617 r. rozpoczęła się wyprawa królewicza Władysława na Moskwę, natychmiast wziął w niej udział, niestety w mało chwalebny sposób. Będąc przyjacielem królewicza, liczył na wyznaczenie go na wodza, jednak regimentarzem mianowano Konstantego Plichtę. Dlatego Kazanowski wykorzystał swego krewnego Zygmunta i jego synów, mających wpływ na królewicza, aby skłonił Plichtę do rezygnacji z dowództwa. Kiedy ten nie chciał, Kazanowski próbował buntować żołnierzy, co sprawiło, że 10 lipca pod Jampolem doszło do starcia między oddziałami obu adwersarzy. Ostatecznie król Zygmunt stanął po stronie Plichty, a awanturującego się Kazanowskiego odesłano dla wsparcia przebywającego na Ukrainie Żółkiewskiego. Wiosną 1618 r. działał na Siewierszczyźnie i zdobył Starodub, który później włączony został do Rzeczypospolitej. Później wezwano go z pomocą do królewicza, który przezimował w Wiaźmie i kontynuował wyprawę. Doszło jednak do kolejnego konfliktu – tym razem z hetmanem Janem Karolem Chodkiewiczem – ponieważ bohater znów nie chciał oddać się pod jego komendę. Ostatecznie odebrano mu większość oddziałów, pozostawiając jedynie ok. 800 ludzi. Kazanowski, mający względy u królewicza, nie chciał się na to zgodzić; 2 lipca zjawił się w obozie, ale pod buńczukiem, który to znak przysługiwał tylko hetmanom. Rozwścieczyło to Jana Karola Chodkiewicza, który powiedział wprost do Władysława: „Każ, wasza królewiczowska mość, jego przestrzec, aby ten znak do torby schował, bo mu go każę stłuc na łbie". Władysław usiłował jeszcze przekonać hetmana, aby oddał Kazanowskiemu jego chorągwie, ale ten był niewzruszony. Do kolejnej awantury doszło podczas wymarszu spod Krzemieńska 5 lipca, kiedy okazało się, że wspomniane roty nie maszerują – jak nakazał hetman – w pułku Opalińskiego, ale ciągle są wśród innych oddziałów bohatera. Chodkiewicz wściekł się wówczas i skoczył ku winowajcy na oczach całego wojska, a Kazanowski rzucił się do ucieczki. Hetman popędził za nim i „z wielkim krzykiem od matki łając", rzucił w niego buzdyganem. Chorągwie zaś, widząc i słysząc, co się stało, nie czekając na rozkaz „jakoby ich piorun wytrzasł", wskoczyły na swoje miejsca w pułku Opalińskiego. Kazanowscy przestraszyli się wówczas konsekwencji i przestali „dawać okazje" Chodkiewiczowi, którego gniew uspokoił z trudem królewicz Władysław. Jednak hetman nigdy nie zapomniał urazy.

Po zakończeniu wojny z Moskwą Kazanowski wziął udział w bitwie pod Cecorą i po pierwszej klęsce, w czasie odwrotu, to on sformował dla Żółkiewskiego warowny tabor, pod którego osłoną wycofywała się ku granicom Rzeczypospolitej armia hetmana. 6 października pod Mohylowem został on rozerwany, Kazanowski dostał się do niewoli tatarskiej, z której po prostu uciekł. Rok później wziął udział w obronie obozu pod Chocimiem, gdzie znowu dały znać jego dawne awantury z hetmanem Janem Karolem Chodkiewiczem, który oskarżył go o opóźnienie przybycia królewicza do obozu (bohater dowodził oddziałem przybocznym Władysława). Kazanowski wciąż miał ambicje otrzymania hetmańskiej buławy, był też – mówiąc obrazowo – wojskowym warchołem, ale jednocześnie brał udział we wszystkich wojnach Rzeczypospolitej aż do końca życia.

Walczył pod hetmanem Stanisławem Koniecpolskim pod Martynowem w 1624 r., gdzie pogromiono Tatarów, brał udział w wyprawie na Kozaków rok później, a potem, od 1626 r., w wojnie o ujście Wisły ze Szwedami. W 1633 r. jego wieloletni protektor, królewicz Władysław, wybrany na króla Polski, mianował go w końcu hetmanem polnym koronnym. Bohater wziął udział w odsieczy Smoleńska i walkach pod twierdzą w latach 1633–1634. Były to jednak jego ostatnie wyprawy wojenne. Marcin Kazanowski zmarł w 1636 r., w wieku 73 lat w Bołszowcach, gdzie pochowano go razem z żoną w Kościele oo. Karmelitów, który sam ufundował. ©℗



FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 488600ea51



FOT. JAP

CHERY TIGGO 7 PHEV

Ten kompaktowy SUV można kupić już za ok. 120 tys. zł (rocznik 2025), a ma napęd hybrydowy typu plug-in, 279 KM, potrafi przejechać tylko na prądzie do 90 km, a łącznie na jednym tankowaniu i ładowaniu może pokonać nawet 1200 km.

Pod maską znajduje się turbodoładowany silnik benzynowy 1,5 T-GDI, który współpracuje z jednostką elektryczną. Maksymalny moment obrotowy całego układu to aż 365 Nm. Hybrydowy napęd sprawia, że Tiggo 7 PHEV (mierzący 4553 mm długości i 1696 mm wysokości) od 0 do 100 km/h przyspiesza w 8,2 s. Prędkość maksymalna wynosi 180 km/h. Prześwit wynosi 15,3 cm, czyli nieco ponad standard w przypadku aut miejskich i kompaktowych, ale niżej, niż zazwyczaj oferują klasyczne SUV-y. Miękko zestrojony SUV to auto dla rodzin ceniących komfort jazdy, a nie sportową dynamikę. Nie ma też co liczyć na superprecyzyjny układ kierowniczy.

Wnętrze zostało w dużej mierze wykończone miękkimi w dotyku materiałami. Nie mogę się również przyczepić do ich spasowania – nic tu nie trzeszczy ani nie skrzypi. Zakrzywiony podwójny ekran na desce rozdzielczej ma łącznie wielkość 24,6 cala. Zastosowany do obsługi systemu multimedialnego procesor Qualcomm Snapdragon 8155 nie jest może najbardziej nowoczesny, ale bez większych opóźnień wykonuje wszystkie polecenia kierowcy lub pasażera. Wynik spalania jest dostępny wyłącznie za ostatnie 50 km (podczas testu średni apetyt na paliwo przy rozładowanej baterii wynosił 5,9 l/100 km).

Fotele są wygodne. A elegancki wybierak kierunku jazdy w fajny sposób imituje marki premium. Jednocześnie to właśnie szybka zmiana biegów była tym, co mnie w tym aucie irytowało najbardziej: wielokrotnie zdarzyło mi się bowiem, że przy próbie błyskawicznego przejścia z D na R i odwrotnie skrzynia biegów lądowała na neutralnym N.

W Tiggo 7 PHEV jest dostępny napęd wyłącznie na przednią oś. W standardzie mamy już za to m.in. system kamer 540 stopni, dwustrefową klimatyzację, ładowarkę indukcyjną, system audio Sony z ośmioma głośnikami i nastrojowe oświetlenie wnętrza. Jest też cały zestaw asystentów mających wspomagać kierowcę, z których część wyraźnie zbyt ambitnie podchodzi do swoich zadań (wystarczy na chwilę przenieść wzrok, by zmienić temperaturę w kabinie, a system monitorowania uwagi kierowcy już drze się niczym wredna historyczka w liceum (tego się nie da zapomnieć).

Tiggo 7 PHEV wyprodukowane w 2026 r. są dostępne w dwóch wersjach. Cena wariantu Select wynosi 142,9 tys. zł, a opcji Premium 154,9 tys. zł. Na placach u dilerów czekają jeszcze jednak wersje z ubiegłego roku. W tym przypadku w oficjalnym cenniku wariant Comfort został przeceniony do 120,9 tys. zł. Prestige (z dachem panoramicznym, HUD-em, elektrycznie otwieraną/zamykaną klapą bagażnika oraz podgrzewanymi i wentylowanymi przednimi fotelami) w wyprzedażowej promocji kosztuje oficjalnie 133,9 tys. zł.

MOVA S70 ULTRA ROLLER



Wysoka skuteczność odkurzania, zaawansowana technologia mycia podłóg znana z droższych flagowców, eleganckie wzornictwo oraz atrakcyjny stosunek ceny do możliwości – to największe zalety robota sprzątającego chińskiej marki MOVA.

Maksymalna siła ssania wynosi 32000 Pa. Robot bez większych problemów daje więc sobie radę ze zbieraniem kurzu, włosów, sierści zwierzaków czy większych zabrudzeń nie tylko z twardych podłóg, lecz także z dywanów. Maszyna może przy tym automatycznie regulować siłę ssania (by niepotrzebnie nie hałasować). Model pozbawiony wieżyczki LiDAR jest smukły (jego średnica to 35 cm) i stosunkowo niski (9,15 cm). Dzięki temu może dokładnie posprzątać nawet pod tymi meblami, pod które urządzenia konkurencji nie dałyby nawet rady wjechać. Do sprzątania narożników służy tu wysuwana szczotka boczna. Za skuteczną nawigację pomiędzy meblami, kojcem dla psa, rozrzuconymi ładowarkami etc. odpowiada czujnik dToF wspierany przez kamerę RGB. System StepPro 2.0 pozwala z kolei robotowi pokonywać progi o wysokości do 3 cm. Bardzo przydatna w domach i mieszkaniach, w których żyją zwierzęta, jest specjalna szczotka CleanChop 3.0 – wbudowane noże bez trudu przecinają większość włosów, które mogłyby się zaplątać i wymagać interwencji od użytkownika. Do mopowania służy szybko obracający się wałek, który myje zawsze czystą wodą. W S70 Ultra Roller zastosowano też funkcję unoszenia wałka o 12 mm i zasłonięcia go specjalną osłoną AutoShield Tech (w przypadku dywanów z bardzo długim włosiem może to być i tak niewystarczające zabezpieczenie przed namoczeniem).

Elegancka stacja dokująca – z obudową wykonaną z matowego białego lub czarnego plastiku – automatycznie uzupełnia energię w robocie, a także opróżnia zbiornik na kurz (jego pojemność to 240 ml), pierze wałek mopujący w gorącej wodzie, a następnie suszy go gorącym powietrzem.

Pojemność baterii wynosi 6400 mAh, co przekłada się na długi czas pracy na jednym ładowaniu. Na pochwałę zasługuje też intuicyjna w obsłudze aplikacja (można w niej włączyć harmonogram sprzątania, nakazać robotowi, aby monitorował zwierzęta, czy wysłać go na obchód w charakterze ochroniarza z kamerą).

Minusy? Lepiej mogłoby działać zbieranie rozlanych płynów i czyszczenie zaschniętych plam. Robot wciąż nie nauczył się też języka polskiego (choć w samej aplikacji wreszcie poprawiono tłumaczenie). Z listy wad skreślam wysoką cenę, bo spadła ona z początkowych 4299 zł na 3299 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 488600ea51



MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK
I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Jabłka w cieście

Kto jabłko codziennie zjada, do tego lekarz nie wpada. Jedna główka czosnku dziennie trzyma wszystkich z daleka – to angielska mądrość. Lubimy relacje międzyludzkie, są one zresztą jednym z filarów długowieczności, więc zostańmy przy jabłku.

W książce „Pianistka", która właśnie się ukazała, Danuta Dworakowska, uczestniczka powstania warszawskiego, oprócz wielu interesujących wspomnień i zdarzeń opisuje także przedwojenne wizyty u swojej cioci Reny na Powiślu. Ciocia była uzależniona od jabłek, przyznawała, że jest jabłkomanką, i nie pozwoliła wstać od stołu bez spróbowania jej wyśmienitych jabłek w cieście – „pachnący, ósmy cud świata". Danuta Dworakowska opisuje: „Na licznych belkach (poddasze) leżakowały sterty jabłek z gatunków stosownych do pory roku, wisiały spirale »jednym ciągiem« obieranych skórek z jabłek, które po wysuszeniu wzbogacały smak sosów i mięs. U cioci nic się nie marnowało, więc ze środków jabłek robiła wspaniały ocet. Ocet jabłkowy wspaniale działa na organizm, dobrze jest pić go na czczo – obniża poziom cukru, pobudza metabolizm".

Podoba nam się też pomysł z suszonymi skórkami – na pewno będą one bardzo wzbogacały smak duszonej wołowiny czy wieprzowiny, a i do kaczki będą znakomitym dodatkiem.

Natomiast my dziś, niejako na deser kończącego się lata, podajemy przepis na jabłka w cieście, które smakują nam zawsze, nawet na zimno. Sekretnym składnikiem naszych rozpływających się w ustach racuszków jest odrobina rumu lub spirytusu dodana do ciasta, która sprawia, że racuszki są bardzo chrupkie, a ciasto pochłania mniej tłuszczu. Jeśli nie chcemy alkoholu, to możemy dodać sok z cytryny albo łyżkę octu jabłkowego – efekt będzie podobny.

• 3 duże jabłka – najlepiej kwaśne • 1 szklanka mąki jasnej orkiszowej • 2 jajka • 1 płaska łyżeczka sody • ¾ szklanki mleka • 1 łyżeczka rumu lub spirytusu lub sok z cytryny • szczypta soli • 1 łyżeczka cukru • olej do smażenia

Do misy wlewamy mleko, dodajemy jajka, rum, sól, cukier, dokładnie mieszamy trzepaczką, następnie dodajemy mąkę – kolejność jest ważna, aby ciasto było idealnie aksamitne. Następnie dodajemy jabłka – albo kawałeczki, albo krążki. Na rozgrzaną patelnię wylewamy olej, smażymy placuszki na złoty kolor z każdej strony. Polecamy podawać z konfiturą wiśniową lub posypane cukrem pudrem. Smacznego! ©℗



FOT. ADOBE STOCK



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Twarz „old money"

Wszystko zależy od lustra. Najgorsze jest małe powiększające na podręcznym stoliczku/toaletce. Stoi blisko południowego okna, więc na nim każda zmarszczka wydaje się większa i głębsza, niż jest w rzeczywistości. Okrucieństwo dobrze oświetlone... Policzki, broda, szyja... Jeszcze tylko nos się uchował.

Podbródek nienajlepszy, policzki wystawione na próbę uśmiechów, usta – no cóż, drobne zmarszczki miałam już jako 30-latka, mimo że nie paliłam. Ale czy mam przestać się śmiać, żeby wyglądać lepiej?

Prawda jest okrutna: nie jestem młoda. Z tym faktem trzeba się zmierzyć w obliczu sytuacji, kiedy ze wszystkich stron napiera młodość. Internet, okładki, reklamy.

„Moje zmarszczki świadczą, że żyłam" – mówiła Shirley MacLaine. Picasso w rozmowie z Gertrudą Stein, wskazując palcem na twarz, powiedział... „jest tak stara jak świat".

I co mi z tego? Czy świadomość, że inni też się starzeją, łagodzi ból? Przecież są botoks, kwas hialuronowy, są lasery, są chirurdzy i tysiąc sposobów na odjęcie sobie paru lat. Pomijam pieniądze. Ale co to właściwie da? Czy przed własnymi dziećmi i wnukami mam udawać młodszą? Przestać być sobą?

Jakiś czas temu w Nowym Jorku zostałam zaproszona na cocktail w firmie Tiffany. Służbowe spotkanie, nie prywatne. Była tam cała kolekcja pań z kręgów damskiej prasy i przemysłu kosmetyczno-modowego. Wszystkie wyglądały tak samo. Jasne sukienki, w nich wygląda się najlepiej, blond włosy perfekcyjnie ułożone à la Anna Wintour, twarze o rysach tak idealnych i tak pozbawionych wyrazu, że wyglądały jak multiplikowane twory AI.

Czy w ogóle istnieje jeszcze gatunek kobiety w wieku 50+, która – jak to się mówi – „niczego sobie nie zrobiła"? Biorę w cudzysłów jako zaprzeczenie określenia częstego w damskich rozmowach: „zrobiła sobie..." (nos, brodę, policzki itp.).

Angielski tygodnik „Spectator", a raczej jego felietonistka Arabella Byrne, opisuje ten ginący gatunek człowieka. Nazywa go „old money face". Chodzi o nietknięte laserem, skalpelem, botoksem twarze pań z brytyjskiej klasy wyższej. One nie muszą popisywać się swoją młodością, są dumne ze zmarszczek, nad których rzeźbą pracował wiatr szkockich klifów, które zdobyły, przesadzając kwiaty w angielskich ogrodach.

Nie mamy ani klifów, ani angielskich ogrodów. Ani old money. Ani old money face. Trochę żałuję, chociaż wolałabym jednak old money face bez zmarszczek. ©℗

eprasa.pl 488600ea51



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Znów o faszystofobii

W Italii faszystofobia jest groźną chorobą umysłową, która ogranicza zdolności poznawcze, szczególnie myślenie i logikę. Atakuje również system nerwowy i emocjonalny, prowadząc do napadów histerii, agresji, a nawet przemocy. Ofiarą padają wyłącznie postępowcy, za to niemal wszyscy. Z tego względu morbus jest również kuriozalnym, masowym zjawiskiem społecznym, które ku przestrodze opisuję P.T. Czytelnikom „Do Rzeczy" od blisko 11 lat.

W Pizie trwa remont fasady szkoły podstawowej im. Carla Collodiego (ten od „Pinokia"). Na ścianie pojawił się napis „SI FASCIA", a na dodatek jakieś dziwne strzałki, które umysły faszystofobów natychmiast skojarzyły ze swastyką. Postępowcy podnieśli larum, że doszło do haniebnych aktów apologii faszyzmu i nazizmu, za co w Italii grożą dwa lata więzienia i grzywna.

Zatrząsł się z oburzenia postępowy mąż Antonio Mazzeo, wiceszef regionu Toskanii z największej opozycyjnej lewicowej Partii Demokratycznej: „Napisy i symbole odwołujące się do faszyzmu i nazizmu na fasadzie szkoły Collodiego to groźny gest, którego nie możemy tolerować! Co gorsza, pojawił się na fasadzie szkoły – miejsca nauki wolności i demokracji. Trzeba przy tym pamiętać, że Piza jest miastem odznaczonym Brązowym Medalem Zasługi i Męstwa za udział w antyfaszystowskim ruchu oporu. W Pizie nie ma miejsca na symbole faszyzmu i nazizmu! To symptomatyczne, że te napisy i symbole pojawiły się w rocznicę zamordowania Giacoma Matteottiego [socjalistyczny polityk zamordowany przez faszystów w 1924 r. – przyp. P.K.]". Przypomniał również, że właśnie minęła 82. rocznica masowego mordu na mieszkańcach toskańskiej wsi Sant'Anna di Stazzema, gdzie oddziały SS zamordowały 560 włoskich cywili – w tym kobiety i dzieci.

Co się stało naprawdę w Pizie? Długo tłumaczyć. Słowo „faszyzm" (fascismo) pochodzi od włoskiego słowa „fascio" (związek, wiązka), które wywodzi się z łacińskiego „fasces". W starożytnym Rzymie były to pęczki rózg brzozowych noszone przez liktorów (strażników) towarzyszących wyższym urzędnikom. Symbolizowały władzę i jedność państwa zgodnie z koncepcją, że pojedynczą rózgę łatwo złamać, ale związaną w pęczek – nie.

Natomiast nieszczęsna „fascia", która wprawiła postępowców w stan ciężkiego delirium, to m.in. błona albo izolacja cieplna. Na fasadzie szkoły w ten sposób oznaczono miejsca, które trzeba izolować (SI FASCIA). Były też napisy „NO FASCIA" w miejscach, które izolacji nie potrzebują. Ale te jakoś umknęły wybiórczej uwadze faszystofobów. ©℗



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Trojka po polsku

W 2024 r. Rada UE zatwierdziła objęcie naszego kraju procedurą nadmiernego deficytu, mimo to deficyt budżetowy w Polsce rośnie. Unia się zgadza na to, gdyż z limitów deficytu wyłączone są u nas wydatki na zbrojenia. W ten sposób mamy i unijne mechanizmy ręcznej kontroli, i rosnący deficyt. Czy ten stan to nieudolność rządzących, fatalny zbieg geopolitycznych i finansowych chmur nad Najjaśniejszą czy… premedytacja Unii i naszych rządzących?

Obecny rząd ma niebywałą zdolność (ale chyba tylko wobec własnych akolitów) do mówienia w jednym zdaniu dwóch rzeczy sprzecznych: otóż chwali się na prawo i na lewo wzrostem PKB (ze źródłami w wydawaniu pożyczonych pieniędzy, a więc żadna to chwała), a jednocześnie niechętnie bąka coś o deficycie i długu publicznym. Tego drugiego nie tłumaczy się tylko PiS-owską ruiną finansów publicznych, bo w to wierzą już tylko zatwardzialcy. Bardziej wątpiącym serwuje się historię, że deficyt wynika z dozbrajania się przed Putinem. Mamy więc do czynienia nie z putinflacją, ale putindeficytem. Tak to tłumaczy się uśmiechniętym 30 proc. społeczeństwa. Putin jest dobry na wszystko, i to dla obu, jak widać, ekip dotychczas rządzących Polską. Ale pochylmy się nad troskami tych 70 proc. zasmuconych.

Taka narracja objaśnia oba wymienione podejrzenia: rządzący jednak starają się, jak mogą, rządzą dobrze, a geopolityka wymusza na nich wydatki na zbrojenia. Ale ja, prowadząc codziennie youtube'owy kanał „Do Rzeczy", jestem świadkiem całego pochodu gości, którzy – każdy w swej dziedzinie – tłumaczą mi i widzom, że taka skala patologii to nie może być przypadek czy nieudolność.

Czemu miałaby służyć taka straceńcza polityka? To proste: jeśli założyć, że rządzi nami polityczna ekspozytura – tym razem – niemieckich interesów, to tu nie może być przypadków. Bankructwo Polski jest najlepszym narzędziem do zdobycia nad nią całkowitej kontroli. Przyjedzie do nas „trojka" z Brukseli, jak już przyjechała kiedyś do Grecji, by jej kosztem ratować wtedy obligacje zachodnie i przy okazji uzyskać całkowitą władzę nad krajem. Teraz za pomocą unijnych procedur budżetowych sprowadzi się nasz rozwój do zera, a zamożność obywateli do czasów PRL-owskich, z tym że tym razem z… większym posłuchem wśród obywateli. Polska właśnie jest zdobywana, bez jednego wystrzału. I – uwaga! – stan ten będzie istniał nawet wtedy (albo i szczególnie wtedy) kiedy w Polsce zmieni się rząd. I będzie trwał dopóty, dopóki jesteśmy w okowach unijnych dyrektyw. ©℗

eprasa.pl 488600ea51



DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

W pogoni za chamem

Ciekawych odkryć dokonał ostatnio gen. Rajmund Andrzejczak. Zarzucił on ukraińskim elitom „chamstwo strategiczne". „Nasze myślenie strategiczne to już jest, szanowni państwo, tysiąc lat [...]. Ukraina takiej kultury strategicznej po prostu zwyczajnie nie ma [...]. Przeciwieństwem kultury strategicznej nie jest brak kultury strategicznej – jest nim strategiczne chamstwo" – stwierdził generał. Pojęcie chamstwa w opisie strategii wojskowej nieznane było ani Clausewitzowi, ani Sun Tzu. Skupiali się oni na sposobach pokonania przeciwnika, pielęgnowanie dobrych obyczajów pozostawiając damom dworu. Amerykanie, rozbici przez Indian w bitwie pod Little Big Horn, nie tłumaczyli swoich porażek analfabetyzmem, prostactwem ani brakiem „tysiącletniej kultury strategicznej" u przeciwników. Siedzący Byk i Szalony Koń nie zostali przez nich nazywani „chamami" – przeciwnie – zwyciężając, budzili respekt. Równie wyrozumiale traktowali Brytyjczycy afrykańskich Zulusów, gromiących raz po raz wysyłane przeciw nim ekspedycje wojskowe. Chociaż nadziewanie na dzidy wykształconych w Akademii Sandhurst oficerów i dżentelmenów z pewnością nie było w dobrym tonie, „chamstwa strategicznego" Zulusów nie ogłaszano publicznie.

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



Ostatnio bliźniacze zarzuty podniosły się pod adresem uczonych, tworzących zamówioną przez rząd „Strategię Marki Polska". „Strategiczny" raport, prezentowany uprzednio w Akademii Leona Koźmińskiego, okazał się napisanym w większości przez sztuczną inteligencję humbugiem, naszpikowanym błędami językowymi i oczywistymi bredniami, kompromitującymi nawet dla ucznia podstawówki. Pod raportem podpisała się dumnie doktor habilitowana, profesor jednej z wrocławskich wyższych uczelni. Oburzony poziomem jej pracy prof. Radosław Zenderowski w ostrych słowach ocenił naukową rzetelność dokonań swojej utytułowanej koleżanki: „Pani Barbara, profesor Uniwersytetu Ekonomicznego, spektakularnie obsrała mój tytuł. To tak, jakby ktoś załatwił się na wycieraczce. Jak można szanować profesora nauk humanistycznych po czymś takim?".

Temperaturę profesorskiego sporu próbował schłodzić rzecznik Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich, ostrzegając, że „chamstwo nie staje się dopuszczalne tylko dlatego, że jego adresatem jest osoba, która popełniła błędy". Okazuje się więc, że poza ukraińskimi przywódcami „chamstwem" (bo czego innego oznaką jest „obsrywanie kolegów"?) wykazują się nie tylko polscy „stratedzy marki", lecz także ich krytycy. Nie koniec na tym. Zdaniem prof. Andrzeja Nowaka rządzące Polską „pseudoelity" to „chamy udające inteligentów, żałośni aktorzy, którym wydaje się, że są autorytetami moralnymi, celebryci bez żadnych talentów, wytworzeni siłą głupoty mediów".

Można odnieść wrażenie, że wśród przedstawicieli polskich elit wyszukiwanie wokół „chamów" stało się równie ulubioną rozrywką, jak dla brytyjskich arystokratów polowanie na lisa. Oscar Wilde nazwał tę ekscentryczną zabawę „ohydą w pogoni za niejadalnym". Polskie elity akademickie, sądownictwo i kasta urzędnicza degenerują się błyskawicznie i nie zatrzymają tego upadku podszyte klasową pogardą obelgi. Ów proces celnie zdiagnozował prof. Zenderowski. „W polskiej nauce dominuje zasada (ale są liczne wyjątki na szczęście), że głupi promuje głupszego. Kretyn do kwadratu promuje kretyna do sześcianu i takim sposobem osiąga się – level – zero – używając słów najwybitniejszej pani profesor ds. marki polskiej". W opisanym tu mechanizmie głupota nie jest zapewne jedynym czynnikiem sprawczym. Protekcja, kumoterstwo, korupcja i nepotyzm szerzą się dzisiaj w polskich elitach niczym pożar na afrykańskim stepie – szybko i spektakularnie. Czyni je to z pewnością łatwiejszymi do zidentyfikowania i napiętnowania niż łowy na tajemniczego chama „wytworzonego siłą głupoty mediów", załatwiającego się „nieudawanym inteligentom", nobliwym generałom i profesorom na wycieraczkę. ©℗

eprasa.pl 488600ea51

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Ściema, czyli work in progress



GRZEGORZ KUCHARCZYK

Trzydzieści lat temu Alan Sokal, profesor fizyki na nowojorskim uniwersytecie, zakpił z postmodernistycznego bełkotu, udającego język naukowy; bełkotu, który już wtedy mocno okopał się w wiodących ośrodkach naukowych za oceanem, zwłaszcza tych związanych z naukami humanistycznymi. Profesor Sokal wysłał do jednego z bardziej poważanych w tym środowisku periodyków naukowych („Social Text") artykuł udowadniający ścisły związek między przemianami społecznymi i kulturowymi (w tym feminizmem) a… grawitacją kwantową.

Aby uwiarygodnić swój tekst, prof. Sokal opatrzył go typowym dla wszystkich postmodernistycznych „óczonych" bełkotliwym tytułem: „Transgresja granic: ku transformatywnej hermeneutyce grawitacji kwantowej". Wysoki stopień bełkotliwości przekonał redakcję i recenzentów do tego, by opublikować „odkrywcze tezy" (jakże interdyscyplinarne!) nowojorskiego fizyka. Gdy już to się stało, prof. Sokal oświadczył, że wszystko to po prostu wymyślił (bez AI!) po to, by obnażyć intelektualną pustkę postmodernistycznych środowisk dominujących już wtedy w zachodnim świecie naukowym.

„Ściema Sokala" (Sokal hoax), bo tak zaczęto nazywać to, co zrobił nowojorski fizyk, tak naprawdę obnażała ściemę intelektualnych hochsztaplerów, którzy obsiedli świat Akademii. Sokal zachował się jak dziecko w bajce Andersena „Nowe szaty cesarza", które jako jedyne miało odwagę krzyknąć: „Przecież on nic na sobie nie ma!". I tak jak w bajce „cesarz", czyli środowiska naukowe ogarnięte manią „nowej hermeneutyki" oderwanej od zdrowego rozsądku, idą dziarsko dalej, a towarzyszący im „dwór" – świat mediów i polityki – utwierdza je w podążaniu drogą bez okrycia w postaci rozumu, rzetelnego warsztatu naukowego i elementarnej uczciwości intelektualnej.

Po 30 latach od eksperymentu Sokala można powiedzieć, że jest o trzy dekady gorzej, gdy chodzi o panoszenie się ściemy w zachodnich instytucjach naukowych związanych z humanistyką i naukami społecznymi. W dobie dominacji ideologii woke oraz odgórnie narzucanej na uniwersytetach polityce DEI, przy której istniejące w czasach PRL „punkty za pochodzenie" przy przyjmowaniu na studia to pikuś, naśladowcy Sokala musieliby się sporo natrudzić, by nadążyć za kolejnymi hermeneutycznymi transgresjami intelektualnej awangardy.

Kilka tygodni temu okazało się, że prestiżowy uniwersytet w Cambridge zatrudnił na stanowisku profesora socjologii Jasona Ardaya. Władze nobliwej uczelni w oficjalnych komunikatach podkreślały, że jest on „najmłodszym, czarnym profesorem" w historii Cambridge. Bardzo szybko okazało się jednak, że prof. Arday żadną gwiazdą intelektualną nie jest. Był za to seryjnym plagiatorem, a to, co nie było w jego dorobku plagiatem, było bełkotem pozbawionym treści. Zaczęły napływać skargi od studentów, żalących się na niski poziom zajęć, które i tak były znacznie skracane przez Ardaya. Dociekliwość dziennikarzy oraz internautów dodatkowo wzmacniały niestworzone historie, które najmłodszy profesor z Cambridge opowiadał w licznie udzielanych wywiadach. Prawił o tym, jak do 11. roku życia nie mówił, a po nabyciu tej umiejętności w ciągu kilku lat zrobił doktorat. Publiczność słuchała o jego 30 maratonach pokonanych w ciągu 30 dni (w tym część ze złamaną nogą) i o wędrującym nowotworze (w niektórych wywiadach Arday mówił o raku mózgu, a w innych o raku jąder).

Powszechnie było wiadomo, że „król jest nagi", ale „dwór" szedł w zaparte i utwierdzał nieszczęśnika na drodze pełnej oszustw. Renomowane wydawnictwo Simon & Schuster wypłaciło Ardayowi 1,4 mln dol. zaliczki za autobiografię, w której opowiadał on – niczym brytyjski odpowiednik naszego prezesa Banku Zbożowego i potomka starej szlachty kurlandzkiej, a przy okazji absolwenta Oksfordu – o wszystkich swoich niesamowitych osiągnięciach.

Arday hoax skończyło się dramatycznie. Najmłodszy, czarnoskóry profesor Cambridge nie wytrzymał lawiny faktów obnażających jego oszustwa i popełnił samobójstwo. Zaraz też lewicowe środowiska rozpoczęły kampanię nienawiści wobec tych, którzy informowali opinię publiczną o kłamstwach Ardaya, twierdząc, że kierowali się rasizmem. Jednak to władze uniwersytetu, zatrudniając go mimo braku stosownych kwalifikacji, odwoływały się do motywu rasowego, a chciwe zyski wydawnictwo tylko utwierdzało hochsztaplera w intencji zarabiania na kłamstwach.

Biedny Jason Arday. Mógł przecież powiedzieć, że wszystkie te plagiaty i niestworzone historie to po prostu work in progress i halucynacje AI. Kto wie, może nawet mógłby być kimś w laburzystowskim rządzie. ©℗

eprasa.pl 488600ea51

FLOCK



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

W USA trwa rebelia przeciw inwigilacji obywateli. Rebelia narasta. Ogarnia kolejne stany. W Europie trwa cisza na ten temat, bo Unia nie chce, by Europejczycy zorientowali się, że też powinni rozpocząć swoją rebelię. Chodzi o kamery, które śledzą wszystko. Dawniej było ich mało i potrafiły niewiele. Dawniej to były „kamery przemysłowe". Teraz potrafią śledzić, a nie tylko obserwować. Czytają tablice rejestracyjne, wiedzą, kim jesteś, bo ci mierzą głowę i odnajdują twoje dane w systemie. Rozpoznają emocje wymalowane na twarzy.

Te nowe kamery są spięte w SYSTEM – przetwarzają dane, a nie tylko je rejestrują. Potrafią sobie przybliżyć obraz i odczytać treść SMS-a, którego odebrał osobnik w polu widzenia. Przekazują sobie wybraną osobę z kamery na kamerę. Wiedzą, jaką trasą jechałeś, jak często, o jakich godzinach, czy byłeś w kościele, u lekarza czy na proteście. Magazynują dane o tobie i łączą fakty: Jan Kowalski był zdenerwowany, gdy przejechał ze swego domu do sklepu. Po drodze dostał SMS następującej treści (tu cytat z twojego telefonu), spotkał się z tym i tym (kamery rozpoznają KAŻDĄ twarz, a nie tylko twarze z policyjnego rejestru osób poszukiwanych), rozmawiali o tym i o tamtym. Sztuczna inteligencja potrafi już czytać z ruchu ust.

Wszystko to dla naszego bezpieczeństwa i wygody. Czytanie z ust wprowadzono jako narzędzie dla głuchych. Czytanie emocji z wyrazu twarzy wprowadzono jako narzędzie dla niewidomych. Wszystko dla naszej wygody i bezpieczeństwa. Kamery szukają przestępców, skradzionych aut, osób zaginionych – to uzasadnienie oficjalne i jakże kłamliwe. Popatrz na Londyn – kamery wszędzie, a przestępczość rośnie; gwałty na dzieciach i nikt nie łapie bandytów, bo to są bandyci kolorowi. Te kamery nie służą bezpieczeństwu – śledzą niewinnych.

***

Amerykanie są bardzo wrażliwi w kwestii swojej prywatności. Mają też naturalne przekonanie, że władza powinna się od nich trzymać z daleka. Zaczęli się szybko orientować, o co tu chodzi, zaczęli szukać więcej informacji na ten temat i teraz już zdają sobie sprawę, że to masowa inwigilacja normalnych obywateli, a nie przestępców.

Pojedynczy ludzie zasłaniają kamery na własną rękę. Worki na śmieci zawiązane na kamerze, farba w spreju na obiektyw, piła i odrzynanie słupa.

Przykład: Facet z kawałkiem tektury zaczepionym na patyku, który trzyma przed kamerą i zasłania. Ludzie przejeżdżający obok trąbią, pozdrawiają, unoszą kciuk. Każda z tych osób, gdy widziała go po raz pierwszy, zadała sobie pytanie, o co tu chodzi. Potem dopytali, doczytali i teraz już wiedzą, co jest grane. Ruszyła otwarta rebelia przeciw masowej inwigilacji. Hasła w sieci: To władza jest osobą publiczną, a obywatel jest osobą prywatną. Kamery powinny być nad biurkiem urzędnika i polityka, a nie na ulicy. Obraz z tych kamer powinien być transmitowany do wglądu przez obywateli. Inwigilacja tak, ale władzy, nie obywateli.

***

Pojawiły się strony internetowe mapujące skalę zjawiska – można sprawdzać, gdzie te kamery są i gdzie ich podejrzanie nie ma. (W dzielnicach wpływowych elit). Na przykład w Nowym Jorku nie ma kamer w dzielnicy żydowskiej. Czemu akurat tam? Niechęć do Izraela jest teraz w USA ogromna i nikt się z nią nie kryje. Pierwsza poprawka do konstytucji pozwala głośno mówić to wszystko, na co w Unii Europejskiej nałożono kaganiec „mowa nienawiści". Jest coraz więcej ataków na Żydów. Czemu więc „dla bezpieczeństwa" nie postawiono im kamer, które śledzą każdy ruch w dzielnicy?

***

Wobec masowej inwigilacji pojawia się też urzędowy opór lokalnych władz. Rada Hrabstwa Hood w stanie Teksas zdecydowała jednogłośnie o likwidacji kamer. W rezultacie konstabl J.D. Shirley osobiście zakrył i odłączył kamery na terenie hrabstwa. Powiedział o tym tak: „Stałe śledzenie ludzi bez nakazu nie należy do wolnego społeczeństwa. Te kamery nieustannie skanowały i nagrywały zwykłych ludzi, którzy po prostu żyli swoim życiem. Tego rodzaju śledzenie bez nakazu sądowego nie ma miejsca w wolnym społeczeństwie. Prywatność obywateli nie jest opcjonalna. Jest zagwarantowana czwartą poprawką do konstytucji". A potem wezwał firmę, która zainstalowała kamery: „Przyjedźcie zabrać te swoje śmieci z mojego hrabstwa".

***

Kto te kamery rozwiesił (miliony sztuk na całym terenie USA)? Firma FLOCK. Podstawowe znaczenie tego słowa to „stado" (np. baranów i owiec). Trafnie dobrana nazwa. Firma z uroczą legendą dla naiwnych, że jakiś pan przy stole kuchennym postanowił zbudować nowy typ kamery, bo na jego osiedlu było włamanie i policja nie znalazła sprawcy. Dlatego ten miły pan założył maleńką firmę, która urosła do rozmiaru giganta. Wszystko odbyło się organicznie, zgodnie z „American Dream", i nie miało nic wspólnego z planowym globalnym okamerowaniem wszystkich społeczeństw. Ta szlachetna firma zaczęła współpracować z policją akurat przed COVID i rozpropagowała swoje kamery akurat w czasie COVID. Instalowali sprzęt, gdy inne firmy były pozamykane, bo trwał lockdown.

Na żadnym etapie nikt nie pytał Amerykanów, czy oddają dobrowolnie swoje konstytucyjne prawa. Czwarta poprawka chroni przed nieuzasadnionym śledzeniem. Inwigilacja obywatela wymaga sądowego nakazu, nakaz musi być wystawiony indywidualnie, nie wolno śledzić wszystkich jak leci.

Ludzie w USA się zorientowali. Od 2025 r. dziesiątki miast i hrabstw anulowały współpracę z firmą Flock. W Arizonie naliczyłem siedem rejonów, gdzie system inwigilacji urzędowo zlikwidowano. ©℗

eprasa.pl 488600ea51

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

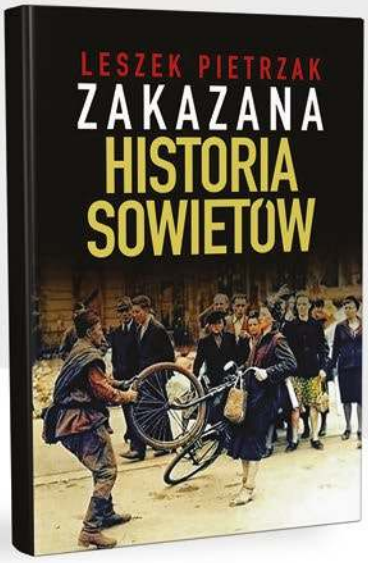

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

LESZEK PIETRZAK
„ZAKAZANA HISTORIA SOWIETÓW"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1353~~ ZŁ

547,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 806 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

| Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

| Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki czemu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon.-pt. od 10:00 do16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 488600ea51



HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TRIUMF NAD NIEMNEM: JAK POLACY PRZEPĘDZILI BOLSZEWIKÓW

LEWY NIEMEŃSKI „Klęska pod Warszawą nie przesądza jeszcze o wyniku wojny" – pisał w telegramie do Lenina gen. Michaił Tuchaczewski. Dopiero cios wyprowadzony przez Polaków nad Niemnem złamał marzenia Kremla o „eksporcie" rewolucji – podkreśla Grzegorz Janiszewski

KLUCZ DO RYGI – Do przeprowadzania wielkiej operacji nad Niemnem Piłsudski musiał przekonać Sejm i Radę Obrony Państwa, ponieważ Polsce groziło nie bezpieczeństwo stania się państwem kadłubowym – mówi w wywiadzie prof. Andrzej Chwalba

NIEUDOLNA POKAZÓWA SĄDOWA Władze postanowiły surowo ukarać uczestników antykomunistycznych zajść. Procesy pokazowe okazały się jednak kompletną „klapą" i ośmieszyły aparat państwowy – pisze Piotr Semka

CUDA LIBAŃSKIEGO PUSTELNIKA – Dysponujemy listą 45 tys. udokumentowanych cudów, do których doszło za wstawiennictwem tego libańskiego świętego – mówi w wywiadzie ks. Andrzej Sochal, autor książek na temat św. Szarbela

LEGENDA BUŁGAROBÓJCY Bazyli II uważany jest za jednego z największych władców w dziejach Bizancjum. Surowy, zdyscyplinowany cesarz żołnierz, który zasłynął tym, że wszystkie wojenne trudy dzielił ze swoim wojskiem – pisze Anna Szczepańska

OCZAROWANIE IWASZKIEWICZA Dawno temu Adam Pomorski napisał, że „długi cień Iwaszkiewicza wciąż zabiega drogę współczesnej literaturze polskiej". Ze wszystkimi tego następstwami, dobrymi i złymi – ocenia Krzysztof Masłoń

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 488600ea51